

NEW YORK TIMES
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

NORA ROBERTS

Utracony spokój

Nora Roberts

Utracony spokój

Tłumaczyła

Natalia Kamińska-Matysiak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Proszę uważać na stopień. Uwaga, stopień! Dziękuję - powiedziała z uśmiechem Liz, przyjmując bilet od opalonego mężczyzny w kolorowej koszuli w palmy.

- Mam nadzieję, Mabel, że go nie zgubiłaś - burknął turysta i spojrzał potępiająco na żonę, która nerwowo przeszukiwała olbrzymią torbę plażową. - Mówiłem, żebyś mi go oddała.

- Oczywiście, że nie zgubiłam biletu - odparła kobieta z godnością i zajrzawszy do drugiej, równie wielkiej torby, wyciągnęła w końcu niewielki błękitny kartonik.

- Dziękuję. Proszę siadać. - Liz znów się uśmiechnęła i wskazała parze wolne miejsca. - Panie i panowie, witam na pokładzie „Fantasy” - powiedziała po chwili, gdy wszyscy już usadowili się wygodnie.

Liz zaczęła swój powitalny monolog, ale myślami wciąż była daleko. Kiwnęła głową mężczyźnie, który odwiązał liny cumujące łódź i przerzucił je na pokład. Przemawiała spokojnym i łagodnym tonem, ale uważnie obserwowała plażę. Było na niej już tłoczno. Na złotym piasku, rozgrzanym promieniami słońca, opalali się beztroscy turyści. Niektórzy wybierali leżaki i miły cień plażowych parasoli. Nikomu się nie spieszyło, nikt nie biegł w stronę łodzi. Liz miała już piętnaście minut spóźnienia i nie mogła dłużej czekać.

Płynnie wyprowadziła łódź z przystani. Znała te wody jak własną kieszeń i mogłaby sterować z zamkniętymi oczami. Błękitne niebo z białymi kłaczkami chmur zapowiadało wspaniałą pogodę. Lekka bryza tańcząca we włosach Liz była ciepła, mimo wczesnej pory dnia. Woda zaś była tak przejrzysta, jak zachwalały biura podróży. Idealna atmosfera do wypoczynku.

Jednak doświadczenie nauczyło Liz niczego nie przyjmować za pewnik. Spojrzała na pasażerów. Zachwyceni wycieczkowicze już zaczęli pokazywać sobie ryby i podwodne skały, widoczne przez szklane dno łodzi. Dziewczyna wiedziała, że żaden z pasażerów nie myśli o kłopotach, które zostawił w domu.

- Niedługo dotrzemy do północnej części rafy Paraiso - Liz mówiła tak, by jej głos docierał do zainteresowanych, a jednocześnie nie przeszkadzał pozostałym. - Głębokość dna morskiego waha się od dziewięciu do piętnastu metrów. Woda ma doskonałą widoczność, więc będziecie mogli podziwiać rafę pokrytą koloniami gąbek i różnymi rodzajami koralu. Zwróćcie uwagę na ukwiały, które z powodu kolorowych wzorów i fantazyjnych kształtów przypominają kwiaty. Blisko dna możecie wypatrzeć rozgwiazdy.

Utrzymywała stałą prędkość łodzi, pozwalającą turystom na dokładne oglądanie podwodnego świata. Kolejno opowiadała o mieszkańcach rafy koralowej i przybrzeżnych wód. Opisywała wygląd i zwyczaje ryb, które mogli zobaczyć podczas swej podróży. Nie zapomniała także powiedzieć o niebezpieczeństwach, które zagrażają nurkującym. Przestrzegła swych podopiecznych przed dotykaniem jeżowców i meduz, które choć niezbyt ruchliwe, potrafią boleśnie zranić. Poprosiła, żeby powstrzymać się przed zabieraniem pamiątek z dna morza, a szczególnie fragmentów koralu, gdyż nieostrożni zbieracze mogliby wyrządzić nieodwracalne szkody na rafie.

Już tyle razy prowadziła morskie wycieczki, że wszystkie czynności wykonywała rutynowo. Nigdy jednak jej wykład nie był monotony. Liz kochała morze, czuła się tu wolna i doskonale panowała nad łodzią. Oprócz „Fantasy” miała jeszcze trzy inne łodzie. Prowadziła też niewielki sklep „Czarny Koral” z akcesoriami do nurkowania i wypożyczalnię sprzętu wodnego. Sama do tego doszła, choć na początku było jej ciężko. Z trudem udawało się wiązać koniec z końcem, gdy przychodziły stosy rachunków, a zarobione pieniądze wpływały do kasy bardzo powoli. Ale się udało. Dziesięć lat trudów sprawiło, że Liz miała własną, dobrze prosperującą firmę. Uważała, że wyjazd z kraju i zaczynanie wszystkiego od początku nie były zbyt wygórowaną ceną za spokój ducha.

Właśnie ciszą i spokojem szczyciła się niewielka wyspa Cozumel, należąca do meksykańskiej części Wysp Karaibskich. Teraz tu był dom Liz i tylko to się dla niej liczyło. Tutaj była lubiana i darzona ją szacunkiem. Nikt na wyspie nie zdawał sobie sprawy, co przeszła i jak bardzo została upokorzona, zanim uciekła do Meksyku. Liz rzadko o tym myślała, choć miała żywy dowód tamtych bolesnych wydarzeń. Faith. Na myśl o córeczce na twarzy Liz pojawił się czuły uśmiech. To była jej mała, jasna gwiazdeczka, która teraz mieszkała, niestety, dość daleko stąd. Jeszcze tylko

sześć tygodni, pocieszała się Liz. Za sześć tygodni skończy się szkoła i Faith wróci do domu na całe lato.

To dla jej dobra, powtórzyła sobie w duchu, gdy znów poczuła tęsknotę. Uważała jednak, że wysłanie córeczki do dziadków i do dobrej szkoły jest dużo ważniejsze niż jej własne potrzeby. Pracowała w pocie czoła, podejmowała konieczne ryzyko i walczyła z konkurencją, żeby Faith miała wszystko, na co zasługuje, wszystko, co dałby jej ojciec, gdyby...

Liz pokręciła głową. Już dawno przyrzekła sobie, że wyrzuci tego człowieka ze swoich myśli, tak samo, jak on usunął ją ze swojego życia. Była naiwna i zakochana. I to był błąd, który popełniła z miłości. Jednak, oprócz nauki na przyszłość, dostała także od losu cenny prezent. Faith.

- A poniżej możecie państwo zobaczyć wrak statku pasażerskiego - powiedziała i zmniejszyła prędkość łodzi, by wszyscy mogli się przyjrzeć podwodnej atrakcji. - Proszę się jednak nie martwić. Nie wydarzyła się tu żadna tragedia. Statek zatopiono dla potrzeb filmu i pozostawiono pod wodą ze względów turystycznych - dodała z uśmiechem, gdy z wraku wypłynęła grupa nurków.

Powinam się zająć pasażerami, a nie rozmyślaniami o przeszłości, wytknęła sobie. Teraz, gdy zabrakło współpracownika na pokładzie, było to trudniejsze. Musiała nie tylko prowadzić łódź, ale także opowiadać, pilnować grupy, obsłużyć wszystkich, podając posiłek i pomagając założyć sprzęt do nurkowania. Jednak nie mogła już dłużej czekać, aż pojawi się Jerry.

Liz nie chodziło o to, że swoim zniknięciem przysporzył jej dodatkowej pracy, lecz o to, że klientów firmy należało obsłużyć z największą starannością. Powinna przewidzieć, że nie można na nim polegać. Innego dnia z łatwością mogła go zastąpić kimś innym. Miała jeszcze dwóch pracowników do obsługi łodzi i dwóch innych w sklepie. Jednak dziś także druga łódź wypływała na wycieczkę, więc nikt nie był w stanie jej towarzyszyć. A Jerry sprawdził się jako dobry pracownik. Szczególnie kobiety nie mogły się go nachwalić.

Gdyby sama nie uodporniła się na męskie uroki już dawno temu, Jerry mógłby jej zawrócić w głowie. Niewiele kobiet potrafiło się oprzeć jego męskiej urodzie, postawnej sylwetce, zawadiackiemu uśmiechowi i pełnym obietnic szarym oczom. Oprócz wyglądu, Jerry posiadał także dar wymowy. W pobliżu tego mężczyzny żadna kobieta nie była bezpieczna.

Jednak nie dlatego Liz wynajęła mu pokój i dała pracę. Po prostu potrzebowała dodatkowej gotówki i jeszcze jednego pracownika. Szybko przekonała się, że Jerry jest obrotny i ma doskonale podejście do klientów. Lepiej, żeby dobrze usprawiedliwił swoją nieobecność, pomyślała.

Cichy szum silnika, słońce i lekki wietrzyk sprawiły, że Liz przestała myśleć o nieprzyjemnych sprawach i odprężyła się. Wciąż opowiadała o podwodnym świecie, umiejętnie korzystając z własnych doświadczeń w nurkowaniu i z wiedzy, którą zdobyła, studiując biologię, a szczególnie morską florę i faunę. Czasem któryś z pasażerów zadawał jej jakieś pytanie lub zachwycił się okazami, przepływającymi pod szklanym dnem łodzi. Wtedy Liz z przyjemnością odpowiadała i zaczynała snuć kolejną opowieść. Wszystko powtarzała także po hiszpańsku, gdyż kilku pasażerów pochodziło z Meksyku. Na pokładzie miała również kilkoro dzieci, więc dbała, by niektóre z jej historyjek były zabawne. Gdyby jej życie potoczyło się inaczej, mogłaby zostać nauczycielką. Już dawno jednak zrezygnowała z tego marzenia, tłumacząc sobie, że bardziej pasuje do świata biznesu, a więc do własnej firmy, z której była tak dumna. Popatrzyła na lekkie chmurki na błękitnym niebie, słoneczne błyski na falach i rafę koralową pod powierzchnią wody. Tak, dawno wybrała swoją drogę i nie czuła żalu.

Nagle usłyszała kobiecy krzyk. Zanim zdążyła się odwrócić, kolejna osoba krzyknęła. Liz pomyślała, że turyści przestraszyli się rekina, który zapuścił się na przybrzeżne wody. Pozwoliła łodzi dryfować i odwróciła się z zamiarem uspokojenia pasażerów. Wtedy zauważyła, że jedna z kobiet płacze na ramieniu męża, a inna przytula dziecko. Pozostali turyści wpatrywali się w szklane dno łodzi. Liz zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zeszła do części pasażerskiej.

- Proszę zachować spokój. Zapewniam państwa, że nic złego nie może was tu spotkać - oznajmiła pewnym głosem i zbliżyła się do przestraszonej grupy turystów.

Mężczyzna z aparatem fotograficznym podniósł wzrok i rzucił jej poważne spojrzenie.

- Chyba powinna pani jak najszybciej wezwać przez radio policję - poradził.

Liz spojrzała w dół przez szklane dno łodzi i zamarła. Zrozumiała, dlaczego Jerry nie pojawił się na czas. Leżał na dnie morza z kotwicznym łańcuchem owiniętym wokół klatki piersiowej.

W chwili gdy samolot wylądował, Jonas zerwał się niecierpliwie, chwycił swoją torbę i ruszył do wyjścia. Stał na podeście metalowych schodków i poczuł falę gorącego powietrza. Skinął głową stewardesie i szybkim krokiem przeciął płytę lotniska. Przyleciał na Cozumel w określonym celu i nie miał czasu na podziwianie błękitnego nieba, bujnych palm czy kolorów kwiatów. Mrużąc oczy przed słońcem, wszedł do budynku.

Hala przylotów była mała i zatłoczona. Turyści stali w niewielkich grupkach albo błąkali się niezdecydowanie. Jonas nie znał hiszpańskiego, lecz bywał już na wielu lotniskach i wiedział, dokąd powinien się udać. Szybko znalazł wypożyczalnię samochodów i po piętnastu minutach od lądowania wyjeżdżał z parkingu niewielkim autem. Rozłożył mapę na siedzeniu pasażera i opuścił osłonę przeciwsłoneczną.

Poprzedniego dnia Jonas siedział wygodnie w swym przestronnym klimatyzowanym biurze i przyjmował podziękowania od klienta, którego po długim i skomplikowanym procesie wybronił od dziesięciu lat więzienia. Zainkasował swoje honorarium i starał się uniknąć rozgłosu, jaki prasa nadała sprawie. To miał być jego ostatni proces przed zasłużonymi wakacjami. Pierwszymi od długiego czasu. Jonas Sharpe był zadowolony, lekko zmęczony i pełen optymizmu. Dwa tygodnie w Paryżu miały zregenerować jego siły. Wiedział, że zasłużył na odpoczynek, a wytworny Paryż z cudownymi muzeami i wspaniałymi restauracjami idealnie pasował do jego planów.

Gdy odebrał telefon z Meksyku, przez chwilę nic nie rozumiał. Przyznał, że owszem, ma brata Jerry'ego i natychmiast pomyślał, że jego braciszek znów wpakował się w jakieś kłopoty. Jednak tym razem sprawa była o wiele poważniejsza.

Gdy jego rozmówca odłożył słuchawkę, Jonas wciąż nie mógł dojść do siebie. Oszołomiony polecił sekretarce odwołać wyjazd do Paryża, a później zadzwonił do rodziców, by im oznajmić, że ich syn nie żyje.

Przyleciał do Meksyku, aby zidentyfikować ciało brata. Fala żalu znów zalała serce Jonasa. Już od dawna zdawał sobie sprawę, że Jerry żyje na krawędzi katastrofy. Tym razem nie udało mu się w porę cofnąć i niestety poleciał w przepaść. Od dzieciństwa jego brat ściągał na siebie kłopoty. Żartował nawet, że Jonas chyba dlatego poszedł na prawo, by móc mu pomagać w razie potrzeby. Być może w pewnym sensie miał rację.

Jerry był marzycielem, a Jonas zaprzysięgłym realistą. Jerry był uroczym leniem, natomiast jego brat stawiał pracę zawodową na pierwszym miejscu. Byli jak dwie strony tego samego medalu. Kiedy Jonas dotarł na posterunek policji w San Miguel, poczuł, że wraz z Jerry'ego znikła jakaś część jego duszy.

Rozejrzał się, zanim wysiadł z samochodu. Pomyślał, że ktoś powinien umieścić na pocztówce to, co on zobaczył. W porcie stały zakotwiczone jachty, a mniejsze łodzie wyciągnięto na soczystą zieloną trawę. Uśmiechnięci, opaleni ludzie w kolorowych letnich strojach przechadzali się nadmorską promenadą. Błękitne fale łagodnie omywały brzeg, a powietrze było przesycone zapachem morza. Jednak Jonas nie był teraz szczególnie czuły na uroki tego miejsca. Czekwały na niego dokumenty do podpisania i śledztwo w sprawie gwałtownej śmierci brata.

Kapitan Moralas był bystrym, rozsądnym mężczyzną, który od najmłodszych lat darzył miłością wyspę Cozumel. Zbliżał się do czterdziestki i właśnie oczekiwał narodzin swego piątego potomka. Uważał się za spokojnego człowieka, rozmiłowanego w muzyce klasycznej i cichych niedzielnych popołudniach. Był dumny ze swej pracy, wykształcenia i rodziny.

San Miguel było miastem portowym, pełnym marynarzy, turystów i kłopotów, więc Moralas znał również ciemną stronę ludzkiej natury. Kapitan potrafił jednak na czas zapobiegać poważniejszym problemom i był zadowolony z powodu niskiej przestępczości na wyspie. Zagadkowa śmierć młodego Amerykanina wytrąciła go z równowagi. Nie musiał być policjantem z wielkiego miasta, aby rozpoznać robotę zawodowego mordercy. Jednak, jego zdaniem, na Cozumel nie było miejsca dla zorganizowanej przestępczości.

Mimo zawodu, wymagającego twardości charakteru, Moralas rozumiał uczucia mężczyzny, który stał obok niego w kostnicy.

- Panie Sharpe, czy to pański brat? - spytał, choć z bladej, zmienionej bólem twarzy młodego człowieka łatwo poznał odpowiedź.

- Tak - potwierdził Jonas, patrząc na twarz Jerry'ego.

Gdy Moralas zyskał potwierdzenie tożsamości zmarłego, wycofał się, by umożliwić mężczyźnie pożegnanie z bratem bez świadków.

Jonas nie mógł uwierzyć w śmierć Jerry'ego. Wiedział, że jego brat zawsze szukał najłatwiejszej drogi, szybkich pieniędzy i kłopotów. Był jednak tak

pełen życia i radości, że jego śmierć wydawała się okrutnym żartem losu. Jonas dotknął chłodnej dłoni brata. Nie pomogą mu już żadne wykręty, wpłacone kaucje ani kruczki prawne.

- Przykro mi - odezwał się Moralas, kiedy Jonas podszedł do niego, i skinął głową pracownikowi kostnicy, aby z powrotem zakrył zwłoki.

- Kapitanie, kto zabił mojego brata? - spytał Jonas chłodnym tonem, próbując w ten sposób maskować rozdzierający ból serca.

- Nie wiemy. Śledztwo jest w toku.

- Jakież podejrzenia?

Moralas pokręcił głową i wyprowadził Jonasa na korytarz.

- Pański brat był na Cozumel zaledwie od trzech tygodni. Na razie szukamy osób, które w tym czasie mogły go spotkać - wyjaśnił, pchnął drzwi i głęboko odetchnął świeżym powietrzem. - Obiecuję, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby odnaleźć zabójcę pańskiego brata.

- Nie znam pana - gniewnie warknął Jonas, zapalił papierosa i spojrzał w zwięzione oczy Moralasa. - A pan nie znał Jerry' ego.

- Tak, ale to moja wyspa - odparł kapitan policji, nie odwracając wzroku. - Jeśli jest tu morderca, znajdę go.

- Profesjonalista - krótko podsumował Jonas.

- Pański brat został zastrzelony, więc staramy się dowiedzieć, kto to zrobił, w jaki sposób i dlaczego. Mógłby mi pan pomóc, podając potrzebne informacje.

Jonas gwałtownie się odwrócił. Spojrzał na uchylone drzwi, długi korytarz i jeszcze jedne drzwi, za którymi spoczywało ciało jego brata.

- Muszę się przejść - mruknął.

Kapitan nie odzywał się, gdy szli przez trawnik i jezdnię, aż do promenady. Potem odczekał jeszcze parę minut, ale w końcu nie wytrzymał.

- Po co pański brat przyjechał na Cozumel?

- Nie mam pojęcia - odparł Jonas i głęboko zaciągnął się papierosem. - Lubił palmy.

- Przyjechał w interesach? To była podróż służbowa?

Jonas roześmiał się niewesoło. Popatrzył na słoneczne błyski, prześlizgujące się po falach.

- Jerry nazywał siebie wolnym strzelcem. Nigdzie nie zagrzał miejsca - odparł, rozmyślając nad życiem swego brata i wszystkim, co ich dzieliło. - Dla niego zawsze było coś jeszcze. Następne miasto, następny złoty interes.

Dzwonił do mnie dwa tygodnie temu i mówił, że daje lekcje nurkowania turystom.

- Sklep i wypożyczalnia „Czarny Koral” - potwierdził kapitan Morales. - Podjął sezonową pracę u Elizabeth Palmer.

- Palmer - powtórzył Jonas, oderwał wzrok od wody i uważnie spojrzął na policjanta. - To nazwisko kobiety, z którą żył.

- Panna Palmer wynajęła pokój pańskiemu bratu - Morales poprawił go znacząco. - Była także w grupie osób, które odkryły zwłoki. Bardzo pomogła nam w śledztwie.

Usta Jonasa zacisnęły się w wąską kreskę. Wyteżył pamięć. Jak Jerry opisał pannę Palmer w ich ostatniej rozmowie? Seksowny kociak, który podaje świetne tortille. Zabrzmiało to tak, jakby opisywał swój kolejny podbój i towarzyszkę rozrywek.

- Potrzebny mi jej adres - oznajmił, ale zauważywszy uniesioną brew kapitana, zmienił taktykę. - Sądzę, że jego rzeczy wciąż tam są - powiedział.

- Owszem. Kilka drobiazgów, które miał przy sobie w dniu zabójstwa, mam u siebie w biurze. Może je pan odebrać w każdej chwili. Podobnie jak rzeczy, które są u panny Palmer. Już je przejrzelismy.

- Kiedy mogę zabrać brata do domu? - spytał Jonas, z trudem hamując gniew.

- Postaram się już dziś skończyć dokumentację. Potrzebne mi będzie również pańskie zeznanie... - wyliczał Morales i znów zrobiło mu się żal tego mężczyzny. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

- Załatwmy wszystko jak najprędzej - powiedział krótko Jonas.

Liz z westchnieniem ulgi weszła do domu. Zapaliła światło i włączyła wiatraki, które już dawno zamontowała pod sufitem. Sięgnęła po aspirynę, bo ból głowy nie opuszczał jej od chwili, gdy znalazła zwłoki Jerry'ego. Gdy wiadomość o niecodziennym wydarzeniu rozeszła się po okolicy, znów musiała wypłynąć łodzią pełną podekscytowanych gapiów. Taka ciekawość jest co najmniej niezdrowa, pomyślała z niesmakiem. Zastanawiała się, ile czasu minie, zanim będzie mogła zapomnieć o tym przerażającym widoku.

Rozebrała się i weszła pod prysznic. Z przyjemnością poddała się kojącemu masażowi chłodnej wody. Miała nadzieję, że na pewno poczuje się lepiej, gdy skończy się śledztwo. Nic dziwnego, że boli ją głowa, skoro patrzyła, jak policja przeszukuje jej dom i zadaje tysiące pytań.

To prawda, że prawie go nie znała, ale Jerry był miłym, zabawnym i ciekawym kompanem. Spał w pokoju jej córki i jadał w kuchni Liz. Ale co o nim wiedziała? Był kombinatorem i psem na kobiety. Potrafiła wykorzystać te jego cechy w sklepie, wypożyczalni i na łodzi. Był seksowny, atrakcyjny i leniwy. Wciąż czekał na swą wielką szansę. Liz była przekonana, że na sukces trzeba zasłużyć ciężką pracą lub odziedziczyć fortunę po przodkach. Jednak kiedy Jerry mówił, że znajdzie sposób, aby ustawić się na całe życie, błyszcząły mu oczy. Gdyby była marzycielką, z pewnością porwałyby ją jego słowa. Ale wiedziała, że marzenia są dla młodych i naiwnych. Niestety, Jerry taki właśnie był.

Teraz nie żył, a jego rzeczy wciąż były porzucane po pokoju jej córki. Liz postanowiła je pozbierać i oddać kapitanowi Moralasowi. Z pewnością rodzina zmarłego będzie chciała je odzyskać. Przynajmniej tyle mogła dla niego zrobić. Jerry wspomniał kiedyś, że ma brata. Mówił o nim: „ten sztywniak”. Sam natomiast z pewnością nie był sztywnakiem.

Wyszła spod prysznica, owinęła włosy ręcznikiem i włożyła rozciągnięty podkoszulek, który zakrywał biodra. Przypomniała sobie, jak któregoś dnia Jerry próbował zaciągnąć ją do łóżka. Pocałował ją znienacka w korytarzu, szeptał czule słówka i gładził jej plecy. Gdy mu odmówiła, nie nalegał. Łatwo puścili całą sprawę w niepamięć. Jerry był sympatycznym towarzyszem, który miał swoje wielkie marzenie. Liz nie po raz pierwszy zastanowiła się, czy nie było ono przyczyną jego nagłej śmierci.

Czuła się bardzo niezręcznie, pakując jego rzeczy. Ceniła sobie prywatność i nie lubiła naruszać cudzej. Gdy składała brązową koszulkę ze śmiesznym napisem, poczuła żal i zalała ją fala wspomnień. Popatrzyła na półkę pełną lalek córki. Jerry żartował sobie, że kiedy idzie spać, otacza go stadko pięknych kobiet. Przypomniała sobie, że sprawnie zreperował zepsute okno i przygotował paellę, aby uczcić swą pierwszą wypłatę.

Łzy popłynęły po jej policzkach. Jerry był taki młody, wesoły i pewny siebie. Nie mogła go nazwać swym przyjacielem, lecz przecież mieszkał z nią pod jednym dachem.

Żałowała teraz, że nie poświęciła mu więcej czasu i nie była dla niego miłsza. Kiedy zaprosił ją na drinka, wymówiła się papierkową robotą. Gdyby wtedy z nim poszła, może dowiedziałyby się, kim był, co robił i teraz wiedziałyby, dlaczego zginął.

Nagle Liz usłyszała pukanie do drzwi. Otarła łzy i powiedziała sobie, że płacz nic nie pomoże. To głupie z jej strony, żeby płakać po kimś prawie zupełnie obcym. Powinna oddać Moralasowi rzeczy Jerry' ego i zapomnieć o całej sprawie.

Otworzyła drzwi i zamarła. Brązowa koszulka, którą w roztargnieniu zabrała ze sobą, wysliznęła się z jej rąk. Cofnęła się i zamrugła oczami. W progu stał Jerry i patrzył na nią oskarżycielskim wzrokiem.

- Jer... Jerry? - szepnęła i zadrżała.

- Elizabeth Palmer?

Przerażona Liz oparła się plecami o ścianę. Nie była przesądna i nie bała się duchów, lecz jak inaczej mogła sobie wytłumaczyć to, że Jerry powrócił do świata żywych? To musiał być jego duch!

- To ty jesteś Elizabeth Palmer? - powtórzył pytanie mężczyzna stojący w progu.

- Utonąłeś - powiedziała podniesionym głosem i skupiła wzrok na jego twarzy. - Kim jesteś?

- Jonas Sharpe. Jerry był moim bratem. Bliźniakiem - wyjaśnił krótko.

Liz zorientowała się, że nogi jej dłużej nie utrzymają i szybko usiadła. To nie Jerry, powiedziała sobie, gdy jej puls powoli wracał do normy. Jonas miał tak samo ciemne włosy, lecz nie miał żadnych problemów z ich porządnym ułożeniem. Jego twarz miała te same rysy, lecz oczy były zimne i nieprzystępne. Wyglądał, jakby urodził się w garniturze. Patrzył na nią z widocznym zniecierpliwieniem. Gdy Liz doszła nieco do siebie, strach zamienił się we wściekłość.

- Zrobiłeś to celowo! - krzyknęła i wytarła mokre od potu dłonie. - To było podłe. Wiedziałeś, co pomyślę, gdy cię zobaczę.

- Musiałem się przekonać na własne oczy.

- Jesteś draniem, panie Sharpe - oznajmiła, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Mogę usiąść? - spytał, a na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

- Czego chcesz? - spytała wrogo, ale wskazała mu krzesło.

- Przyszedłem po rzeczy Jerry' ego. I żeby porozmawiać.

Nie zamierzał być grzeczny i uprzejmy. Potrzebował informacji, a ta kobieta mogła mu ich udzielić. Gdy tylko usiadł, szybko rozejrzał się po królestwie Liz. Było niewiele większe od jego biura i utrzymane w zupełnie innym stylu. Jonas wolał harmonię, ład i stonowane kolory, natomiast

właścicielka domu lubiła ostre kontrasty i przedziwne dodatki. Na ścianach wisiały maski Majów, a na podłodze leżało kilka puszystych dywaników. Słońce z trudem przebijało się przez czerwone rolety. Na pokrytym kurzem stoliku stał błękitny wazon z kwiatami, które już dawno zaczęły więdnąć.

Liz wpatrywała się w mężczyznę, który metodycznie oglądał jej mieszkanie. Pomyślała, że Jonas wygląda jak lustrzane odbicie Jerry' ego. Czy lustrzane odbicia nie są po części negatywami? Pewnie nie jest miłym kompanem, pomyślała. Nagle zapragnęła pozbyć się go jak najszybciej. To śmieszne, powiedziała sobie. To tylko zrozpaczony człowiek, który stracił brata.

- Przykro mi. To musi być dla pana trudna sytuacja.

Gdy tylko się odezwała, spojrzenie mężczyzny przeniosło się na nią. Liz mogła udawać, że nie widzi, jak Jonas ogląda jej pokój. Nie potrafiła jednak pozostać obojętna, gdy w ten sam metodyczny sposób zaczął się jej przyglądać.

Była inna, niż się spodziewał. Miała szerokie kości policzkowe, wąski prosty nos i nieco wysunięty podbródek, sygnalizujący upór. Nie była piękna, lecz miała w sobie coś, co przyciągało wzrok. Może to były lekko skośne, brązowe, pełne tajemnic oczy, które nadawały jej twarzy egzotyczny wygląd? A może pełne, miękkie usta? Szybkim spojrzeniem obrzucił jej małe dłonie. Liz nie nosiła żadnych ozdób. Jonas myślał, że zna gust brata tak, jak swój własny. Liz Palmer nie pasowała do upodobań Jerry' ego. Nie była oszałamiająco piękna i nie wyglądała na osobkę, która lubi się dobrze zabawić. Nie była też w guście Jonasa, który wolał kobiety o dyskretnej urodzie i wyszukany smaku.

A jednak Jerry z nią mieszkał. Jonas pomyślał, że ta kobieta zaskakująco dobrze przyjęła śmierć kochanka.

- Dla ciebie to pewnie też nie jest łatwe.

Po jego uważnych oględzinach była roztrzęsiona. Czuła się jak przedmiot, który został zbadany, opisany i odłożony na bok w celu poddania go dalszym eksperymentom.

- Jerry był miłym człowiekiem. Nie jest łatwo...

- Jak się poznaliście?

Słowa współczucia zamarły jej na ustach. Nie zamierzała narzucać się komuś, kto tego nie chciał. Rozumiała, że żal po stracie członka rodziny

może objawiać się w różny sposób. Jeśli Jonas życzył sobie suchych faktów, dobrze, poda mu jedynie fakty.

- Kilka tygodni temu zjawił się w moim sklepie. Interesował się nurkowaniem.

- Nurkowaniem - powtórzył zachęcająco Jonas, lecz jego oczy pozostały zimne.

- Mam przy plaży sklep ze sprzętem do nurkowania, wypożyczam też łódzie, prowadzę morskie wycieczki i daję lekcje nurkowania. Jerry szukał pracy, a gdy przekonałam się, że wie, co robi, zatrudniłam go.

Jonas przypomniał sobie ostatnią rozmowę z bratem. Uczenie turystów podstaw nurkowania jakoś nie pasowało do tego złotego interesu, który Jerry miał na oku.

- Nie był pełnoprawnym partnerem w twojej firmie?

Jonas nie potrafił rozpoznać uczuć, które odbiły się na twarzy kobiety. Niedowierzanie? Rozbawienie? Duma? Nie był pewien.

- Nie potrzebuję wspólników - odparła z godnością. - Jerry tylko u mnie pracował.

- Tylko pracował? - Jedna brew mężczyzny powędrowała do góry, nadając jego twarzy wyraz zdziwienia. - Przecież mieszkał z tobą.

Liz doskonale zrozumiała, co miał na myśli. Policja również o to pytała. Doszła do wniosku, że odpowiedziała już na wystarczającą liczbę pytań i poświęciła dość dużo czasu temu impertynenckiemu człowiekowi.

- Tam są jego rzeczy - powiedziała krótko, wstała i podeszła do drzwi pokoju córki. - Właśnie zaczynałam pakować ubrania. Pewnie wolisz zrobić to sam. Nie musisz się spieszyć.

Kiedy Liz chciała wyjść, chwycił ją za ramię. Jeden rzut oka na pokój wystarczył, by ocenić jego zawartość. Jonas dostrzegł półki pełne lalek, różowe ściany i koronkowe zasłony w oknach. Na krześle i łóżku leżały ubrania jego brata.

- To wszystko? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie zaglądałam jeszcze do komody. Ale policja przejrzała wszystko - uprzedziła go, zdjęła z głowy ręcznik, a wilgotne ciemnoblonde włosy rozsypały się na jej ramionach. - Nic nie wiem o prywatnym życiu Jerry'ego - wyznała bezradnie. - Ani o jego rzeczach osobistych. Tu spał. To pokój mojej córki - wyjaśniła, unikając jego wzroku. - Teraz jest w szkole.

Gdy Jonas został sam, wystarczyło mu dwadzieścia minut, aby spakować rzeczy brata. Tak jak myślał, nie było tego wiele. Zostawił walizkę w saloniku i ruszył na poszukiwanie gospodyni. Minął jeszcze jedną sypialnię, w której zauważył biurko zasypane stosami dokumentów i rachunków. Znalazł Liz w kuchni, gdzie parzyła właśnie kawę. Kuszący zapach przypomniał mu, że od rana nie miał nic w ustach.

Liz od razu wyczuła, że Jonas stoi za nią i bez słowa nalała mu kubek gorącego napoju.

- Chcesz śmietanki?

- Nie, wolę czarną - odpowiedział i przesunął dłonią po włosach, czując się jak w dziwnym śnie.

Kiedy Liz odwróciła się, by podać mu kawę, aż drgnęła.

- Przepraszam - powiedziała. - Jesteś tak bardzo do niego podobny.

- Przeszkadza ci to?

- Wytrąca mnie z równowagi.

Jonas powoli sączył gorącą kawę, która przywracała mu poczucie rzeczywistości.

- Nie kochałaś Jerry' ego - stwierdził po chwili.

Zdziwiona Liz spojrzała na niego. Wiedziała, że uważa ją za kochankę swojego brata, ale nie sądziła, że tak szybko zauważy pomyłkę.

- Znałam go krótko, zaledwie trzy tygodnie - powiedziała i uśmiechnęła się, przypominając sobie swoje poprzednie życie i innego mężczyznę. - Nie, nie kochałam go. Łączyła nas tylko praca, ale lubiłam twojego brata. Był zadziorny i wiedział, że podoba się kobietom. W ostatnim czasie wiele pań prosiło o instruktora Jerry' ego. Potrafił je skutecznie czarować - mruknęła z przekąsem i zaraz spojrzała na Jonasa, zawstydzona swoimi słowami. - Wybacz.

- Nie trzeba - odparł i podszedł bliżej.

Liz była wysoka, więc ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Nie miała makijażu i pachniała pudrem dla dzieci. Zdecydowanie nie była w typie Jerry' ego, pomyślał Jonas, jak również nie jest w moim guście. A jednak w oczach Liz było coś, co nie dawało mu spokoju.

- Właśnie taki był, lecz niewiele osób zdawało sobie z tego sprawę - powiedział.

- Znałam takich mężczyzn. Może nie tak uroczych i nieszkodliwych, jak on, ale podobnych. Twój brat był w gruncie rzeczy dobrym człowiekiem. Mam nadzieję, że ktokolwiek to zrobił... Mam nadzieję, że ich znajdą.

Gdy tylko to powiedziała, ujrzała, że oczy Jonasa znów są zimne. Wiedziała, że taki chłód potrafi być bardziej niebezpieczny niż płomień furii.

- O tak - kiwnął głową, patrząc jej w oczy. - Może będę chciał jeszcze z tobą porozmawiać.

Słowa Jonasa nie brzmiały jak prośba. Zresztą Liz wcale nie chciała ponownie go spotkać. Nie chciała się w nic mieszać.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Mój brat mieszkał w twoim domu i pracował dla ciebie.

- Nic nie wiem - odparła podniesionym głosem i odwróciła się do okna.

Była już zmęczona ciągłymi pytaniami i wytykaniem jej palcami na ulicy. Nie chciała, by jej życie przewróciło się do góry nogami z powodu mężczyzny, którego prawie nie знаła. I denerwowała się, bo Jonas Sharpe wyglądał na mężczyznę, który bez wahania wkroczy w jej życie, jeśli uzna, że jest mu to do czegoś potrzebne.

- Policja wciąż mnie wypytuje. Mam dość powtarzania, że tylko u mnie pracował, że widywałam go zaledwie przez parę godzin dziennie. Nie wiem, dokąd chodził wieczorami, z kim się spotykał, co robił. To nie była moja sprawa, póki zjawiał się w pracy i płacił za pokój - powiedziała i spojrzała ponownie na Jonasa. - Przykro mi z powodu twojego brata. Szczerze ci współczuję. Ale to nie jest moja sprawa.

- Cóż, pani Palmer, w tej kwestii się nie zgadzamy - powiedział, patrząc, jak Liz zaciska dłonie i wyciągając z tego własne wnioski.

- Panno Palmer - poprawiła go i poczekała, aż skinie głową. - Naprawdę nie mogę pomóc.

- Nie będziesz wiedziała, jak pomóc, dopóki nie porozmawiamy.

- W porządku, powiem inaczej. Nie zamierzam ci pomóc.

- Czy Jerry był ci coś winien? - spytał Jonas i sięgnął po portfel.

Liz odebrała jego zachowanie jak zniewagę. W jej zwykle smutnych i łagodnych oczach zapłonął ogień.

- Nic nie był mi winien, ani on, ani pan, panie Sharpe. Jeśli skończył pan kawę...

- Skończyłem. Na razie - powiedział i przyjrzał się jej uważnie.

Tak, z pewnością nie była w typie Jerry' ego, ani nie jest w moim, pomyślał. Ale muszę poznać prawdę. Zmuszę ją do pomocy, zdecydował.

- Dobranoc - powiedział i wyszedł z kuchni.

Liz poczekała, aż trzasną frontowe drzwi, zamknęła oczy i potarła skronie. To nie moja sprawa, powiedziała sobie w duchu. Jednak wciąż miała przed oczami widok Jerry' ego na dnie morza. A teraz jeszcze zobaczyła, jak z powodu żalu i bólu po stracie brata twardnieje spojrzenie Jonasa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Liz tylko przez chwilę rozważała możliwość wzięcia wolnego dnia. Na ten luksus pozwalała sobie zazwyczaj wtedy, gdy Faith wracała do domu na wakacje. Pomyślała, że jeśli wyśle pracowników na wycieczki z turystami, zyska trochę czasu dla siebie. Wiedziała, że do południa wszyscy nurkowie powinni być już w wodzie, więc spokojnie poświęci się inwentaryzacji i sprawdzaniu sprzętu.

Sklep Liz „Czarny Koral” mieścił się w szarym, prostokątnym budynku. Od czasu do czasu myślała, by pomalować dom na jakiś ciekawy kolor, lecz wciąż brakowało jej na to funduszy. Część niewielkiego pomieszczenia przeznaczyla na biuro i udało jej się tam wcisnąć stare metalowe biurko i obrotowe krzesło. Resztę miejsca zajmował sprzęt do nurkowania, wiszący na specjalnych hakach, leżący na półkach i podłodze. Jej biurko mogło być stare, obdrapane i mieć dziurę w blacie, lecz sprzęt był najwyższej jakości.

Wypożyczała i sprzedawała zestawy do nurkowania lub tylko niektóre części wyposażenia. Maski, płetwy, butle i fajki w każdej chwili były do dyspozycji klientów. Liz szybko zauważyła, że im większy wybór i możliwość kompletowania sprzętu, tym ma więcej zadowolonych klientów. Jej sklep i wypożyczalnia bazowały głównie na ekwipunku dla nurków, więc gdy na noc zamykała okno wystawowe, wieszala na okiennicy cennik oraz informację o usługach i sprzęcie, którym dysponowała.

Gdy zakładała firmę, udało jej się zgromadzić sprzęt dla dwunastu płetwonurków. Wydała na to wszystkie pieniądze, które zarobiła i otrzymała od Marcusa, kiedy dowiedział się, że nosi pod sercem jego dziecko. Ach, jak szybko musiała wtedy wydorosnąć! Teraz jednak była pewną siebie kobietą, która mogła wyekwipować od zera pięćdziesięciu płetwonurków, nie licząc tych, którzy chcieli popływać tylko z maską i fajką, zrobić podwodne zdjęcia lub zapolować pod wodą.

Pierwszą łódź, którą kupiła, nazwała „Faith”, na cześć córeczki. Kiedy była przerażoną, samotną osiemnastolatką w ciąży, przysięgła sobie, że da dziecku wszystko to, na co zasługuje. Dziesięć lat później rozglądała się z dumą po swym sklepie i wiedziała, że dotrzymała obietnicy.

Wyspa stała się jej azylem. Zbudowała tu od zera firmę, miała dom, była znana i szanowana. Patrząc na słoneczną, piaszczystą plażę, nie tęskniła już za Houston ani za uroczym domkiem z soczystym, zielonym trawnikiem. Przestała żałować nieukończonych edukacji i utraconych marzeń. Nie złorzeczyła też mężczyźnie, który nie chciał ani jej, ani ich poczętego dziecka. Nigdy już nie wróci do tamtego świata. Ale Faith mogłaby. Kiedyś, bez obawy, stanie przed swoimi kuzynami w jedwabnej sukni i będzie mogła swobodnie dyskutować po francusku o urokach muzyki klasycznej i rodzajach wina.

Liz, napełniając zbiorniki tlenem, marzyła o tym, że jej córka zostanie kiedyś zaakceptowana w środowisku, które odrzuciło ją z taką łatwością. Nie chodziło jej o zemstę, a raczej o sprawiedliwość.

- Dzieńdoberek panience.

Liz uniosła głowę znad butli i spojrzała pod słońce, w stronę drzwi. Rozpoznała charakterystycznie okrągłą sylwetkę w czerwono-niebieskim skafandrze nurka. Mężczyzna miał puciołowatą twarz i grube cygaro w ustach.

- O! Pan Ambuckle. Nie wiedziałam, że jest pan jeszcze na wyspie.

- Wybrałem się na parę dni do Cancun. Ale tu nurkuje się o niebo lepiej.

Liz z uśmiechem wyszła z ciemnego kąta, w którym stały butle i ruszyła w stronę swego najlepszego klienta. Ambuckle zjawiał się na Cozumel kilka razy w roku i zawsze wypożyczał u niej sporo sprzętu.

- Mogłam to panu od razu powiedzieć. Obejrzał pan jakieś zabytki?

- Żona zaciągnęła mnie do Tulum - burknął i wzniósł oczy do góry. - Wolę być dziesięć metrów pod wodą, niż cały dzień wspinać się po skałach, żeby obejrzeć jakieś ruiny. Udało mi się popływać z fajką i maską, ale w końcu człowiek nie przylatuje tu z Dallas po to, żeby się trochę pochłapać w płytkiej wodzie - powiedział ze śmiechem. - Pomyślałem, że miło byłoby ponurkować w nocy.

- Zaraz wszystkim się zajmę - obiecała Liz i w jej poważnych zwykle oczach pojawiły się wesołe iskierki. - A jak długo pan u nas zostanie? - spytała, sprawdzając podwodną latarkę.

- Jeszcze dwa tygodnie. Człowiek musi kiedyś odpocząć od swojego biurka.

- Jasne - skwapliwie zgodziła się Liz.

- Słyszałem, że miałaś tu mnóstwo emocji, gdy mnie nie było, co?

Uśmiech dziewczyny przybladł nieco, gdy pomyślała, że powinna już przyzwyczaić się do podobnych komentarzy.

- Czy ma pan na myśli śmierć tego młodego Amerykanina?

- Moja żona o mało nie oszalała ze strachu. Z trudem namówiłem ją do powrotu na wyspę. Znałaś go?

Nie tak dobrze, jak powinnam, pomyślała Liz, wypełniając formularz wypożyczenia sprzętu.

- Pracował u mnie - odparła, mając nadzieję, że jej obojętny ton zniechęci turystę do dalszych pytań.

- Naprawdę? - zdziwił się Ambuckle, a jego oczy rozbliły ciekawością.

- Być może nawet go pan pamięta. Płynął z nami wtedy, gdy wybrał się pan z żoną na wycieczkę morską.

- Poważnie? - spytał Ambuckle i zmarszczył w zamyśleniu brwi. - Ale chyba nie chodzi o tego młodego przystojniaczka, którym tak zachwycała się moja żona? Jak mu tam... Johnny, Jerry?

- Niestety. To właśnie on.

- Co za strata - powiedział turysta, choć wyglądał raczej na zadowolonego z faktu, że osobiście znał ofiarę. - Miał wiele wigoru.

- Też tak mi się wydawało - odparła Liz, sięgnęła po butle i podała je mężczyźnie. - Gotowe.

- Proszę jeszcze o aparat, panienko. Pstryknę parę zdjęć tym śliskim paskudztwom.

Sięgnęła po aparat, dopisała go do listy i dała klientowi formularz do podpisu. Ambuckle wpisał godzinę, złożył podpis i wręczył Liz kilka banknotów. Ucieszyła się, bo ten klient zawsze płacił gotówką w amerykańskich dolarach.

- Dziękuję. Miło było znów pana widzieć.

- Nic mnie nie powstrzyma przed przychodzeniem tu, panienko - powiedział Ambuckle, zarzucając butle na plecy.

Lekko sapiąc, wyszedł ze sklepu.

Liz przez chwilę patrzyła za nim z uśmiechem, a potem schowała pieniądze do kasy i odłożyła formularz na miejsce.

- Całkiem dobrze ci idzie.

Zaskoczona Liz drgnęła. W drzwiach stał Jonas.

Jak mogłam pomylić go z Jerryem, zdziwiła się w duchu. Wyraźnie dostrzegała różnice między bliźniakami. Jonas miał dziś na sobie szorty

i rozpiętą na piersiach koszulę, lecz nosił je zupełnie inaczej niż Jerry. Na jego szyi kołysała się na złotym łańcuszku identyczna złota moneta, jaką zwykł nosić jego brat. Oczy tym razem ukrył za przeciwsłonecznymi okularami. Jednak coś w sposobie jego poruszania się i grymasie ust sprawiało, że wydawał się wyższy i twardszy niż jego brat.

- Nie spodziewałam się ciebie - powiedziała Liz i zajęła się sprawdzaniem sprzętu.

- A powinnaś.

Jonas zauważył, że dziewczyna wygląda na silniejszą, mniej wrażliwą na ciosy niż tydzień temu. Głos miała spokojny, a w jej wzroku dostrzegł wyraźny chłód.

- Masz niezłą reputację na wyspie.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie i rzuciła mu przez ramię obojętne spojrzenie.

- Sprawdziłem - wyjaśnił. - Pojawiłaś się na Cozumel dziesięć lat temu, zbudowałaś ten interes od zera, a teraz masz najlepszą wypożyczalnię na wyspie.

Liz nie podniosła wzroku znad maski do nurkowania, którą uważnie sprawdzała.

- Czy jest pan zainteresowany wypożyczeniem sprzętu, panie Sharpe? - spytała uprzejmie. - Warto obejrzeć naszą rafę, choćby z maską, płetwami i fajką.

- Być może. Wolałbym jednak ekwipunek nurka.

- Proszę bardzo. Dysponuję wszystkim, co może być panu potrzebne - powiedziała, odłożyła maskę i sięgnęła po następną. - Tu, w Meksyku, nie trzeba mieć uprawnień do nurkowania, ale proponuję wziąć parę podstawowych lekcji, zanim zejdzie pan samodzielnie pod wodę. Prowadzimy zarówno kursy grupowe, jak i indywidualne.

- Może się zdecyduję - odparł z lekkim uśmiechem. - A póki co, o której zamykasz? - zapytał i zdjął okulary.

- Kiedy skończę - prychnęła rozzłoszczona, bo uśmiech Jonasa wywarł na niej duże wrażenie. - To Cozumel, panie Sharpe. Nie mamy ściśle określonych godzin pracy. Jeśli nie chce pan wypożyczyć sprzętu ani zapisać się na wycieczkę morską...

- Umów się ze mną na kolację - powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu i nakrył jej dłoń swoją. - Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie, dziękuję - odparła, siląc się na grzeczność.

- To chociaż na drinka.

- Nie.

- Panno Palmer... - zaczął groźnie Jonas.

Młody prawnik był powszechnie znany ze swojej niewyczerpanej cierpliwości, która wielokrotnie pomagała mu na sali sądowej. Jednak przy Liz temperament zaczynał go ponosić. Musiał jednak porozmawiać sam na sam z tą upartą dziewczyną.

- Policja w dalszym ciągu nic nie odkryła. Potrzebuję twojej pomocy - powiedział w końcu nieco spokojniejszym tonem.

Dopiero teraz Liz cofnęła dłoń. O, nie! Nie da się wciągnąć w nie swoje sprawy, nawet jeśli Jonas będzie patrzył na nią tymi swoimi przenikliwymi oczami. Ma swoje życie, swoją pracę i co najważniejsze, córkę, która już niedługo wróci do domu.

- Nie zamierzam się w nic angażować. Przykro mi, ale nawet gdybym chciała, nie mogę panu pomóc.

- Proszę tylko o rozmowę.

- Panie Sharpe - zaczęła Liz, tracąc cierpliwość - mam bardzo mało wolnego czasu. Prowadzenie własnej firmy to nie zabawa, lecz godziny ciężkiej pracy. Jeśli znajdę kilka chwil dla siebie wieczorem, z pewnością nie będę miała ochoty być przepytywana przez pana. A teraz proszę...

Nie dokończyła, gdyż do sklepu wbiegł podekscytowany chłopak z banknotem w dłoni i w języku hiszpańskim poprosił o pletwy, fajkę i maskę dla siebie i brata.

Gdy Liz kompletowała sprzęt, chłopiec wypytywał ją, gdzie mają szansę zobaczyć rekina.

- Rekiny nie mieszkają na rafie koralowej. Ale od czasu do czasu przyplývają w odwiedzin - dodała, widząc, że uśmiech znikł z twarzy chłopca. - A jeśli weźmiecie ze sobą okruszki, ryby same do was przyplývą.

- Mogą ugryźć? - zapytał chłopiec z wypiekami na policzkach.

- Nie, będą gryzły tylko okruszki - odparła ze śmiechem. - *Adios!* - zawołała za nim, gdy wybiegł ze sklepu.

- Świetnie mówisz po hiszpańsku - zauważył Jonas i uznał, że to może mu się przydać.

- Mieszkam tu od lat - oznajmiła krótko. - A teraz, panie Sharpe...

Jonas doskonale wiedział, że Liz ma już dość tej rozmowy, musiał więc szybko coś wymyślić, żeby skłonić ją do współpracy.

- Ile łodzi?

- Słucham?

- Ile masz łodzi?

- Cztery - odparła, wzięła głęboki oddech i postanowiła, że da mu jeszcze kilka minut. - Jedną ze szklanym dnem, dwie dla nurków i jedną przystosowaną do łowienia na głębokiej wodzie.

- Do łowienia ryb - mruknął Jonas, myśląc, że to powinno pasować do jego planów. - Od kilku lat już tego nie robiłem. Wybrałbym się jutro - zdecydował i sięgnął do portfela. - Ile?

- Pięćdziesiąt dolarów od osoby za dzień. Ale nie wypłynę z jednym pasażerem, panie Sharpe - powiedziała z pobłażliwym uśmiechem. - To się nie opłaca.

- Ile osób musi się zgłosić na taki kurs?

- Przynajmniej trzy. Ale obawiam się, że nie mam nikogo, kto...

Jonas położył na ladzie dwieście dolarów.

- Czwartą pięćdziesiątką jest za to, żebyś ty prowadziła łódź.

Liz spojrzała na pieniądze. Przydałyby się na zakup rowerów wodnych, na które na razie nie mogła sobie pozwolić, choć wiedziała, że konkurencja już je ma. Jeśli chciała się liczyć na rynku... Podniosła wzrok i napotkała intensywne spojrzenie Jonasa. Po krótkim namyśle zdecydowała, że pieniądze nie są warte ryzyka angażowania się w tę sprawę.

- Przykro mi, ale na jutro mam już inne plany.

- To niezbyt mądrze rezygnować z zysku, panno Palmer - powiedział, a kiedy dostrzegł wzruszenie ramion, posłał jej chłodny uśmiech. - Nie chciałbym opowiedzieć w hotelu, że w „Czarnym Korale” źle mnie obsłużono. To dziwne, jak łatwo jest słowami zniszczyć lub rozsławić czyjąś firmę.

- Czym się pan zajmuje? - spytała Liz, podnosząc pieniądze po jednym banknocie.

- Jestem prawnikiem.

- Powinnaś być zgadnąć - powiedziała z niewesołym uśmiechem i podała mu odpowiedni formularz. - Znałam kiedyś jednego prawnika. Zawsze dostawał to, na czym mu zależało - dodała, wspominając Marcusa i jego słowa. - Proszę tu podpisać. Wyruszamy jutro o ósmej. Cena zawiera

posiłek. Jeśli życzy pan sobie jakiś alkohol, proszę go zabrać ze sobą. Słońce na wodzie opala dość mocno, proponuję więc zaopatrzyć się w specjalny krem – poradziła i zdecydowała, że pora już kończyć rozmowę. – Wraca właśnie jedna z moich łodzi.

- Panno Palmer... – zaczął niezdecydowanie. – Jeśli zmieni pani zdanie w sprawie kolacji...

W głosie Jonasa dało się słyszeć wahanie, a on sam nie mógł zrozumieć, dlaczego nie odczuwa satysfakcji, choć udało mu się pomyślnie przeprowadzić cały manewr.

- Nie zmienię.

- Zatrzymałem się w „El Presidente”.

- Doskonały wybór – powiedziała i ruszyła w stronę portu, gdzie właśnie cumowała jej łódź.

Gdy rano Liz wsiadła na swój skuter, słońce już mocno grzało, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Od wczoraj miała cichą nadzieję, że może jednak będzie padał deszcz.

- A niech to! – syknęła ze złością.

Czuła, że Jonas Sharpe nie da za wygraną i spróbuje wciągnąć ją w swoje sprawy. Nawet teraz z łatwością mogła wyobrazić sobie jego cierpliwe spojrzenie i cichy, nalegający głos. Potrafiła docenić jego starania, bo z doświadczenia wiedziała, jak ważny jest upór, stanowczość i cierpliwość, jeśli chce się coś osiągnąć. Ona też posiadała te cechy i dlatego udawało jej się tam, gdzie inni, mniej cierpliwi, wycofywali się zbyt szybko. Nie mogła jednak ulec temu mężczyźnie. Nie było jej stać na taki luksus.

Przejażdżka dobrze znaną, wyboistą drogą powoli odprężała Liz. Wokół słyszała odgłosy budzących się do życia ludzi. Otwierano sklepy. Przy jednym z nich stał pan Pessado i szukał kluczy. Liz zatrąbiła klaksonem na powitanie. Zjechała w dół ulicy i poczuła zapach morza. Spojrzała we wsteczne lustro i zauważyła mały błękitny samochód. Dziwne, pomyślała, wczoraj też za mną jechał. Jednak kiedy wjechała na hotelowy parking, auto pojechało dalej.

- *Buenos dis.* Dzień dobry, Margarito – przywitała młodą kobietę z wózkiem do sprzątnia.

- *Buenos dis, Liz. Como est?* Jak się masz?

- Bien. U mnie w porządku, a jak tam Ricardo?

- Znów wyrósł ze spodni - odparła sprzątaczką. - Cieszy się, że Faith niedługo przyjeżdża.

- Ja też się nie mogę doczekać - przytaknęła Liz i zostawiła kobietę przy windzie dla obsługi.

Dobrze pamiętała, jak to jest pracować w tak dużym hotelu. Sama, jeszcze nie tak dawno, towarzyszyła Margaricie przy zmienianiu ręczników, słaniu łóżek i sprzątaniu pokoi. Młoda kobieta zaliczała się do grona przyjaciół Liz, którzy szybko zaakceptowali dziewczynę w ciąży, lecz bez obrączki na palcu. Liz mogła kupić obrączkę i opowiadać o swym rozwodzie lub wdowieństwie. Była jednak uparta i nie chciała kłamać. Dziecko należało tylko do niej i nie zamierzała się tego wstydzić.

Dotarła do sklepu przed czasem, taszcząc dwie torby z jedzeniem i jeszcze jedną, mniejszą, z przynętą.

- Liz! - zawołał szczupły, opalony mężczyzna z cienkim czarnym wąsikiem.

- Witaj, Luis.

- Płyniesz na ryby? - zażartował i pomógł jej nieść ciężkie torby. - Zmieniłem ci grafik. Na morską przejażdżkę zapisało się kilkanaście osób. Obie łodzie wypłyną przed południem, więc powiedziałem Miguelowi, żeby dziś nam pomógł. Nie masz nic przeciwko?

- Oczywiście, że nie, ale chyba będę musiała w końcu kogoś zatrudnić - odparła z westchnieniem. - A teraz chodźmy obejrzyć łódź.

Gdy tylko Liz postawiła stopę na pokładzie, rozpoczęła rutynową kontrolę. Pokład był czysty, sprzęt w komplecie. Łódź była niezbyt duża i nie tak dobrze wyposażona jak inne łodzie do sportowego wędkowania, lecz klienci Liz nie mieli powodów do narzekania. Znała świetnie wody przy półwyspie Jukatan i nie potrzebowała sonaru, by odnaleźć żerujące ryby. Zresztą, była przekonana, że Jonas nie rozróżnia gatunków ryb i nie poznałby tuńczyka, nawet gdyby ten przepływał mu przed samym nosem. Zdecydowała, że zapewni prawnikowi niezapomniane przeżycia. Jonas będzie tak zajęty wędkowaniem przez cały dzień, że rozbolą go ręce i kręgosłup, a wieczorem będzie marzył jedynie o odpoczynku i gorącej kąpieli. Liz zaśmiała się pod nosem.

- Zajmę się tu wszystkim - powiedziała do Luisa. - Ty otwórz sklep i dopilnuj, by łodzie były gotowe na czas - dodała i spojrzała na mężczyznę.

- *Madre de Dios* - szepnął Luis, wzywając boskiej pomocy i szybko przeżegnał się, cały czas patrząc na molo.

- Co się... - zaczęła i dostrzegła Jonasa.

Miał na nosie ciemne okulary, a głowę ocieniał mu słomkowy kapelusz. Spłowiała koszulka, krótkie spodnie i ślad zarostu na twarzy nadawały mu wygląd niebezpiecznego, ale i uroczego zawadiaki. Jonas nie mógł już bardziej upodobnić się do swego brata, pomyślała Liz, jednocześnie zdając sobie sprawę, co musi teraz czuć Luis.

- Luis, to tylko jego brat. Słyszysz? To bliźniak Jerry' ego.

- Powstał z martwych - wyszeptał jej pracownik zbielełymi wargami.

- Nie bądź śmieszny - skarciła go. - Ma na imię Jonas i swoim zachowaniem wcale nie przypomina Jerry' ego. Sam się zaraz przekonasz... Przyszedł pan przed czasem, panie Sharpe! - zawołała do Jonasa.

- „Expatriate” - mężczyzna głośno przeczytał nazwę łodzi. - Wygnanka. Czy tak właśnie się czułaś, Liz?

Nie odpowiedziała na jego zaczepkę.

- To Luis - przedstawiła swojego pracownika. - Właśnie przeżył mały szok na pana widok.

- Przykro mi - odparł Jonas i przyjrzał się szczupłemu mężczyźnie, na którego czole perlił się pot. - Znał pan mojego brata?

- Pracowaliśmy razem - powoli odpowiedział Luis. - Dawaliśmy lekcje nurkowania. Jerry lubił to... najbardziej. Odcumuję liny - oznajmił nagle, jeszcze raz spojrzawszy na Jonasa i zeskoczył z pokładu.

- Wygląda na to, że wszyscy podobnie reagują na mój widok - zauważył Jonas. - A ty? Wciąż będziesz mnie trzymała na dystans?

- Szczycimy się naszą uprzejmością wobec klientów. Wynajął pan „Expatriate” na cały dzień, panie Sharpe. Proszę się rozgościć - powiedziała formalnym tonem, wskazując mu pokład pasażerski i specjalne krzeselko dla wędkarza. - Luis! - zawołała do swego pracownika. - Powiedz Miguelowi, że dostanie wypłatę, jeżeli dotrwa do końca dnia!

Liz uruchomiła silnik i wyprowadziła łódź z przystani. Sprawnie manewrowała, by ominąć podwodne przeszkody. Gdy wypłynęli na otwarte morze, zwiększyła szybkość. Mimo że lekka bryza przyjemnie chłodziła jej policzki i marszczyła powierzchnię wody, wiedziała, że niedługo zacznie się prawdziwy upał. Miała nadzieję, że do tego czasu Jonas będzie już walczył ze swoją wielką rybą.

- Widzę, że z łodzią radzisz sobie równie sprawnie, jak z klientami w sklepie - zauważył Jonas.

- To moja praca - odparła, kryjąc rozdrażnienie. - Byłoby panu wygodniej na pokładzie pasażerskim, panie Sharpe.

- Mów mi Jonas. A tu jest mi bardzo wygodnie - zapewnił i uważnie przyjrzał się Liz.

Jej włosy były ukryte pod białą czapeczką z napisem promującym firmę. Taki sam napis widniał na spłowiejącej od słońca koszulce. Nagle Jonas zapragnął zobaczyć Liz bez tych wszystkich ozdób. Żeby przegnać niechciane myśli, postanowił zająć się rozmową.

- Od jak dawna masz tę łódź?

- Od siedmiu lat. To porządna łajba - zapewniła go. - W tych ciepłych wodach można znaleźć marlina, tuńczyka i rybę miecz. Możesz zacząć zanęcać.

- Zanęcać?

Liz rzuciła mu szybkie spojrzenie. A więc miała rację. Nie miał pojęcia o wędkarstwie.

- Wrzucać przynętę do wody - odpowiedziała. - Popłyniemy powoli, a ty rozrzucisz przynętę, która przyciągnie ryby.

- To chyba da mi nieuczciwą przewagę? Czy łowienie nie polega na umiejętnościach i szczęściu?

- Dla niektórych to kwestia przeżycia, dla innych możliwość zdobycia kolejnego trofeum. - Liz wzruszyła ramionami i rozejrzała się, czy w pobliżu nie ma żadnych nieświadomych niebezpieczeństwa nurków.

- Nie interesują mnie trofea.

- A co cię interesuje?

- W tej chwili ty - powiedział Jonas i nakrył jej dłoń swoją. - I nigdzie mi się nie spieszy.

- Zapłaciłeś za możliwość wędkowania - przypomniała mu Liz.

- Zapłaciłem za twój czas - poprawił ją.

Był na tyle blisko, że Liz mogła dostrzec jego oczy za ciemnymi szklami okularów. Były zupełnie spokojne, jakby ich właściciel rzeczywiście się nie spieszył i mógł poświęcić jej dużo czasu. Czuła dotyk dłoni Jonasa. Nie była gładka, jak myślała Liz, lecz szorstka, jakby przyzwyczajona do fizycznej pracy. Nagle poczuła dreszcz podniecenia, choć myślała, że dawno uodporniła się na kontakty z mężczyznami.

- Więc zmarnowałeś pieniądze.

Jej dłoń znów drgnęła pod ręką Jonasa. Zdążył się już zorientować, że dziewczyna jest uparta. Teraz dowiedział się też, że jest silna, choć wygląda tak krucho. Spojrzenie Liz mówiło, że kiedyś wiele wycierpiała i nie da się zranić ponownie. Miała w sobie jednak coś, co pociągało mężczyzn i sprawiało, że nie potrafili racjonalnie myśleć w jej obecności. Jonas nie mógł zrozumieć, dlaczego Jerry nie został jej kochankiem. Z pewnością nie stało się to z braku chęci ze strony jego brata.

- Nie byłby to pierwszy raz, gdy zmarnowałem pieniądze, ale coś mi mówi, że będzie inaczej.

- Nie mogę ci pomóc i nie mam nic do powiedzenia - oznajmiła nagle i wyszarpnęła dłoń.

- Może i nie. A może wiesz coś, z czego nawet nie zdajesz sobie sprawy. Od dziesięciu lat zajmuję się prawem karnym. Nie masz pojęcia, jak ważne mogą być nawet strzępki informacji. Porozmawiaj ze mną. Proszę.

Liz poczuła, że jej upór słabnie. Jak to możliwe, że potrafiła godzinami negocjować ceny sprzętu, a teraz już po minucie ulegała prośbie tego obcego mężczyzny? Wiedziała, że Jonas może jej przynieść wyłącznie kłopoty. Westchnęła.

- Dobrze, porozmawiajmy - zgodziła się i ustawiła łódź w dryf. - Kiedy będziesz łowił - dodała i uśmiechnęła się. - Bez zanęty. Teraz usiądź i odpręż się. Czasem ryba bierze nawet bez zanęty. Jeśli jakąś złapiesz, przypnij się pasem do krzesła i pracuj.

- A ty? - spytał, sadowiając się wygodnie na krześle.

- Ja wracam do sterówki i postaram się utrzymywać stałą prędkość, żeby to, co złowisz, nie urwało nam się z haczyka. Są lepsze miejsca niż to, ale skoro nie zależy ci na wędkowaniu, nie zamierzam marnować paliwa.

- Zawsze rozsądna, prawda?

- Życie mnie do tego zmusiło.

- Dlaczego znalazłaś się na Cozumel? - spytał Jonas i ignorując wędkę, zapalił papierosa.

- Jesteś tu od kilku dni i jeszcze tego nie rozumiałaś? - zdziwiła się i zatoczyła ręką krąg.

- W twoim kraju też jest wiele pięknych miejsc. Skoro jesteś tu już dziesięć lat, pomyślałem, że wyjeżdżając z kraju, byłaś jeszcze dzieckiem.

- Nie, nie byłam - zaprzeczyła, a Jonas zrozumiał, że trafił na jedną z jej tajemnic. - Znalazłam się tu, bo wydawało mi się to najlepszym

rozwiązaniem. Gdy byłam małą, co roku przyjeżdżaliśmy na Cozumel. Moi rodzice też uwielbiają nurkować.

- Przeprowadziliście się tu razem?

- Nie. Przyjechałam sama - odparła sucho. - Nie zapłaciłeś dwustu dolarów, żeby rozmawiać o mnie.

- To może mi pomóc. Mówiłaś, że masz córkę. Gdzie ona teraz jest?

- Chodzi do szkoły w Houston. Tam mieszkają moi rodzice.

Jonas znał wielu ludzi, którzy mogliby porzucić własne dziecko i prowadzić wygodne życie na tropikalnej wyspie. Jednak nie pasowało to do Liz.

- Tęsknisz za nią - stwierdził po chwili.

- Bardzo - mruknęła Liz. - Za kilka tygodni wróci do domu i spędzimy razem całe lato. Wrzesień zawsze przychodzi zbyt szybko - powiedziała bardziej do siebie, niż do niego i zaczęła rozmyślać na głos. - To dla jej dobra. Rodzice świetnie się nią opiekują i ma tam zapewnioną najlepszą edukację. Faith może brać lekcje baletu i gry na fortepianie. Poza tym zawsze przysyłają mi zdjęcia małej - dodała i gdy poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami, zamilkła.

Jonas zauważył, że Liz walczy ze łzami i dlatego przestała mówić. Siedział w ciszy i palił papierosa, dając jej czas, by uporała się ze swoimi emocjami.

- Myślałaś kiedyś o powrocie? - spytał po długiej chwili.

- Nie - zaprzeczyła, przełknęła łzy i pomyślała, że to zdjęcia córki przysłane wczorajszą pocztą tak ją rozczuliły.

- Ukrywasz się?

Liz poderwała gwałtownie głowę. W jej oczach nie było już łez. Płonęły gniewem. Jonas uniósł rękę w uspokajającym geście.

- Wybacz. Czasem zdarza mi się wepchnąć palce między drzwi.

- W ten sposób może je pan stracić, panie Sharpe - powiedziała, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

- Istnieje taka możliwość - zaśmiał się Jonas. - Ryzyko zawodowe. Ludzie nazywają cię Liz, prawda?

- Owszem, moi przyjaciele - odparła zaskoczona.

- Pasuje do ciebie, chyba że próbujesz narzucić dystans w rozmowie. Wtedy powinni zwracać się do ciebie Elizabeth.

- Nikt mnie tak nie nazywa - odparła i pomyślała, że Jonas specjalnie zmienił temat.

- Dlaczego nie sypiałaś z Jerrym? - zapytał nagle, wciąż się uśmiechając.

- Słucham?

- Na swój sposób jesteś piękną kobietą - oznajmił dość obojętnie i wyrzucił niedopałek papierosa za burtę. - Jerry nie potrafił się oprzeć pięknym kobietom. Nie rozumiem, dlaczego nie zostaliście kochankami.

Przez krótką chwilę Liz cieszyła się, że znów ktoś nazwał ją piękną kobietą. Od tak dawna nie słyszała tych słów. Nikt jej tego nie mówił wtedy, gdy tak rozpaczliwie pragnęła je słyszeć. A teraz nie były już jej potrzebne. Posłała Jonasowi mordercze spojrzenie.

- Nie miałam na to ochoty. Może trudno ci to pojąć, skoro był do ciebie tak podobny, ale ja z łatwością mogłam mu się oprzeć.

- Tak? - zdziwił się uprzejmie Jonas i sięgnął po piwo, które zabrał ze sobą. Wyciągnął rękę z butelką w jej kierunku w geście propozycji. Gdy Liz pokręciła przecząco głową, sam się poczęstował. - Dlaczego?

- Miał duszę włóczęgi. Zjawił się na chwilę w moim życiu. Dałam mu pracę, bo był bystry i silny. Sądziłam, że zniknie, zanim minie miesiąc. Mężczyźni tacy, jak on, nie potrafią nigdzie zatrzymać się na dłużej.

- Mężczyźni tacy, jak on?

- Tacy, którzy szukają szybkiego i łatwego zarobku. Tacy, co gonią za marzeniami.

- A więc poznałaś go nieco. Czego tu szukał?

- Powiedziałam, że nie wiem! Sądzę, że słońca i dobrej zabawy - odparła rozdrażniona. - Wynajęłam mu pokój, bo wydał mi się niegroźny, a ja potrzebowałam pieniędzy. Nie byliśmy przyjaciółmi. Jedyne, o czym potrafił mówić bez końca, to nurkowanie dla grubej forsy.

- Gdzie chciał nurkować dla tych pieniędzy?

- Chciałabym, żebyś jednak zostawił mnie już w spokoju - powiedziała, zdjęła czapeczkę i niecierpliwie przesunęła dłonią po włosach.

- Jesteś realistką, prawda, Elizabeth?

- Owszem - odparła i wojowniczo wysunęła podbródek.

- Więc zdajesz sobie sprawę, że nie mogę tego zrobić. Gdzie zamierzał nurkować?

- Nie wiem. Przystawałam go słuchać, gdy zaczynał opowiadać, jaki wkrótce będzie bogaty.

- Spróbuj przypomnieć sobie, co mówił - poprosił łagodnie Jonas.

- Mówił coś o zbiciu fortuny na nurkowaniu, a ja spytałam, czy może znalazł jakiś zatopiony skarb... - Liz starała się odtworzyć tamten wieczór,

gdy była zajęta rachunkami, a Jerry snuł marzenia o bogactwie. – To był późny wieczór, a właściwie już noc. Pracowałam w domu. Zawsze lepiej prowadziło mi się księgi w nocy. Kiedy Jerry wrócił, pomyślałam, że musiał nieźle się gdzieś zabawić, bo lekko się zataczał. Wpadł na mnie i porozrzucił mi papiery. Chciałam powiedzieć mu coś do słuchu, ale się rozmyślałam, bo robił wrażenie bardzo szczęśliwego i wcale mnie nie słuchał. Zaczęłam porządkować dokumenty, a on zaproponował, że kupi szampana, by uczcić swój sukces. Poradziłam mu, żeby przy swojej pensji zadowolił się raczej piwem. Zaczął gadać o krojącym mu się złotym interesie i nurkowaniu dla grubej forsy, a wtedy spytałam go o ten zatopiony skarb.

– I co na to Jerry?

– Powiedział, że czasem bardziej opłaca się coś zatopić, niż wydobyć z dna morza. – Liz przypomniała sobie śmiech Jerry' ego, gdy poradziła mu, żeby się przespał, bo gada od rzeczy. – Potem spróbował mnie zaciągnąć do łóżka, ja mu odmówiłam i uznaliśmy sprawę za niebyłą. Potem... chyba poszedł zadzwonić. Ja musiałam wracać do pracy...

– Kiedy to było?

– Jakiś tydzień po tym, jak go zatrudniłam.

– Więc to do mnie wtedy dzwonił – powiedział Jonas w zamyśleniu.

On również nie zwrócił szczególnej uwagi na słowa Jerry' ego. Brat wspominał coś o powrocie do domu w wielkim stylu. Ale Jerry zawsze tak mówił, a potem dzwonił do Jonasa, by ten wyciągał go z kłopotów.

– Widziałaś, żeby kiedyś z kimś dyskutował albo się kłócił?

– Nigdy się z nikim nie sprzeczał. Flirtował z dziewczynami na plaży, uprzejmie rozmawiał z klientami i starał się być miły dla moich pozostałych pracowników. Chyba najwięcej czasu spędzał w San Miguel, odwiedzając okoliczne bary w towarzystwie Luisa.

– Jakie bary?

– Musisz zapytać Luisa, choć sądzę, że policja już dawno to zrobiła – odparła Liz i wzięła głęboki oddech, uznając, że wystarczy już grzebania się w minionych sprawach. – Panie Sharpe, dlaczego nie zostawi pan tego policji? Gonienie cieni nic nie pomoże.

– Jerry był moim bratem – stwierdził Jonas i nagle zdał sobie sprawę, że to nie oddawało w pełni jego uczuć.

Gdy zginął jego brat bliźniak, poczuł się tak, jakby umarła część jego duszy. Jeśli znów miał zaznać spokoju, musiał się dowiedzieć, dlaczego zamordowano Jerry' ego.

- Nie zastanawiałaś się, dlaczego zginął?

- Oczywiście, że się zastanawiałam. Sądziłam, że wdał się w jakąś bójkę lub pochwalił się nadzieją na zysk nie tej osobie, co trzeba.

- To nie była zemsta ani napad rabunkowy, Elizabeth. To była robota zawodowca.

- Nie rozumiem - pokręciła głową, próbując opanować nagłe drżenie i bicie serca.

- Jerry został zamordowany przez zawodowego zabójcę. A ja chcę się dowiedzieć, dlaczego.

- Jeśli masz rację, to tym bardziej należy zostawić sprawę policji - odparła.

Jonas sięgnął po kolejnego papierosa i zapatrzył się w linię horyzontu.

- Policja nie szuka zemsty, a ja tak - powiedział spokojnym głosem, od którego Liz przeszedł dreszcz.

- Nawet jeśli znajdziesz tego przestępcę, co możesz mu zrobić? - spytała, kręcąc głową.

- Jako prawnik będę zmuszony przypilnować, by znalazł się za kratkami. Ale jako brat... - powiedział i urwał, by pociągnąć łyk piwa. - Zobaczymy.

- Sądzę, że nie jest pan miłym człowiekiem, panie Sharpe.

- Nie jestem - przytaknął z mocą i spojrzał jej prosto w oczy. - I nie jestem nieszkodliwy. Jeśli się na coś zdecyduję, wytrwale dążę do celu.

Liz chciała coś jeszcze powiedzieć, lecz zrezygnowała, widząc upór w jego oczach. Wzruszyła ramionami, spojrzała na wędkę i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Złapał pan rybę, panie Sharpe - oznajmiła sucho. - Radzę się przypiąć do krzeselka i wziąć do roboty, zanim ryba wyciągnie pana za burzę - dodała, odwróciła się na pięcie i zostawiła Jonasa samego z wściekle walczącą rybą.

ROZDZIAŁ TRZECI

Słońce właśnie zachodziło, gdy Liz zaparkowała skuter na swoim podjeździe. Wciąż jeszcze się śmiała. Niezależnie od kłopotów, jakie przysporzył jej Jonas, miała swoje dwieście dolarów, a on miał ponad dziesięciokilogramowego marlina. Czy chciał go, czy nie.

Warto było poświęcić jedno popołudnie, żeby zobaczyć jego minę, gdy zrozumiał, że przyszło mu walczyć z ogromną, wściekłą i bardzo silną rybą. Może nawet zrezygnowałby, gdyby wtedy nie obrzuciła go złośliwym, rozbawionym spojrzeniem. Ależ był uparty! Gdyby spotkała go w innych okolicznościach, może mogłaby nawet podziwiać tę jego cechę.

Nie miała racji, podejrzewając, że młody prawnik nie umie posługiwać się wędką. Ale i tak wyglądał zabawnie, gdy stał zmieszany na pomoście, a tłum wokół niego powoli gęstniał. To dało Liz możliwość ukradkowego zniknięcia. Nie mógł jej gonić, skoro każdy przechodzień chciał obejrzeć jego zdobycz i pogratulować udanych łowów.

Liz uporała się wreszcie z kluczami i otworzyła na oścież drzwi, żeby wpuścić do domu trochę świeżego powietrza, pachnącego nadciągającym deszczem. Uruchomiła wiatraki i włączyła radio. Poszła do sypialni, zapaliła światło i zaczęła się rozbierać, by wziąć prysznic.

Nagle znieruchomiała. Zauważyła, że rolety są opuszczone, a była pewna, że wychodząc, zostawiła je podniesione. Musiała być bardziej zaprzątnięta myślami o Jonasie, niż chciała przyznać. Uznała, że pan Sharpe zbyt często gości w jej myślach. Mężczyzna taki jak on miał do tego prawo, lecz Liz doszła do wniosku, że poświęciła mu już zbyt wiele swego cennego czasu. Ale teraz, skoro dowiedział się od niej wszystkiego, nie powinien już więcej składać jej niezapowiedzianych wizyt. Nagle przypomniała sobie znaczące spojrzenie Jonasa, gdy mówił, że potrafi być bardzo wytrwały w dążeniu do celu.

Jeszcze raz spojrzała na opuszczone rolety. Sznurek nie był zaczepiony i luźno zwisał. Liz nie lubiła tego. Pewnie dlatego, że wszystkie liny na łodzi zawsze są zabezpieczone. Wzruszyła ramionami i podeszła, by go poprawić.

Spiker w radio oznajmił, że wieczorem będzie padać i zapowiedział nowy przebój. Liz, nucąc pod nosem, zdecydowała, że przyrządzi sałatkę z kurczaka, zanim usiądzie do sprawdzania rachunków.

Zanim zdążyła odwrócić się od okna, silne ramię zacisnęło się na jej szyi. Zdołała dostrzec błysk srebra na przegubie napastnika. Poczowała na gardle chłód noża.

- Gdzie to jest? - wysyczał jakiś głos po hiszpańsku.

Wbiła paznokcie w duszące ją ramię i poczuła pod palcami plecioną bransoletę i twarde mięśnie napastnika. Szarpnęła się, lecz szybko zaprzestała walki, gdy ostrze noża wbiło się w jej skórę. Z trudem chwyciła powietrze.

- Czego chcesz? - szepnęła, wiedząc, że nie ma w domu żadnej biżuterii, a w jej torebce spoczywa tylko pięćdziesiąt dolarów. - Torebka leży na stole. Weź ją sobie.

- Gdzie on to schował? - usłyszała pytanie, poparte brutalnym szarpnięciem za włosy.

- Kto? Nie wiem, czego chcesz.

- Sharpe. Koniec zabawy, paniusiu. Jeśli chcesz żyć, lepiej mi powiedz, gdzie ukrył pieniądze.

- Nie wiem - wycharczała i poczuła, że nóż przecina jej skórę. Coś lepkiego pociekło Liz za dekolt. Czuła, że zaraz wpadnie w histerię. - Nigdy nie widziałam żadnych pieniędzy! Sprawdź, tu nic nie ma!

- Już sprawdziłem - odparł i tak wzmocnił uścisk, że Liz pociemniało w oczach. - Sharpe umarł szybko. Ty nie będziesz miała tyle szczęścia, jeśli nie powiesz mi, gdzie są pieniądze.

On mnie zabije, pomyślała w panice. Umrę za coś, o czym nie mam pojęcia. Pieniądze... Zbir chciał pieniędzy, a ona miała tylko pięćdziesiąt dolarów... Zaczęła tracić przytomność. Faith... Ta nagła myśl o córce przywróciła jej na chwilę świadomość. Kto się zajmie Faith, jeśli ja umrę? Liz zagryzła do krwi dolną wargę. Ból rozjaśnił jej umysł. Nie mogła tak po prostu umrzeć. Musi walczyć dla Faith.

- Proszę... - szepnęła i udała, że osuwa się na ziemię. - Nie mogę mówić... Duszę się...

Poczowała, że uścisk nieco zelżał. Z całej siły uderzyła zbira łokciem w żołądek, kopnęła na oślep stopą i zaczęła uciekać. Pośliznęła się na dywaniku, który nagle uciekł jej spod stóp, ale nie obejrzała się za siebie.

Odzyskała równowagę i pobiegła do drzwi. Zaczęła wołać o pomoc, zanim jeszcze wybiegła z domu.

Musiała tylko przebiec trawnik i przeskoczyć niski płotek, by dostać się do domu sąsiada. Drząc i pochlipując, szarpnęła klamkę. Za sobą usłyszała pisk opon ruszającego gwałtownie samochodu.

- Chciał mnie zabić! - wykrztusiła i zemdląła.

- Nic więcej nie mogę powiedzieć, panie Sharpe - oznajmił Moralas.

Siedzieli w małym biurze kapitana. Policjant nie był zadowolony z wyników śledztwa. Teczka, leżąca na jego biurku, zawierała za mało informacji. Nic nie wskazywało na powód, dla którego zginął młody Amerykanin. Naprzeciwko miał jego lustrzane odbicie, które wpatrywało się nieustępliwie w Moralasa.

- Zastanawiam się, czy śmierć pańskiego brata nie była wynikiem wydarzeń sprzed jego przyjazdu na wyspę. Poprosiliśmy o pomoc departament w Nowym Orleanie. To był, zdaje się, ostatni adres pańskiego brata?

- On nigdy nie miał adresu - mruknął pod nosem Jonas.

Ani stałej pracy czy długotrwałego związku, pomyślał. Jerry był jak kometa, która nie zamierzała się nigdy wypalić.

- Powiedziałem przecież, co mówiła panna Palmer. Jerry szykował się na jakiś wielki interes. Miało się to stać tu, na Cozumel.

- Tak, coś związanego z nurkowaniem - przytaknął cierpliwie Moralas i sięgnął po cygaro. - Doceniam tę informację, choć rozmawialiśmy już z panną Palmer.

- Ale nie ma pan pojęcia, co z tym zrobić!

Kapitan sięgnął po zapalniczkę i spojrzał ponad płomieniem na Jonasa.

- Jest pan brutalnie szczery. Dobrze, ja też postawię sprawę jasno. Jeśli istniał jakiś ślad prowadzący do rozwiązania zagadki śmierci pańskiego brata, to na pewno już dawno znikł. Nie było odcisków palców, świadków ani narzędzia zbrodni - powiedział policjant i wziął teczkę ze sprawą Jerry'ego. - Nie oznacza to, że wrzucę ją do szuflady i zapomnę. Jeśli na mojej wyspie jest morderca, zamierzam go znaleźć. Sądzę jednak, że w tej chwili jest on daleko stąd. Może nawet w pańskiej ojczyźnie. Musimy cofnąć się w czasie i prześledzić wcześniejsze poczynania i kontakty pańskiego

brata. A mówiąc szczerze, panie Sharpe, nie pomaga mi pan swoim pobylem na Cozumel.

- Nie zamierzam wyjeżdżać.

- To oczywiście pańskie prawo, póki nie zakłóca pan toku śledztwa - oznajmił groźnie Moralas, odłożył cygaro i odebrał dzwoniący telefon.

- Moralas - niemal warknął w słuchawkę i umilkł, marszcząc brwi. - Tak, proszę przełączyć. Panno Palmer, mówi kapitan Moralas.

Jonas zastygł w bezruchu z papierosem w jednej dłoni i zapalniczką w drugiej. Zdawał sobie sprawę, że Liz Palmer może być kluczem do rozwiązania całej sprawy.

- Kiedy? Czy jest pani ranna? Nie, proszę zostać na miejscu, zaraz przyjadę do pani - powiedział Moralas, położył słuchawkę i wstał. - Zaatakowano pannę Palmer.

- Jadę z panem! - rzucił krótko Jonas i ruszył za policjantem.

Gdy samochód pędził po wyboistych drogach, Jonas nie zadawał żadnych pytań. Przed oczami miał obraz opalonej, szczupłej, nieco zadziornej dziewczyny. Przypomnił sobie jej uśmiezek, gdy zrozumiał, że walka z tak wielką rybą nie będzie łatwa. Dobrze pamiętał też, jak zgrabnie umknęła mu z pomostu, porzucając go na pastwę ciekawskich gapiów.

Napadnięto ją. Dlaczego? Może wiedziała więcej, niż chciała mu zdradzić? Była kłamczuchą, oportunistką czy tchórzem? Dopiero po chwili zastanowił się, czy bardzo ucierpiała.

Gdy podjechali pod dom Liz, Jonas obrzucił go szybkim spojrzeniem. Drzwi były otwarte, rolety zaciągnięte. Mieszka tu sama, bez żadnej ochrony, wystawiona na ciosy, pomyślał.

Zatrzymali się przy sąsiednim budynku. W drzwiach stała kobieta w bawełnianej sukience, osłoniętej białym fartuszkiem. W dłoni trzymała kij bejsbolowy okazałych rozmiarów. Opuściła go dopiero, gdy kapitan pokazał jej swoją legitymację i odznakę.

- Policja - westchnęła zadowolona. - Nazywam się Alderez. Ona jest w środku. Dziękuję Bożej Opatrzności, że akurat byliśmy w domu - powiedziała i gestem zaprosiła ich do mieszkania.

Liz siedziała na sofie, okrytej wzorzystą narzutą, i ścisnęła w dłoniach kieliszek z winem. Jonas dostrzegł, że płyn kołysze się, bo dziewczyna wciąż drży. Gdy weszli, podniosła wzrok i utkwiała spojrzenie w Jonasie. Ale jej oczy

patrzyły bez wyrazu. Po chwili powoli oderwała wzrok od prawnika i z powrotem zapatrzyła się w kieliszek.

- Panno Palmer - zaczął cicho Moralas i ostrożnie usiadł obok. - Czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

- Wróciłam do domu o zachodzie słońca. Nie zamknęłam frontowych drzwi. Poszłam prosto do sypialni - recytowałam głosem wypranym z emocji. - Rolety były opuszczone, ale wydawało mi się, że rano je podnosiłam. Sznurek wisiał luzem, więc podeszłam, żeby go poprawić. Wtedy mnie zaatakował... od tyłu. Przytrzymał mnie ramieniem i przyłożył nóż do gardła. Zranił mnie - powiedziała i dotknęła podłużnej rany, którą zajęła się wcześniej troskliwa sąsiadka. - Nie walczyłam, bo bałam się, że mnie zabije. Chciał to zrobić - oznajmiła i spojrzała prosto w oczy Moralasa. - Słyszałam to w jego głosie.

- Co mówił?

- Zapytał: gdzie to jest. Nie wiedziałam, czego chce. Powiedziałam, że może wziąć moją torebkę. Zaczął mnie dusić i spytał, gdzie on to schował. Powiedział: Sharpe - znów spojrzała na Jonasa, który zauważył, że na jej szyi zaczęły pojawiać się sińce. - Dodał, że to koniec zabawy i zabije mnie, jeśli nie powiem, gdzie są pieniądze. Oznajmił, że nie będę miała tyle szczęścia, co Jerry i nie umrę szybko. Nie uwierzył, gdy powiedziałam, że nic nie wiem - mówiła, wciąż patrząc na Jonasa, który zaczął mieć wyrzuty sumienia.

- Puścił panią? - spytał Moralas, delikatnie dotykając jej ramienia.

- Nie. Chciał mnie zabić - stwierdziła pozornie spokojnym, otępiłym głosem. - Wiedziała, że to robi, czy mu powiem cokolwiek, czy nie. A moja córeczka mnie potrzebuje... Udałam, że mdleję, wtedy on zelżył uścisk, a ja uderzyłam go łokciem w żołądek i kopnęłam... wyrwałam się i uciekłam.

- Rozpoznałaby go pani?

- Nie widziałam go. Nawet nie spojrzałam za siebie.

- A głos?

- Mówił po hiszpańsku. Chyba był niski, bo czułam jego usta tuż przy uchu. Nic więcej nie wiem. Ani o pieniądzach, ani o Jerry - powiedziała i odwróciła wzrok, bojąc się, że zaraz zacznie płakać. - Chcę już wrócić do domu.

- Oczywiście. Będzie to możliwe, gdy tylko moi ludzie sprawdzą, czy jest pani bezpieczna. Proszę na razie tu odpocząć, panno Palmer. Niedługo po panią wrócę.

Liz nie wiedziała, ile czasu minęło od chwili, gdy wbiegła do domu sąsiadów. Kiedy szła z Moralasem do swego domu, na niebie świecił już księżyc. Powiedziano jej, że wszystko sprawdzono i na jej podjeździe zostanie wóz policyjny. Bez słowa weszła do domu i ruszyła prosto do kuchni.

- Miała wiele szczęścia - powiedział Jonasowi kapitan. - Ktokolwiek ją zaatakował, był nieuważny.

- Sąsiedzi nic nie widzieli? - spytał Jonas i poprawił stolik, przewrócony w czasie ucieczki dziewczyny. Na ziemi leżała pęknięta muszla.

- Kilka osób zauważyło niewielki błękitny samochód. Pani Alderez widziała, jak odjeżdża, gdy otworzyła drzwi Liz. Ale nie potrafi powiedzieć, jakiej był marki, ani nie zauważyła numerów. Oczywiście, przydzielęm pannie Palmer ochronę, przynajmniej do czasu, kiedy znajdziemy to auto.

- Cóż, nie wygląda na to, żeby morderca mojego brata opuścił wyspę.

- To, czym zajmował się pański brat, kosztowało go życie. Nie pozwolę, by panna Palmer płaciła za to w ten sam sposób - szorstko odparł kapitan. - Odwiozę pana z powrotem.

- Nie. Zostanę tu - oznajmił Jonas, przyglądając się długiemu pęknięciu muszli, które przypominało ranę na szyi Liz. - Mój brat ją w to wciągnął. Nie mogę zostawić jej teraz samej.

- Jak pan sobie życzy - zgodził się Moralas i ruszył w stronę wozu.

- Kapitanie - zatrzymał go Jonas. - Nie uważa pan już, że morderca jest daleko stąd, prawda?

- Nie, nie uważam. Dobranoc, panie Sharpe. *Buenas noches*.

Jonas zamknął drzwi, sprawdził wszystkie okna i dopiero wtedy poszedł do Liz. Stała w kuchni i nalewała sobie kawę.

- Myślałam, że poszedłeś.

- Nie - odparł, wziął kubek i bez zaproszenia poczęstował się kawą.

- Po co zostałeś?

- Głupie pytanie - wymruczał, podszedł bliżej i delikatnie przesunął palcem po ranie na jej szyi.

- Chcę zostać sama - oznajmiła i cofnęła się, walcząc, aby nie stracić nad sobą kontroli.

- Nie zawsze dostajemy to, czego pragniemy - odparł Jonas, patrząc na jej drżące dłonie. - Ulokuję się w pokoju twojej córki.

- Nie! - krzyknęła, odstawiła z rozmachem kubek i skrzyżowała ręce na piersiach. - Nie chcę cię tutaj.

Z wystudiowanym spokojem postawił kubek na blacie. Oparł dłonie na jej ramionach i przemówił ostrym tonem.

- Nie zostawię cię samej, dopóki nie znajdą zabójcy Jerry' ego. Siedzisz w tym po uszy, czy ci się to podoba, czy nie. I ja również, do diabła!

- Nie byłam w nic zamieszana, dopóki nie przyjechałeś i nie zacząłeś mnie prześladować - oświadczyła wprost.

Jonas też miał o to pretensję do siebie. Nie mógł wiedzieć, czy to prawda, ale uważał, że na razie nie jest to istotne.

- Ktokolwiek zabił Jerry' ego, uważa, że ty coś wiesz. Raczej nie przekonałeś go, że jest inaczej. Lepiej zacznij ze mną współpracować.

- A skąd mam wiedzieć, że to nie ty go przysłałeś, żeby mnie nastraszył?

- Nie będziesz tego wiedziała - powiedział, patrząc jej w oczy. - Mógłbym zapewnić cię, że nie mam zwyczaju wynajmowania morderców, ale wcale nie musiałabyś mi uwierzyć. Mógłbym też powiedzieć, że bardzo mi przykro - dodał Jonas, odgarniając delikatnie włosy z twarzy dziewczyny. - Albo że wolałbym odejść i zostawić cię w spokoju. Ale nie mogę. Ty też nie. Więc najlepiej zrobimy, pomagając sobie nawzajem.

- Nie chcę twojej pomocy.

- Wiem - skinął poważnie głową. - Usiądź, przygotuję ci coś do jedzenia.

- Nie możesz tu zostać! - zawołała spłoszona.

- Ale zostaję. Jutro przeniosę moje rzeczy z hotelu.

- Powiedziałam...

- Wynajmę od ciebie pokój - przerwał jej i zabrał się do przeszukiwania kuchennych szafek. - Pewnie potwornie boli cię gardło. Sądzę, że rosół z puszki to najlepszy pomysł.

- Sama zatroszczę się o swój posiłek - fuknęła i wyrwała mu puszkę z zupą. - I nie zaproszę cię do mojego domu.

- Doceniam twoją wielkoduszność - zażartował i łagodnie odebrał jej puszkę. - Ale wolę wrócić do interesów. Sądzę, że dwadzieścia dolarów za tydzień, to rozsądna propozycja. Lepiej weź pieniądze, Liz - poradził, nie pozwalając jej się wtrącić - bo ja i tak zostaję. Siadaj - rozkazał i rozejrzał się za jakimś garnkiem.

Chciała się rozzłościć. To by jej dobrze zrobiło. Chciała nawrzeszczyć na tego irytującego mężczyznę i wyrzucić go z domu z wielkim hukiem. Zamiast tego ciężko usiadła, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Co się stało z jej samodzielnością? Przez dziesięć lat sama podejmowała wszystkie decyzje, sama odpowiadała za swoje czyny. Nie prosiła nikogo o radę ani o pomoc. A teraz straciła kontrolę nad wydarzeniami, a jej życie zamieniło się w dziwną grę, której reguł nie знаła.

Coś mokrego kapnęło na jej dłoń. Zaskoczona, dopiero teraz zrozumiała, że płacze. Szybko otarła oczy, lecz nie mogła już powstrzymać łez. Te łzy to była kolejna rzecz, na którą nie miała wpływu.

- Zdołasz zjeść grzankę? - spytał Jonas, a gdy nie doczekał się odpowiedzi, odwrócił się, by spojrzeć na Liz.

Siedziała sztywno przy stole, a po jej policzkach toczyły się ogromne łzy. Zaklął i odwrócił się z powrotem do kuchenki. Nie potrafił jej pocieszyć. W końcu nic nie powiedział, tylko usiadł przy niej i czekał.

- Myślałam, że mnie zabije - chlipnęła i ukryła twarz w dłoniach. - Czułam nóż na gardle i myślałam, że zaraz umrę. Boję się. Och, Boże, jak ja się boję!

Jonas przytulił ją do siebie i pozwolił się wypłakać. Nie był przyzwyczajony do rozdierająco szlochających kobiet. Te, które znał, pozwalały sobie uronić łezkę i nic ponadto. Nie miał pojęcia, jak ją pocieszać, więc tylko trzymał w ramionach.

Liz była lodowato zimna. Jonas się nie odzywał. Nie szukał słów pocieszenia, nie obiecywał jej, że wszystko będzie dobrze. Po prostu był. Wciąż tulił ją, choć przestała płakać i tylko drżała w jego ramionach. Zaczął padać deszcz. Krople uderzały o szyby i dach, szumiąc cicho. A Jonas wciąż ją tulił.

Gdy Liz odsunęła się nieco, bez słowa wstał, podszedł do kuchenki i zapalił gaz pod garnkiem z rosółem. Po chwili postawił przed nią parującą miskę i nalał bulionu również dla siebie. Liz, zbyt zmęczona, by się wstydzić, zaczęła jeść. W kuchni było słychać tylko deszcz i brzęk naczyń.

Nawet nie wiedziała, że jest głodna, lecz po chwili stała przed nią zupełnie pusta miska. Westchnęła i spojrzała na Jonasa. Siedział i palił w ciszy.

- Dziękuję - szepnęła cicho.

- Nie ma za co.

Opuchnięte oczy dziewczyny podkreślały jej bezbronność. Jej twarz wciąż była blada pod opalenizną. Jonas poczuł się nieswojo, bo wbrew sobie

pomyślał, że powinien chronić Liz. To była kobieta, przy której należało zachować emocjonalny dystans, by nie ulec jej czarowi. Jeśli się do niej zbliży, przypadnie z kretesem. Nie może się o nią troszczyć, skoro zamierza ją wykorzystać, by pomóc im obojgu. Jonas pomyślał, że od tej chwili musi się bardziej pilnować.

- Chyba wstrząsnęło to mną bardziej, niż przypuszczałam.

- Masz prawo do łez.

Skinęła głową, dziękując mu za to, że nie wyśmiewa jej słabości.

- Nie ma powodu, żebyś tu zostawał.

- I tak nie odejdę.

Liz zacisnęła dłonie w pięści, lecz po chwili pozwoliła im się rozluźnić. Nie potrafiła przyznać nawet przed sobą, że go potrzebuje i że po raz pierwszy od wielu lat boi się zostać sama. Skoro tak się upierał, niech zostanie. Liz postanowiła być praktyczna.

- Dobrze. Dwadzieścia dolarów za tydzień, pierwsza rata z góry.

- Wracasz do siebie - oznajmił z szerokim uśmiechem i położył banknot na stole.

- Posiłki nie są wliczone w cenę - zastrzegła.

- W porządku - zgodził się, patrząc, jak Liz wstaje, podchodzi do zlewozmywaka i zmywa naczynia.

- Klucz dam ci rano - oznajmiła i z wielką uwagą zaczęła wycierać miskę. - Myślisz, że on wróci? - spytała łamiącym się głosem.

- Nie wiem - odparł, podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach. - Ale jeśli wróci, nie będziesz sama.

Liz spojrzała mu w oczy i Jonas poczuł, że znów traci nad sobą kontrolę.

- Chcesz mnie chronić czy szukasz zemsty? - spytała po prostu.

- Gdy zajmę się jednym, może będę miał okazję zrobić też drugie - powiedział i nawinął końce jej włosów na swoje palce. - Powiedziałaś niedawno, że nie jestem miłym człowiekiem.

- A kim jesteś?

- Po prostu człowiekiem - odparł.

Wiedziała już, że jest pełen sprzeczności. Potrafił być cierpliwy, ale i brutalny. Wywierał wielki wpływ na ludzi.

- Ja też się zastanawiałem, Elizabeth, jaka naprawdę jesteś. Masz wiele sekretów.

- To nie ma z tobą nic wspólnego - szepnęła bez tchu.

- Może tak, może nie.

Jonas bardzo powoli pochylił się nad nią. Zafascynowana patrzyła, jak jego usta zbliżają się do jej warg. Nie mogła się ruszyć. Objął ją z wielką pewnością siebie.

Liz uważała go za gwałtownego człowieka, lecz usta Jonasa były miękkie, ciepłe i potrafiły uwodzić. Już od tak dawna nie pozwalała, by ktoś ją uwodził. Bez specjalnego nacisku ten mężczyzna sprawił, że znikła jej siła, na której polegała od lat.

Nie miał pojęcia, co go skłoniło do pocałowania Liz, lecz po chwili przestał się nad tym zastanawiać. Zagubił się w słodczy pocałunku. Spodziewał się oporu albo pasji i ognia. A Liz była słodka, uległa i pełna tęsknoty. Pożądanie ogarnęło go z siłą huraganu. Im więcej mu dawała, tym więcej pragnął. Ogarnęła go fala czułości. Wiedział, że dziewczyna go pragnie, czuł to. Ale powinien myśleć za oboje. Mimo że krew mu wrzała, oderwał usta od jej warg.

Dawno zapomniane potrzeby doszły do głosu i odbierały Liz zdolność jasnego myślenia. To się nie może znów stać, pomyślała. Lecz w jej oczach, oprócz wahania i bólu, była też nadzieja. Jonas z trudem opierał się tej mieszance emocji.

- Powinnaś się trochę przespać - powiedział chrapliwie, starając się jej nie dotknąć.

A więc to tak, pomyślała Liz. Niepotrzebnie uwierzyła, że w jej życiu coś się może zmienić. Uniosła podbródek i wyprostowała ramiona. Może straciła kontrolę nad wieloma sprawami, ale wciąż potrafiła zapanować nad swoim sercem.

- Rano dam ci klucz i rachunek. Wstaję o szóstej - oznajmiła, wzięła banknot ze stołu i zostawiła Jonasa samego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dwunastu przysięgłych wpatrywało się w Jonasa pustym wzrokiem. Stał przed nimi w małej, dusznej i słabo oświetlonej sali sądowej, która rozbrzmiewała jego głosem. Młody prawnik trzymał całe naręcze ciężkich ksiąg. Wiedział, że nie może ich upuścić, choć bolały go ręce, a pot spływał z czoła. Prowadził jakąś ważną sprawę i wiedział, że nie może jej przegrać. Rozpoczął mowę końcową. Przysięgli pozostali niewzruszeni. Książki wysunęły się z jego rąk i z łoskotem spadły na ziemię. Werdykt zapadł.

Winny. Winny. Winny.

Pokonany Jonas stał z pustymi rękami. Odwrócił się, by spojrzeć na swojego klienta, którego zawiódł. Okazało się, że patrzy w oczy swemu lustrzanemu odbiciu. Czy to on był oskarżony? A może to Jerry? Zdesperowany Jonas zbliżył się do stołu sędziego. Czekala tu na niego Liz i spoglądała na niego ze smutkiem. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę ci pomóc - powiedziała i zaczęła rozplýwać się w powietrzu.

Jonas chciał złapać ją za rękę, ale jego palce przeniknęły przez dłoń dziewczyny. Widział już tylko jej wielkie, brązowe, smutne oczy. Po chwili znikła, a wraz z nią Jerry. Został sam z przysięgłymi, którzy na zimnych twarzach mieli wypisane zadowolenie.

Obudził się zlany potem. Otworzył szeroko oczy i spojrzał wprost na półkę pełną lalek. Hiszpańska tancerka unosiła do góry kastaniety, królewna trzymała w dłoni szklany pantofelek, a wesoła lalka Barbie machała do niego ze swojego różowego autka.

Jonas odetchnął głęboko, przesunął dłonią po twarzy i usiadł. Nic dziwnego, że miał dziwne sny. To towarzystwo źle na niego działało. Rozejrzał się wokół siebie. Pod przeciwległą ścianą pyszniła się spora kolekcja pluszowych zabawek. Wszystkie wpatrywały się w niego, poczynając od olbrzymiego misia po coś, co przypominało szczotkę z oczami.

Kawa, pomyślał Jonas, zaciskając powieki. Natychmiast potrzebuję kawy.

Wstał i ubrał się, ignorując uśmiechnięte twarze zabawek. Nie wiedział, od czego ma zacząć. Dźwięki za oknem w niczym nie przypominały mu Filadelfii z jej porannymi korkami i uporządkowanymi skwerami. Gdy wkładał koszulę, moneta zatańczyła na łańcuszku. Żadne prawnicze książki

nie podpowiedzą mu, co powinien robić. Nie było też precedensów, do których mógłby się odwołać. Będzie musiał działać na oślep, pomyślał i opuścił pokój Faith.

Liz krzątała się w kuchni ubrana w obcisłą koszulkę i coś, co przypominało dół bikini. Właśnie smarowała masłem grzanekę. Jonas zwykle nie budził się w pełni sił, ale nie byłby mężczyzną, gdyby nie zauważył pary zgrabnych opalonych nóg.

- Kawa jest gotowa - oznajmiła, nawet nie patrząc w jego stronę. - Jajka są w lodówce. Nie kupuję płatków, gdy nie ma mojej córki.

- Jajka wystarczą - mruknął i sięgnął po kawę.

- Bierz, co chcesz, ale potem kup to samo - powiedziała i włączyła radio, by posłuchać prognozy pogody. - Wychodzę za pół godziny, więc jeśli chcesz, żebym podwoziła cię do hotelu, musisz się pospieszyć.

- Mój samochód został w San Miguel - oznajmił, przytomniejąc z każdym kolejnym łykiem napoju.

Liz usiadła przy stole i zaczęła przeglądać plan dnia.

- Mogę podrzucić cię do „El Presidente” lub innego hotelu przy plaży. Stamtąd będziesz mógł pojechać taksówką.

Jonas sączył kawę i przyglądał się dziewczynie. Wciąż była blada, a cienie pod oczami zdradzały, że nie spała lepiej niż on.

- Nie myślałaś o dniu urlopu?

- Nie - odparła, spojrzała na niego po raz pierwszy tego ranka i po chwili znów zaczęła uważnie przeglądać swój plan dnia.

A więc ich stosunki mają pozostać na stopie zawodowej. Jonas zrozumiał, że Liz nie chce, by znów przekroczył wytyczoną przez nią granicę.

- Nie sądzisz, że przydałaby ci się chwila wytchnienia?

- Mam pracę. Lepiej zajmij się swoim śniadaniem, bo nie zdążysz go zjeść. Patelnia jest w szafce obok kuchenki - powiedziała znad kartki, poczekała, aż Jonas zacznie smażyć jajecznicę i znów na niego spojrzała.

Poprzedniego wieczoru zachowała się bardzo głupio. Prawie pogodziła się z faktem, że płakała w jego obecności. Za nic w świecie jednak nie mogła przebaczyć ani sobie, ani jemu, że tak łatwo poddała się pocałunkowi Jonasa i pozwoliła sobie mieć nadzieję.

Przez niego poczuła coś, o czym zdołała już niemal zapomnieć. Podniecenie. Chciała od niego czegoś, czego nie zamierzała już nigdy więcej pragnąć od żadnego mężczyzny. Uczucia. Nie odepchnęła go, tak jak innych.

Nawet nie próbowała. To on sprawił, że go zapragnęła, a potem ją odepchnął.

Więc lepiej rozmawiać tylko o interesach, pomyślała, gdy Jonas usiadł naprzeciw niej i zaczął jeść.

- Twój klucz i rachunek - powiedziała, kładąc przed nim jedno i drugie.

- Często wynajmujesz pokoje? - spytał, chowając je do kieszeni.

- Nie, ale teraz potrzebuję nowego sprzętu. - Wstała, żeby dolać sobie kawy i zmyć naczynia. - A ty często wynajmujesz pokój u obcej osoby, zamiast zatrzymać się w hotelu?

- Nie, ale już nie jesteśmy sobie obcy - uśmiechnął się szeroko.

- Owszem, jesteśmy - upierała się Liz.

- Gdy skończyłem studia prawnicze, zrobiłem aplikację u Neirama i Bakera w Bostonie. Potem rozpocząłem własną praktykę w Filadelfii - oznajmił i sięgnął po sól. - Specjalizuję się w prawie karnym. Nie jestem żonaty i mieszkam sam w wynajętym apartamencie. W wolnych chwilach remontuję stary wiktoriański dom, który niedawno kupiłem.

- I tak jesteśmy sobie obcy - powtórzyła, jednocześnie zastanawiając się, jak może wyglądać dom, o którym mówił.

- Czy zostaniemy przyjaciółmi, czy nie, łączy nas ten sam problem - odparł, wzruszając ramionami.

Liz upuściła kubek, który właśnie myła. Wyszczzerbił się nieco, lecz nie zwróciła na to uwagi.

- Masz dziesięć minut - oznajmiła sucho i chciała wyjść z kuchni, lecz Jonas chwycił ją za ramię.

- Naprawdę mamy ten sam problem, Elizabeth - powtórzył poważnie.

- Nieprawda. Chcesz pomścić śmierć brata, a ja chcę żyć jak dawniej - prychnęła rozzłoszczona.

- Myślisz, że wszystko się ułoży, jeśli teraz wyjadę?

- Tak! - przytaknęła gorąco i odwróciła wzrok, wiedząc, że kłamie.

- Gdy cię poznałem, odniosłem wrażenie, że jesteś inteligentną kobietą. Nie wiem, dlaczego się ukrywasz na tej uroczej wysepce, ale rusz głową! To, co cię wczoraj spotkało, wydarzyłoby się także wówczas, gdybym nie pojawił się na Cozumel.

- No, dobrze. To nie była twoja wina, tylko Jerry' ego. Ale to wcale nie zmienia mojego położenia.

- Dopóki ten człowiek myśli, że wiesz, w co był zamieszany mój brat, stanowisz cel. Póki jesteś celem, zamierzam być przy tobie, bo dzięki temu trafię na mordercę Jerry' ego - powiedział dobitnie Jonas przez zaciśnięte zęby.

- Tym są dla ciebie ludzie? - spytała jadownicę, gdy minęła pierwsza fala gniewu. - Narzędziami? Środkami do celu? - wyrzuciła z siebie i spojrzała na jego zastygłą twarz. - Dla mężczyzn, takich jak ty, liczą się tylko ich własne sprawy.

- Nie znałaś mężczyzn takich jak ja - powiedział ze złością i ujął jej twarz w dłoń.

- Sądzę, że znałam - odparła cicho. - Nie jesteś wyjątkiem, Jonas. Wychowałeś się w dobrobycie i w atmosferze wielkich oczekiwań. Chodziłeś do najlepszych szkół i obracałeś się w doborowym towarzystwie. Ustaliłeś swoje cele i jeśli musiałeś po drodze kogoś skrzywdzić, to cóż, nie powinien tego zbyt brać do siebie. Nie robiłeś tego przecież z osobistych pobudek. To właśnie jest najgorsze - powiedziała i westchnęła. - Nigdy się nie angażowałeś - zarzuciła mu, oderwała jego dłoń od swej twarzy i popatrzyła mu prosto w oczy. - Czego ode mnie oczekujesz?

Jonas jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak podle. W kilku słowach Liz osądziła go i potępiła. Przypomniał sobie swój sen i puste twarze przysięgłych. Zaklął i podszedł do okna. Nie mógł się teraz wycofać, bo wiedział, że ma rację co do Liz. Była kluczem do rozwiązania zagadki śmierci jego brata.

Wyjrzał przez okno. W ogródku, na tyłach domu, pomiędzy drzewami, wisiał rozpięty hamak w jaskrawych kolorach. Jonas zastanowił się, czy Liz kiedykolwiek pozwoliła sobie tutaj na chwilę relaksu. Nagle zapragnął wziąć ją na ręce, zanieść do ogródka i położyć się z nią w hamaku. Marzył, by jedynym jego problemem stało się odganianie natrętnych owadów. Z głębokim westchnieniem nakazał sobie powrót do rzeczywistości.

- Muszę porozmawiać z Luisem. Chcę wiedzieć, dokąd chodził z Jerryem i kogo spotykali.

- Sama z nim rozmawiam - oznajmiła Liz, kręcąc głową. - Widziałeś, jak zareagował wczoraj na twój widok. Za bardzo się przy tobie denerwuje, by mówić rozsądnie. Poproszę, żeby spisał te wszystkie miejsca i osoby, które odwiedzali.

- Dobrze - przytaknął Jonas, przejrzał kieszenie i rozzłościł się, gdy zrozumiał, że zostawił papierosy w sypialni. - Ale musisz ze mną pójść w te miejsca, które wymieni. Zaczniemy już dziś wieczorem.

- Po co? - spytała, czując, jakby wciągały ją ruchome piaski.

- Bo muszę od czegoś zacząć.

- Ale po co ja ci jestem potrzebna?

- Nie mam pojęcia, ile czasu mi to zajmie, a nie zamierzam zostawiać cię samej.

- Jestem pod ochroną policji - przypomniała mu, unosząc brwi.

- To nie wszystko. Znasz język i zwyczaje, ja nie. Potrzebuję cię - powiedział i wetknął ręce do kieszeni. - To proste.

- Nic nie jest proste - zaprzeczyła Liz i zdjęła kawę z palnika. - Ale przyniosę ci listę i pójdę z tobą do tych pubów. Jest tylko jeden warunek.

- Jaki?

- Nieważne, co się stanie, czy odkryjesz to, czego szukasz, czy nie, ale znikniesz z tego domu, gdy wróci moja córka. Daję ci cztery tygodnie, Jonas. To wszystko, co mogę ci ofiarować.

- Cóż, będzie musiało mi to wystarczyć.

Liz potwierdziła ich umowę skinieniem głowy i ruszyła do drzwi.

- Pozmywaj po sobie. Zaczekam na ciebie przed domem - rzuciła przez ramię.

Gdy Jonas wyszedł na zewnątrz, zauważył, że na podjeździe Liz stoi policyjny samochód, a po drugiej stronie ulicy szepcze grupka przejętych dzieciaków. Dziewczyna zawołała jednego z nich po imieniu, poprosiła o coś i podała mu garść monet. Jonas nie musiał znać hiszpańskiego, by rozpoznać spotkanie w interesach. Po chwili chłopiec dołączył do reszty dzieci i zaczął rozdawać monety.

- O co chodziło?

- Poprosiłam, żeby zabawili się w detektywów. Jeśli zobaczą tu kogoś innego niż ty, ja czy policjant, mają pobiec do domu i zadzwonić do kapitana Moralasa. I tak spędzą tu cały dzień, a to przynajmniej zatrzyma ich z dala od kłopotów.

- Ile im dałaś?

- Po dwadzieścia pesos.

Jonas szybko dokonał niezbędnych przeliczeń i niedowierzająco pokręcił głową.

- Żaden dzieciak w Filadelfi nie podjąłby się jakiegokolwiek zajęcia za tę kwotę.

- To Cozumel - przypomniała mu i usiadła na skuterze.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Tym jeździsz?

- To świetny środek transportu - oznajmiła, powstrzymując uśmiech na widok jego miny.

- BMW jest świetnym środkiem transportu, ale nie coś takiego...

Liz nie wytrzymała i roześmiała się. Popatrzyła na niego przyjaźnie, a Jonas poczuł, że ziemia nagle uciekła mu spod nóg.

- Spróbuj przejechać swoim BMW po niektórych naszych drogach. Wskakuj, chyba że wolisz pojechać autostopem.

- Co mam zrobić z nogami? - spytał podejrzliwie, gdy już ostrożnie usiadł za Liz.

- Na twoim miejscu trzymałabym je z dala od kół - odparła z uśmiechem, zapaliła silnik i ruszyła powoli, przyzwyczajając się do jazdy z pasażerem.

- Są drogi gorsze od tej? - spytał po chwili Jonas, podskakując na wybojach.

- A co jest nie tak z tą drogą? - zdziwiła się uprzejmie, omijając kolejną dziurę w nawierzchni.

- Tak tylko zapytałem.

Nagle zatrąbiła klaksonem. Starszy, przygarbiony człowiek wychylił się ze sklepu i wesoło jej pomachał.

- To pan Pessado. Daje Faith cukierki, gdy myślą, że nie widzę.

Jonas chciał wypytać Liz o jej córkę, ale postanowił poczekać na bardziej sprzyjającą chwilę.

- Znasz wielu ludzi na wyspie? - zapytał w końcu.

- To chyba jest tak, jak w małym miasteczku. Nie musisz koniecznie kogoś znać, ale rozpoznajesz twarze. Jednak znam parę osób, bo pracowałam kiedyś w hotelu.

- Nie wiedziałem, że twój sklep ma filię w hotelu.

- Bo nie ma - odparła i zwolniła przed skrzyżowaniem. - Pracowałam tam jako sprzątaczką.

Jonas popatrzył na jej delikatne dłonie, oparte na kierownicy. Przyjrzał się wąskim ramionom i szczupłym biodrom, na których właśnie trzymał ręce.

Nie mógł sobie wyobrazić tej dziewczyny ze stosem ręczników do zmiany i wiadrem ze ścierką.

- Chyba bardziej pasowałabyś jako recepcjonistka - powiedział w końcu.

- I tak miałam wiele szczęście, że w ogóle znalazłam pracę. Było już po sezonie turystycznym - wyznała i zwolniła, wjeżdżając na hotelowy parking.

Przez chwilę zachwycała się smukłymi palmami i krzewami obsypanymi kolorowymi kwiatkami. Miała dziś zapisanych pięć osób na kurs nurkowania dla początkujących, ale przez chwilę oddała się marzeniom. Jakby to było przyjechać na wyspę dla odpoczynku i rozrywki, i móc zamieszkać w hotelu takim, jak ten?

- Jak jest w środku?

- Mnóstwo szkła i marmuru - odparł Jonas, patrząc na budynek. - Z mojego balkonu widać morze - dodał, gdy Liz zaparkowała przy krawężniku. - A zresztą, wejdź. Sama zobaczysz.

Liz toczyła ze sobą walkę. Zawsze lubiła ładne rzeczy. Jednak wiedziała, że nie powinna sobie pozwalać na próżne fantazje.

- Muszę jechać do pracy - zdecydowała w końcu.

- Spotkamy się w domu po południu - powiedział Jonas, zsiadł ze skutera, ale zaraz położył dłoń na ramieniu dziewczyny, by nie odjechała. - A wieczorem wybierzemy się do miasta.

Liz skinęła głową, zawróciła i opuściła hotelowy parking. Jonas patrzył za nią, aż ucichł odgłos silnika. Kim naprawdę jest Elizabeth Palmer? I dlaczego coraz bardziej pragnę się tego dowiedzieć? Jonas pokręcił głową w niemym zdumieniu.

Wieczorem Liz padała z nóg. Przywykła przecież do długich godzin pracy w sklepie, nurkowania, prowadzenia wycieczek i sprawdzania sprzętu. Ten dzień nie różnił się od innych, a jednak była naprawdę zmęczona. Powinna czuć się bezpiecznie, gdyż tuż przed wyjściem w morze dowiedziała się, że jeden z jej uczniów jest policjantem, który ma za zadanie ochraniać ją. Powinna cieszyć się, że kapitan Morales dotrzymał danego słowa i jest chroniona. A jednak czuła się tak, jakby zamknięto ją w klatce.

Przez całą drogę powrotną do domu widziała w lusterku policyjny wóz. Miała ochotę wbiec do siebie, rzucić się na łóżko i zasnąć bez snów, ale wiedziała, że Jonas będzie na nią czekał.

Zastała go w salonie. Trzymał na kolanach jakąś prawniczą książkę, przy uchu słuchawkę telefonu, a na twarzy miał nieprzyjemny grymas. Liz domyśliła się, że coś się stało w jego kancelarii. Skoro Jonas był zajęty, miała trochę czasu dla siebie. Poszła wziąć prysznic i przebrać się odpowiednio do wizyty w pubie.

Jej garderoba składała się niemal wyłącznie z rzeczy stosownych na plażę, więc Liz nie miała zbyt dużego wyboru. Szybko włożyła długą bawełnianą spódnicę w elektryzującym błękitnym kolorze i luźną czerwoną bluzkę. Żeby odwlec moment wyjścia z domu, postanowiła zrobić sobie makijaż. Czesłała właśnie włosy, gdy do jej sypialni wtargnął Jonas.

- Masz listę?

Zrezygnowana, podała mu kartkę. Powinna nakrzyczeć na niego za fatalne maniery, ale to i tak pewnie nie zmieniłoby jego zachowania.

- Powiedziałaś ci, że będę ją miała - przypomniała mu z westchnieniem.

Niecierpliwym gestem chwycił kartkę i zaczął czytać. Liz wykorzystwała tę chwilę, żeby mu się przyjrzeć. Zauważyła, że jest świeżo ogolony. Włożył lekką marynarkę i luźne spodnie w kolorze kości słoniowej. Jednak łagodne kolory i elegancja nie pasowały do zaciśniętych ust i gniewnego spojrzenia.

- Znasz te miejsca?

- Byłam zaledwie w kilku z nich. Nie mam zbyt wiele czasu na chodzenie po barach.

Jonas przyjrzał się Liz. Promienie zachodzącego słońca przydały tajemniczego blasku jej oczom. Delikatny makijaż jeszcze pogłębiał to wrażenie.

- Powinnaś uważać, co robisz z oczami - mruknął i pogładził ją po twarzy.

- To jest problem.

- Problem? - zdziwiła się, czując, jak jej serce przyspiesza rytm.

- Mój problem - wyjaśnił zakłopotany i schował listę do kieszeni. - Jesteś gotowa?

- Jeszcze tylko buty.

Jonas nie wyszedł z pokoju, jak się spodziewała, lecz zaczął rozglądać się ciekawie dookoła. W końcu zatrzymał wzrok na fotografii małej, roześmianej dziewczynki. Czarne, lśniące włosy kręciły się lekko na wysokości ucha, przydając uroku okrągłej i opalonej buzi dziecka. Nigdy nie odgadłby, że to córka Liz, gdyby nie oczy. Miały ten sam odcień ciepłego brązu i podobny

kształt. Jednak na świat patrzyły z życzliwością i zaufaniem. Nie było w nich śladu tajemnic, które skrywały oczy Liz.

- To twoja córka - stwierdził raczej, niż zapytał.

- Tak - przytaknęła, włożyła drugi pantofel i wyjęła Jonasowi zdjęcie z rąk.

- Ile ma lat?

- Dziesięć. Możemy już iść? Nie chcę wracać zbyt późno.

- Dziesięć? - zdziwił się Jonas. Do tej pory myślał, że Faith może mieć około pięciu lat i być owocem związku, który jej matka zawarła na wyspie. - Nie możesz mieć dziecka w tym wieku.

- Owszem, mogę.

- Sama musiałaś być dzieckiem, gdy ją urodziłaś.

- Nie, nie byłam - odparła spokojnie i ruszyła do drzwi.

- Urodziła się przed twoim przyjazdem na wyspę? - chciał wiedzieć Jonas.

- Byłam od pół roku na Cozumel, gdy urodziła się Faith. Jeśli nadal chcesz, żebym ci pomogła, lepiej już jedźmy. Wypytywanie mnie o moją córkę nie było częścią naszej umowy - powiedziała i obdarzyła go zamyślonym spojrzeniem.

- On był wyjątkowym draniem, prawda? - spytał nagle Jonas łagodnym tonem.

- Tak - przyznała, krzywiąc usta. - Och, tak.

Nagle pochylił się i pocałował Liz, chociaż sam nie wiedział, dlaczego to zrobił.

- Masz śliczną córeczkę - powiedział dziwnie wzruszony. - Ma twoje oczy.

Liz znów poczuła, że jej pancerz się kruszy. Nic nie mogło go bardziej osłabiać, niż zrozumienie w głosie Jonasa. Jednocześnie nie było w nim współczucia ani litości. Liz się cofnęła.

- Dziękuję - powiedziała suchym tonem, aby ukryć swoje prawdziwe uczucia. - A teraz już chodźmy, bo muszę jutro bardzo wczesnie wstać.

Pierwszy klub był głośny i zatłoczony. Klientami byli prawie wyłącznie turyści. Zamówili lekką przekąskę i drinki. Jonas liczył na to, że ktoś zareaguje na jego obecność.

- Luis powiedział, że przychodzili tu dość często, bo Jerry wolał się bawić przy amerykańskiej muzyce - mówiła Liz, skubiąc gorące *nachos* i rozglądając się po barze.

Nie było to miejsce, w którym chciałyby spędzać czas. Stoliki stłoczono do granic możliwości, a głośna muzyka była bardzo hałaśliwa. Jednak ludzie

wyglądali na zadowolonych, śpiewali wraz z muzyką i zupełnie nie przejmowali się kakofonią dźwięków. Przy stoliku obok siedziała grupka młodych ludzi, eksperymentujących z tequilą, solą i stosem cząstek cytryny. Liz pomyślała, że czeka ich nazajutrz potworny ból głowy.

Jonas także rozglądał się po klubie. O, tak. To miejsce było zdecydowanie w guście Jerry' ego. Głośnie, wesołe i pełne ludzi.

- Czy Luis wymienił jakichś szczególnych znajomych Jerry' ego?

- Kobiety - wyjaśniła z uśmiechem Liz. - Luis był pod wrażeniem umiejętności Jerry' ego w tej dziedzinie.

- A konkretnie?

- Podobno była jedna, z którą spotykał się najczęściej, ale nie wymieniał jej imienia. Mówił do niej po prostu... kochanie.

- Stara sztuczka - powiedział w roztargnieniu Jonas.

- Sztuczka?

- Jeśli mówi się „kochanie”, można uniknąć mylenia imion. To szalenie ułatwia sytuację.

- Rozumiem. - Liz kiwnęła głową i upiła łyk wina.

- Czy Luis ci ją opisał?

- Powiedział tylko, że to była niezła sztuka. Świetne włosy i biodra. To jego słowa - zastrzegła, gdy Jonas obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem. - Powiedział też, że Jerry spotykał się z kilkoma facetami, ale zawsze sam do nich podchodził, więc Luis nie słyszał ich rozmów. Jeden był Amerykaninem, drugi wyglądał na tutejszego. Podobno Jerry miał zwyczaj dotąd chodzić po barach, aż ich spotkał. Zresztą Luis nie zwracał na nich uwagi, bo bardziej skupiał się na paniach.

- A tu? Widywał ich tutaj?

- Luis mówił, że nigdy nie spotykali się dwa razy w tym samym miejscu.

- Dobrze. Dokończ wino. My też odwiedzimy inne puby.

Gdy weszli do czwartego z kolei baru, Liz stwierdziła, że ma dość. Męczył ją zapach papierosów i alkoholu. Niektóre puby były ciche i kameralne, inne tętniły życiem. Twarze spotykanych ludzi wydały jej się podobne do siebie. Wciąż pojawiali się nowi ludzie. Amerykanie, szukający egzotycznej nocnej rozrywki, i cisi wyspiarze, odpoczywający po pracowitym dniu. Jedni siedzieli przy stolikach, inni szaleli na parkiecie. Byli tacy, którzy dysponowali czasem i pieniędzmi, i tacy, którzy siedzieli smętnie nad butelką.

- To ostatni na dziś - oznajmiła Liz, gdy Jonas znalazł wolny stolik.
Mężczyzna spojrział na zegarek. Dochodziła jedenasta. Nocne życie nie rozkwitło jeszcze w pełni.

- Zgoda - powiedział i postanowił czymś ją zająć. - Zatańczmy.
- Tu nie ma miejsca - protestowała Liz, gdy ciągnął ją na parkiet.
- Nic się nie martw - odparł i objął ją ciasno. - Widzisz?
- Od lat nie tańczyłam - mruknęła i uśmiechnęła się. - Jaki jest cel tego wszystkiego? - spytała po dłuższej chwili.
- Jeszcze nie jestem pewien. Może byś się odprężyła? - spytał, czując napięte mięśnie dziewczyny. - Co robisz, gdy nie pracujesz? - zagadnął lekkim tonem.
- Wtedy myślę o pracy.
- Liz.
- No, dobrze. Czytam. Przeważnie o morzu i jego mieszkańcach. To mnie interesuje.
- Tylko to? - spytał zaczepnie, przyciągając ją jeszcze bliżej, choć Liz sądziła, że to niemożliwe.
Chciała się odsunąć, lecz odkryła, że jest zamknięta w uścisku mężczyzny. Taniec przypominał bardziej łagodne kołysanie i Liz poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

- Nie mam czasu na nic innego - odparła lekko drżącym głosem.
- Brzmi, jakbyś celowo się ograniczała - szepnął jej do ucha.
- Prowadzę firmę - mruknęła, zastanawiając się, czy Jonas ją pocałuje. Jego usta były tak blisko, że niemal czuła ich smak.
- Zarabianie pieniędzy jest dla ciebie takie ważne?
- Musi być - odparła cicho, choć nie bardzo pamiętała, dlaczego tak jest. - Muszę kupić rowery wodne - przypomniała sobie po chwili.
- Rowery wodne? - spytał, patrząc wprost w jej rozmarzone oczy.
- Jeśli nie ubiegnę konkurencji... - zaczęła i urwała, gdyż Jonas pocałował kącik jej ust.
- Konkurencja... - powtórzył.
- Tak... klienci pójdą gdzie indziej. Więc... - znów przerwała, bo Jonas zaczął całować drugi kącik jej warg.
- Więc... - podpowiedział.
- Muszę kupić rowery wodne, zanim zacznie się sezon turystyczny - dokończyła wreszcie bez tchu.

- Rozumiem. Ale masz jeszcze kilka tygodni. Przez ten czas moglibyśmy się kochać setki razy - wymruczał i nakrył jej usta swoimi.

Liz drgnęła. Niełatwo było rozszyfrować jej uczucia. Zaskoczenie, opór, pasja. Jonas nie był pewien. Wiedział tylko, że pragnie jej coraz bardziej. Zapomniał o hałaśliwym tłumie wokół nich, głośniejszej muzyce i błyskających światłach. Świat ograniczył się całkowicie do uległych ust dziewczyny.

Liz wiedziała, że stoi w miejscu, lecz miała wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje w szalonym tańcu. Muzyka ucichła, ludzie rozmyli się we mgle. Jej ciało było napięte jak struna. Czuła, że wzbiera w niej fala niepowstrzymanej przyjemności. Sięgnęła dłońmi do twarzy Jonasa. Nagle skończyła się nastrojowa ballada i zaczął szybki, taneczny przebieg.

- Okropnie nie w porę - mruknął niezadowolony Jonas.

- To prawda - przytaknęła Liz, lecz miała na myśli raczej ogólną sytuację, a nie zmarnowaną okazję do przedłużenia pocałunku. - Co się stało? - spytała, podnosząc wzrok na skupioną twarz Jonasa.

Odwróciła głowę i podążyła za jego spojrzeniem. Obok nich oszalamiająca kobieta w skąpej, czerwonej sukience przestała tańczyć i wpatrywała się ze zdumieniem w Jonasa. Nagle, bez słowa, porzuciła swego partnera i rzuciła się do wyjścia.

- Chodź - rozkazał Jonas i, nie oglądając się na nią, pobiegł za tajemniczą nieznajomą.

Liz zaczęła przepychać się przez tłum. Gdy wybiegła na ulicę, zobaczyła, że Jonas chwycił właśnie kobietę za ramię.

- Dlaczego uciekaś? - sapnął zdyszany.

- *Por favor, no comprendo*. Nie rozumiem - wyszeptała zbielełymi ze strachu wargami.

- Sądzę, że doskonale wiesz, o co mi chodzi - syknął i zaczął ciągnąć krzyczącą kobietę w kierunku Liz. - Co wiesz o moim bracie?

- Jonas - zaczęła pobladała ze zgrozy Liz. - Jeśli zamierzasz się zachowywać w ten sposób, zapomnij o mojej pomocy - dokończyła i łagodnie dotknęła ramienia nieznajomej. - *Lo siento mucho*. Przepraszam za niego, niedawno stracił brata. Jerry Sharpe. Znałaś go?

- Ma twarz Jerry' ego - szepnęła. - Ale on nie żyje. Czytałam w gazetach.

- To jest brat Jerry' ego, Jonas. Chcemy tylko z tobą porozmawiać.

Tak jak wcześniej Liz, teraz nieznajoma wyczuła różnicę pomiędzy braćmi. Nigdy nie musiała obawiać się Jerry'ego, bo była od niego sprytniejsza. Jednak z tym mężczyzną sprawa miała się zupełnie inaczej.

- Nic nie wiem.

- Por favor. Proszę, tylko kilka minut.

- Powiedz, że jej się to opłaci - zażądał Jonas i, nie czekając, aż Liz przetłumaczy jego słowa, wyjął z portfela banknot.

Kobieta dostrzegła pieniądze, skinęła głową i wskazała pobliską kawiarnię.

- Spytaj ją, jak ma na imię - poprosił Jonas, gdy już zamówił dwie kawy i kieliszek wina.

- Znam angielski - odezwała się nagle nieznajoma i sięgnęła po długiego, cienkiego papierosa. - Nazywam się Erika. Jerry i ja byliśmy przyjaciółmi - wyjaśniła, odprężyła się nieco i posłała Jonasowi znaczący uśmiech. - Dobrymi przyjaciółmi.

- Rozumiem - skinął głową.

- Był przystojny - powiedziała, przygryzając dolną wargę. - I umiał się dobrze bawić.

- Długo go znałaś?

- Kilka tygodni. Było mi przykro, gdy dowiedziałam się, że nie żyje.

- Został zamordowany - oznajmił Jonas, przyglądając się uważnie Ericie.

- Myślicie, że to przez tę forszę? - spytała i napiła się wina.

Jonas zaskoczony drgnął. Posłał ostrzegawcze spojrzenie Liz i zaczął ostrożną rozmowę.

- Na to wygląda. Co ci powiedział?

- Och, wystarczająco dużo, by mnie zaintrygować. Sam wiesz, jak jest - zwróciła się do Jonasa, który podał jej ogień. - Jerry był czarujący. I hojny - dodała, wspominając ciekawą złotą bransoletkę i kolczyki z błękitnymi kamieniami, które od niego dostała. - Myślałam, że jest bogaty, ale powiedział, że wkrótce zdobędzie jeszcze więcej forsy. Lubię czarujących mężczyzn, szczególnie kiedy mają dużo pieniędzy. Jerry obiecał, że gdy skończy swoje sprawy, zabierze mnie na długą wycieczkę - wyznała, wydmuchnęła dym i wzruszyła ramionami. - A teraz nie żyje.

Jonas sącył kawę i przyglądał się dziewczynie. Rzeczywiście, jak powiedział Luis, była z niej niezła sztuka. W dodatku nie była głupia.

- Wiesz, kiedy miał zdobyć te pieniądze?

- Jasne. Musiałam wiedzieć, kiedy mam wziąć wolne, skoro mieliśmy wyjechać. Zadzwoił do mnie w... niedzielę. Był bardzo z siebie zadowolony. Powiedział, że rozbił bank. Byłam na niego zła, że nie przyszedł do mnie w sobotę. Spytał, czy jak wróci z Acapulco, wyskoczmy na trochę do Monte Carlo - uśmiechnęła się i zatrzepotała rzęsami. - Co miałam zrobić? Dałam się przeprosić i spakowałam się. Mieliśmy wyjechać we wtorek. W poniedziałek wieczorem przeczytałam w gazecie, że Jerry nie żyje. Nie było tam nic o forsie.

- Wiesz, z kim prowadził interesy?

- Nie. Czasem spotykał się z chudym Amerykaninem o bardzo jasnych włosach. Kiedy indziej z jakimś Meksykaninem. Ten mi się nie podobał. Miał *mal ojo*.

- Złe oko - przetłumaczyła Liz. - Możesz go opisać?

- Brzydki - stwierdziła od razu Erika. - Z dziobatą twarzą. Miał krótkie włosy, ale z tyłu opadały mu na kark. Niski i chudy. A ja wolę wysokich mężczyzn - stwierdziła nagle i uśmiechnęła się kokieteryjnie do Jonasa.

- Wiesz, jak się nazywa?

- Nie, ale wiem, że się świetnie ubiera. Drogie garnitury, dobre buty. Nosi na przegubie srebrną bransoletę. Bardzo ładna, jakby pleciona. Myślicie, że on coś wie o forsie? Jerry mówił, że jest tego dużo.

- Chcę wiedzieć, jak się nazywa - powiedział Jonas i wyciągnął kolejny banknot z portfela. - Chcę jego nazwisko i nazwisko tego Amerykanina - oznajmił, przytrzymując dłoń Eriki, zanim zabrała pieniądze.

- Dowiem się - obiecała i chwyciła banknot. - A kiedy się dowiem, dasz mi jeszcze jedną pięćdziesiątkę.

- Dobrze - Jonas kiwnął głową i zapisał numer telefonu Liz na odwrocie swej wizytówki. - Zadzwoń, gdy się czegoś dowiesz.

- Jasne - zgodziła się Erika, schowała pieniądze do torebki i wstała. - Wiesz, nie jesteś tak podobny do Jerry'ego, jak mi się w pierwszej chwili wydawało - powiedziała i wyszła z kawiarni, stukając wysokimi obcasami.

- To przynajmniej jakiś początek - mruknął Jonas i spojrzał na Liz, która przyglądała mu się z powagą. - O co chodzi?

- Nie podobają mi się twoje metody.

- Nie mam czasu na uprzejmości - odparł i wzruszył ramionami, rzucając na stół kolejny banknot.

- A co byś zrobił, gdybym jej nie uspokoiła? Zaciągnął do ciemnego kąta i wydusił z niej zeznania?

Jonas zwalczył w sobie pokusę kłótni. Zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

- Wracajmy do domu, Liz.

- Zastanawiam się właśnie, czy różnisz się czymkolwiek od człowieka, którego ścigasz - powiedziała i wstała od stolika. - Jeśli chcesz wiedzieć, to człowiek, który włamał się do mojego domu i napadł mnie, nosił właśnie taką bransoletę. Poczułam ją, zanim przyłożył mi nóż do gardła.

Zobaczyła, że Jonas podnosi na nią zamyślane spojrzenie. W jego oczach dostrzegła lodowaty chłód.

- Sądzę, że rozpoznacie się nawzajem, gdy nadejdzie właściwa chwila.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Zawsze sprawdzajcie swoje wskaźniki ciśnienia powietrza i głębokości - poinstruowała kursantów Liz, pokazując im kolejne elementy sprzętu do nurkowania. - Każdy z nich jest ważny dla waszego bezpieczeństwa, bez względu na to, czy to wasze pierwsze, czy pięćdziesiąte zanurzenie. Bardzo łatwo zapomnieć o tym, gdy otoczą was ryby i będziecie oglądali rafę, ale pod wodą zależyście od powietrza w butli. Powinniście zacząć się wynurzać, kiedy zauważycie, że strzałka ciśnieniomierza znalazła się w czerwonym polu.

To chyba wszystko, pomyślała Liz. Gdyby chciała jeszcze przedłużyć godzinny wykład, nowicjusze byliby zbyt zniecierpliwieni, żeby słuchać. Pora dać im to, na co czekają, zdecydowała.

- Nurkujemy grupowo. Jeśli ktoś zechce się oddalić, niech zabierze ze sobą kogoś do pary. Teraz każdy sprawdza swój sprzęt.

Kursanci posłusznie wykonywali jej polecenie, a ona w tym czasie zaczęła zakładać pas balastowy. Zawsze zachowywała wszystkie wymagania bezpieczeństwa, bo wiedziała, że większość wypadków pod wodą wynika z beztroski. Dlatego jej kursanci musieli wiedzieć, jak się zachowywać pod wodą. Bardzo o to dbała.

- Ta grupa - zaczął Luis, wkładając kamizelkę - jest zupełnie zielona.

- Tak - przytaknęła. - Luis, miej na oku tę parę nowożeńców. Są bardziej zainteresowani sobą, niż wskaźnikami.

- Nie ma sprawy - zgodził się i przytrzymał butle Liz, aby ułatwić jej włożenie kamizelki. - Wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Nie. Wszystko w porządku.

- Jesteś pewna? - spytał i popatrzył na sińce na szyi dziewczyny.

- Dzięki za troskę - odparła Liz i przypięła swój nóż.

- Mówię poważnie. Martwię się o ciebie.

- Policja ma wszystko pod kontrolą - odparła, patrząc na starszego mężczyznę, który usiłował właśnie włożyć płetwy. To był jej dzisiejszy ochroniarz.

Gdy tylko spojrzała na policjanta, zaczęła myśleć o Jonasie. Nie była zaskoczona jego zachowaniem wczoraj wieczorem, ponieważ drzemającą

w nim siłę i gwałtowność wyczuwała od początku. Jednak zrobiło jej się nieprzyjemnie, kiedy spostrzegła wyraz jego twarzy w czasie szarpaniny z Eriką. Nie знаła go na tyle, by wiedzieć, czy uda mu się pohamować swoją porywczosć. Jonas pragnie zemsty, pomyślała Liz. Widziała w jego oczach, że w końcu dopnie swego. Łódź zakołysała się łagodnie i Liz wróciła do rzeczywistości. Nie powinna o nim teraz myśleć, skoro ma przed sobą dzień pełen zajęć.

- Panno Palmer - zwrócił się do niej szczupły Amerykanin z szerokim uśmiechem. - Czy sprawdzi pani mój ekwipunek?

- Oczywiście - przytaknęła.

- Trochę się denerwuję. Jeszcze nigdy tego nie robiłem.

- Odrobina strachu nie zaszkodzi. Będziesz bardziej ostrożny. Mów mi po imieniu. Mam na imię Elizabeth. A teraz włóż maskę. Upewnij się, że dobrze przylega, ale nie ściągaj pasków zbyt mocno.

- Jeśli to możliwe, chciałbym płynąć blisko ciebie - wybuczał przez maskę.

- Po to jestem - odparła Liz z uśmiechem. - Głębokość dziesięć metrów - oznajmiła grupie. - Pamiętajcie, by przedmuchać uszy i poprawić maskę. Trzymajcie się w polu widzenia - poprosiła po raz ostatni, usiadła na burcie i ześliznęła się do wody.

Była w pobliżu łodzi, dopóki Luis nie pomógł ostatniemu turyście znaleźć się w wodzie. Potem dała mu sygnał, że wszystko w porządku i zanurkowała.

Liz zawsze uwielbiała to uczucie nieważkości. Przez chwilę zachwycała się widokiem, który się wokół niej roztoczył. Białe dno było głęboko pod nią, a Liz wisiała jakby pod sufitem wysokiej katedry. Machnęła lekko płetwami i dołączyła do swoich kursantów.

Nowożeńcy trzymali się za ręce i próbowali obejrzeć wszystko naraz. Policjant zanurzał się ze stateczną powolnością, niczym olbrzymi morski żółw. Cały czas patrzył w jej stronę. Reszta grupy trzymała się razem, zaciekawiona widokami, lecz ostrożna. Szczupły Amerykanin popatrzył na nią z mieszaniną zachwyty i strachu i podpłynął bliżej. Liz położyła mu dłoń na ramieniu i wskazała w górę. Gdy mężczyzna podniósł głowę, ujrzał słoneczne błyski, które smugami światła wdzierały się pod wodę. Widać było dno łodzi. Liz wskazała mu teraz kierunek w dół. Kiwnął głową i już nieco spokojniej popłynął za nią.

Ryby, nie okazując strachu, przepływały obok nurków pojedynczo lub całymi ławicami. Na tle bieli piasku kolory rafy oszałamiały różnorodnością.

Pomiędzy żółtymi gąbkami i czerwonymi koralami pływały barwne rybki. Korale w kształcie wachlarzy przyciągały wzrok łagodnym kołysaniem. Liz wskazała kursantom grupę srebrzystych rybek, które poruszały się jak jeden wielki organizm.

Ten świat Liz rozumiała doskonale. Może nawet lepiej niż ten na powierzchni. Uwielbiała ciszę i spokój panujące pod wodą. W jej umyśle pojawiały się naukowe nazwy ryb, roślin i formacji dna, które mijała. Kiedyś pilnie przyswajała sobie wiedzę o morzach i oceanach, by móc przekazywać ją innym. Wydawało się, że to jej marzenie nie mogło się spełnić. Jednak uparta Liz znalazła możliwość obcowania ze światem, który ją tak pociągał. Odkrywała tajemnice morza turystom, którzy wykupili u niej lekcje nurkowania. Zadowalała się zapewnieniem im niezapomnianych przeżyć pod wodą.

Nagle jej wzrok przyciągnęła chmura piasku, wzbijająca się z dna. Zasygnalizowała niebezpieczeństwo i wskazała nieświadomym kursantom płaszczkę, która rozdrażniona ich wtargnięciem poderwała się z dna. Ryba odpłynęła majestatycznie, machając płetwami, które przypominały rozpięte skrzydła.

Nurkowie powoli ośmielili się i zaczęli badać okolicę na własną rękę. Przy Liz został tylko szczupły Amerykanin i policjant. Niedaleko młody małżonek popisывał się przed żoną, fikając w wodzie koziółki. Co jakiś czas Liz podpływała do swych podopiecznych, upewniała się, czy wszystko jest w porządku i wskazywała im co ciekawsze widoki. Pilnowała jednocześnie wskaźników i po pewnym czasie zaczęła zbierać grupę.

Po wynurzeniu i wdrapaniu się na pokład zasypali ją lawiną pytań.

- Kiedy znów zanurkujemy? - padały pytania.

- Spokojnie, najpierw musimy trochę odpocząć i pozwolić waszym organizmom wrócić do równowagi po pierwszym zanurzeniu - odparła ze śmiechem.

- Co to było, takie dziwnie poskręcane? - dopytywał się jeden z uczestników. - Wyglądało jak łysawy krzak.

- To gorgonia. Nazwa pochodzi od mitologicznej Gorgony - tłumaczyła Liz.

- Jeśli pamiętacie, tamta istota miała zamiast włosów węże. Ten koralowiec kształtem przypomina węzowe sploty, stąd jego nazwa.

Liz odpowiedziała jeszcze na wiele podobnych pytań. Po chwili zauważyła, że szczupły Amerykanin siedzi sam z niepewnym uśmiechem na twarzy. Zakrzętała się wokół sprzętu i usiadła obok niego.

- Świetnie ci poszło - powiedziała.

- Naprawdę? - zdziwił się i wzruszył ramionami. - Podobało mi się, ale czułem się pewniej, wiedząc, że jesteś w pobliżu. Widać, że wiesz, co robisz.

- Zajmuję się tym od dawna.

- Nie chcę być wścibski - zastrzegł, rozpinając skafander. - Ale ty chyba nie jesteś stąd, co?

- To prawda - zgodziła się Liz i przypomniała sobie, jak wiele razy odpowiadała już na podobne pytania.

- A skąd
pochodzisz?

- Z Houston.

- O, kurczę, chodziłem tam do szkoły!

- Ja też, niezbyt długo.

- Jaki ten świat mały - powiedział z zadowoleniem. - Jaki kierunek wybrałaś?

- Biologię morską - odparła, patrząc z uśmiechem na rozkołysaną powierzchnię wody.

- To nawet pasuje.

- A ty?

- Księgowość - powiedział z uśmiechem. - Zawsze wybieram się na urlop po zakończeniu sezonu podatkowego.

- Cóż, nie mogłeś wybrać sobie lepszego miejsca na odpoczynek.

- Słuchaj, a może umówiłabyś się ze mną na drinka, gdy wrócimy?

Mężczyzna był dość przystojny i miły, lecz Liz nie miała ochoty się z nim umówić. Posłała mu przepaszający uśmiech i wstała.

- Wybacz, ale jestem dziś dość zajęta.

- Będę tu kilka tygodni. Może innym razem?

- Może - odparła wymijająco i szybko odeszła w kierunku grupki kursantów.

Kiedy łódź przybijała do brzegu, było wczesne popołudnie. Zadowoleni wycieczkowicze, rozmawiając z ożywieniem, zeszli na brzeg. Na łodzi został policjant pilnujący Liz i szczupły Amerykanin. Liz pomyślała, że może zbyt ostro go potraktowała.

- Mam nadzieję, że się dobrze bawiłeś...

- Scott. Scott Trydent. Tak, bardzo mi się podobało. Może jeszcze kiedyś spróbuję ponurkować.

- Po to tu jesteśmy. - Uśmiechnęła się i zaczęła pomagać przy rozładunku łodzi.

- Hm, słuchaj... Dajesz może prywatne lekcje?

- Czasami - odparła, zastanawiając się dla odmiany, czy jednak nie potraktowała go zbyt łagodnie.

- Więc może moglibyśmy...

- Hej! Witam panienkę!

- Pan Ambuckle.

Jej najlepszy klient stał na pomoście w skafandrze do nurkowania. Obok niego krążyła zniecierpliwiona żona w kostiumie kąpielowym.

- Właśnie wróciłem. Co za dzień! - zawołał radośnie.

Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Jego żona spojrzała na Liz i wzniosła oczy do góry.

- Może powinnam zatrudnić pana u siebie? - zastanowiła się na głos rozbawiona Liz.

- Chyba po prostu uwielbiam nurkować - oznajmił, klepiąc się z uciechy po kolanach. - Muszę wymienić butle. Dasz mi świeże, złotko?

- Znów pod wodę?

- W nocy. Ale nie mogę namówić na to żoneczki - poskarżył się, dobrotliwie poklepując swoją połowicę po ramieniu.

- Zamierzam położyć się do łóżka z dobrą książką - oznajmiła kobieta. - Jedyna woda, która mnie teraz interesuje, znajduje się w mojej wannie.

- W tej chwili myślę tak samo - zaśmiała się Liz i wskoczyła na pomost. - Och, zapomniałam. Proszę państwa, to jest Scott Trydent. Właśnie odbył pierwszą lekcję nurkowania.

- No proszę - zachwycił się Ambuckle. - No i jak?

- Cóż, ja...

- Nie ma nic przyjemniejszego, co? Powinieneś spróbować nurkowania nocą, chłopcze. To zupełnie inna historia.

- Jestem pewien, że tak, ale...

- Muszę wymienić butle - oznajmił nagle Ambuckle i skierował się w stronę wypożyczalni Liz.

- On ma obsesję na punkcie nurkowania - westchnęła jego żona. - Niech pan nie pozwoli mu się zaciągnąć na wyprawę. Nie będzie pan miał ani chwili spokoju.

- Nie pozwolę. Miło było mi państwa poznać - powiedział nieco oszołomiony Scott i popatrzył za panią Ambuckle, która poszła w stronę swojego hotelu. - Co za para!

- Och, tak - zachichotała Liz, zabrała butle i skierowała się w stronę wypożyczalni. - Do zobaczenia, panie Trydent.

- Scott - poprawił ją. - A co do tego drinka...

- Dziękuję - pokręciła głową i zostawiła go na pomoście.

Gdy znalazła się w sklepie, odszukała Luisa.

- Wszystko gra?

- Właśnie sprawdzam. Wskaźnik ciśnienia tej butli szaleje.

- Odłóż ją na bok. Jose potem to sprawdzi - powiedziała i od razu zaczęła napełniać swoje butle. - Wszystkie łodzie wróciły, Luis. Nie powinno już być ruchu. Ty i reszta możecie iść do domu. Ja pozamykam.

- Mogę zostać dłużej.

- Wczoraj ty zamykałeś - przypomniała mu. - Co ci się stało? Wyrabiasz nadgodziny? Idź do domu, Luis. Nie wierzę, że nie masz dziś randki - dodała z uśmiechem.

- W gruncie rzeczy... - zaczął i pogładził swój cienki, czarny wąsik.

Liz zachichotała.

- Więc idź do domu i zrób się na bóstwo. Ja mam dziś randkę z księgami rachunkowymi.

- Za dużo pracujesz - mruknął Luis pod nosem.

- Od kiedy? - Liz zdziwiła się jego komentarzem.

- Od zawsze, a jeszcze więcej po odjeździe małej. Z roku na rok pracujesz coraz ciężiej. Lepiej by było, gdyby Faith wcale stąd nie wyjeżdżała.

- Jest szczęśliwa u dziadków w Houston - powiedziała chłodno. - Gdybym sądziła, że jest inaczej...

- Ona jest szczęśliwa, ale ty?

- Czy wyglądam na nieszczęśliwą? - spytała Liz, sięgając po klucze do szuflady.

- Nie - przyznał i położył jej dłoń na ramieniu. Pracował z Liz od lat i wiedział, że nie może przekraczać pewnych granic. - Ale nie wyglądasz też

na szczęśliwą. Dlaczego nie poderwiesz któregoś z tych przystojniaczków? Ten szczupły Amerykanin od rana wodził za tobą wzrokiem.

- Myślisz, że bogaty Amerykanin to moja droga do szczęścia? - zapytała ze śmiechem.

- Może lepiej wybierz przystojnego Meksykanina - zażartował, wypinając pierś.

- Pomyślę o tym, gdy skończy się sezon turystyczny - obiecała. - Teraz idź do domu.

- Idę, idę - mruknął i włożył koszulkę. - Lepiej uważaj na tego Jonasa Sharpe' a. Ma dziwne oczy.

- Miłego wieczoru - pożegnała go Liz, udając, że nie dosłyszała jego słów.

Gdy została sama, zaczęła obserwować plażę. Ludzie chodzili dwójkami, małżeństwa odpoczywały na leżakach, jakaś para całowała się w cieniu palm. Czy przyjemnie jest być częścią związku? Jest się nadal sobą, czy traci się tożsamość, zastanawiała się Liz.

O swych rodzicach myślała zawsze jako o osobnych ludziach, lecz gdy pomyślała o jednym, zaraz i drugie przychodziło jej na myśl. Czy świadomość, że jest ktoś obok ciebie, może sprawiać przyjemność?

Przypomniała sobie zachowanie Jonasa. O nie, to nie jest łatwy partner. Związek z nim byłby wymagający. Kobieta musiałaby być na tyle silna, by nie zatracić całkowicie swej tożsamości. Związek z Jonasem byłby nieustannym ryzykiem.

Przez chwilę wyobrażała sobie, jakby to było być tuloną i całowaną, jakby nic innego w życiu nie liczyło się bardziej. Mieć to dla siebie zawsze, przez całe życie. Czy nie jest to warte ryzyka?

Głupia, skarciła się w duchu. Jonas nie szuka partnerki, a ona nie powinna oddawać się niemądrym marzeniom. Los zetknął ich na chwilę, lecz każde z nich ma swoje własne miejsce na ziemi.

Żeby się pozbyć niechcianych uczuć, zaczęła szykować się do wyjścia. Dokumenty, czeki i gotówka zostały umieszczone w płóciennym worku, który powinna odwieźć do depozytu w banku. Nie chciała teraz przechowywać pieniędzy w domu.

Gdy skończyła, przypomniała sobie, że nie odstawiła swoich butli na miejsce. Schowała worek pod ladę i sięgnęła po klucze. Sprzęt był jedynym luksusem, na który sobie pozwoliła. Kosztował więcej niż cała zawartość jej szafy. Zresztą dla Liz skafander do nurkowania był miłszy niż suknia balowa.

Swój ekwipunek trzymała w oddzielnej szafce. Teraz ją otworzyła i odwiesiła skafander, pas balastowy, odłożyła na półkę maskę, nóż i konsolę ze wskaźnikami. Na koniec wstawiła butle i zamknęła szafkę. Spojrzała na klucze i coś ją zastanowiło. Nie wiedząc jeszcze, o co dokładnie chodzi, zaczęła przesuwając na kółeczku każdy klucz i przypominać sobie, który do czego pasuje.

Miała klucze do drzwi sklepu, witryny, skutera, zamku do łańcucha zabezpieczającego, do kasy, do frontowych i tylnych drzwi domu, i do szafki ze sprzętem. Osiem kluczy do ośmiu zamków. Ale na jej kółku był jeszcze jeden maleńki, srebrny kluczyk.

Zdziwiona, jeszcze raz przeliczyła klucze. Znów został jej jeden dodatkowy. Dlaczego wraz z jej kluczami był spięty ten jeden, który z pewnością do niej nie należał? Liz zastanowiła się, czy przypadkiem nie dostała go od kogoś na przechowanie. Nie, to nie miało sensu. Ze ściągniętymi w zamyśleniu brwiami przyjrzała mu się jeszcze raz. Za mały do samochodu czy mieszkania. Wyglądał raczej jak kluczyk do jakiejś szafki, skrzynki albo... To nie mój klucz, a jednak wisi na moim kółku, pomyślała. Dlaczego?

Bo ktoś go tu powiesił, odpowiedziała sobie. Jej klucze często zostawały w sklepowej szufladzie, bo czasem pracownicy otwierali przecież kasę. A Jerry często zostawał sam w wypożyczalni, pomyślała w nagłym olśnieniu.

Po plecach dziewczyny przebiegł zimny dreszcz, gdy chowała klucze do kieszeni. „Siedzisz w tym po uszy, czy ci się to podoba, czy nie”, przypomniała sobie słowa Jonasa.

Liz zamknęła sklep wcześniej niż zwykle.

Jonas wszedł do małego, obskurnego baru, w którym unosił się zapach czosnku i skrzypiało stare radio. Ktoś śpiewał po hiszpańsku o wiecznej miłości. Przez chwilę stał bez ruchu, pozwalając oczom przystosować się do przyćmionego światła. W końcu rozejrzał się uważnie. Tak jak się umówili, Erika siedziała w rogu sali.

- Spóźniłeś się - powiedziała i pomachała mu przed twarzą niezapalonym papierosem.

- Trochę zabłądziłem. Ten bar nie znajduje się przy żadnej trasie turystycznej.

- Wolałam mieć trochę prywatności - wyznała i z lubością zaciągnęła się dymem, gdy Jonas podał jej ogień.

Rzeczywiście w pubie nie było specjalnego ruchu. Przy stoliku siedziała pogrążona w rozmowie para, a przy barze stało tylko dwóch mężczyzn.

- Prywatności? No, to ci się udało - powiedział i zamówił jej tequilę z cytryną, a dla siebie gazowaną wodę. - Powiedziałaś, że masz coś dla mnie.

- A ty mówiłaś, że dasz mi pięćdziesiąt dolarów za nazwiska - przypomniała, bawiąc się pierścionkiem.

Jonas bez słowa wyjął banknot, lecz nie podał go dziewczynie.

- Znasz nazwiska?

- Może - powiedziała i pociągnęła łyk alkoholu. - Ale może pragniesz ich tak bardzo, że dostanę po jednym za każde? - zastanowiła się na głos i spojrzała na banknot.

Jonas obrzucił ją chłodnym spojrzeniem i uznał, że uroda Eriki jest, niestety, dość wulgarna. Ale właśnie taki typ kobiet podobał się jego bratu. Mógł dać jej jeszcze jedną pięćdziesiątkę, ale nie zamierzał wyjść na frajera. Bez słowa schował pieniądze i ruszył do wyjścia. Był już w połowie drogi, gdy usłyszał jej głos.

- Och, nie wściekaj się. Niech będzie jeden banknot - powiedziała z uśmiechem, wiedząc, że tym razem okazja przepadła. - Dziewczyna musi jakoś zarabiać, no nie? Ten z dziobatą twarzą to Pablo Manchez.

- Gdzie mogę go znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Chciałaś tylko nazwisko.

Jonas skinął głową i podał jej banknot. Złożyła go starannie i włożyła do torebki.

- Powiem ci coś jeszcze, bo lubiłam Jerry'ego - oznajmiła nagle i pochyliła się nad stolikiem. - Ten Manchez to nic dobrego. Ludzie robili się nerwowi, gdy zaczynałam o niego pytać. Podobno w zeszłym roku był zamieszany w jakieś morderstwa w Acapulco. Płacą mu, żeby... wiesz, co. Kiedy to usłyszałam, przestałam pytać - wyznała szeptem.

- A ten drugi?

- Nikt go nie zna. Ale jeśli prowadzi się z Manchezem, to z pewnością żaden z niego skaut - stwierdziła i znów się napiła. - Jerry wpakował się w jakąś aferę.

- Chyba tak.

- Przykro mi - powiedziała i poprawiła bransoletkę. - Dał mi ją w prezencie. Dobrze nam było razem.

Jonas poczuł ucisk w gardle. Wstał, zawahał się i położył jeszcze jeden banknot przed dziewczyną.

- Dziękuję.

Erika chwyciła go szybko i złożyła równie porządnie, co poprzedni.

- *De nada*. Nie ma za co.

Liz chciała, żeby Jonas był w domu. Gdy go nie zastała, ścisnęła klucze w dłoni i zaklęła. Nie mogła sobie znaleźć miejsca. Przez całą powrotną drogę do domu widziała w lusterku policyjny samochód, a teraz przed jej domem zmieniali się ochroniarze.

Jak długo policja będzie uczestniczyła w jej życiu? Liz zamknęła w biurku płócienny worek z gotówką i czekami. Zaprzętnięta sprawą tajemniczego kluczyka, nie miała głowy, aby pojechać do banku. Prędzej czy później Morales zabierze mi obstawę, pomyślała. I co wtedy? Spojrzała tępo na kluczyk. Zostanę sama, odpowiedziała sobie. Trzeba coś z tym zrobić.

Powodowana impulsem, pobiegła do pokoju Faith. Może Jerry zostawił jakąś skrzynkę, którą przeoczyła policja? Systematycznie przeszukała szafę córki. Na jej dnie znalazła tylko starego misia. Liz kupiła tę zabawkę, jeszcze zanim urodziła dziecko. Miś kiedyś miał piękny bordowy kolor, ale po latach nieco wypłowieł. Szwy lada chwila mogły puścić, a zamiast ucha sterczał strzępek materiału. Faith zawsze nosiła misia za to ucho. Liz uświadomiła sobie, że nigdy nie dały misiowi imienia. Córeczka mówiła o misiu: mój, i to jej wystarczało. Liz poczuła, że zalewa ją fala tęsknoty. Mocno przytuliła do piersi pluszową zabawkę.

- Och, kochanie, tak strasznie za tobą tęsknię - wymruczała. - Nie wiem, jak długo jeszcze to wytrzymam.

- Liz?

Zaskoczona dziewczyna oparła się o drzwi szafy i schowała misia za plecami. W drzwiach sypialni stał Jonas.

- Nie słyszałam, kiedy wszedłeś - powiedziała, wstydząc się chwili słabości.

- Byłaś zajęta - powiedział i łagodnie wyjął jej misia z rąk. - Wygląda na kochanego.

- Jest stary - powiedziała, odchrząknęła i odebrała mu pluszaka. - Chciałam go zaszyć, zanim całkiem się rozpadnie - wyjaśniła i odłożyła misia na półkę. - Wychodziłeś gdzieś?

- Tak - przytaknął, ale nie powiedział jej o spotkaniu z Eriką. - Wróciłaś dziś wcześniej - zauważył.

- Znalazłam coś - odparła i wyciągnęła klucze z kieszeni. - Ten nie jest mój.

- I odkryłaś to dopiero dziś?

- Tak, ale mógł zostać przypięty już dawno. Mogłam go nie zauważyć. - Odpięła klucz od reszty i podała go Jonasowi. - Gdy jestem w pracy, klucze leżą w szufladzie. W domu zwykle zostawiam je na kuchennym blacie. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś mi go przypiął. Myślisz, że mógł należeć do Jerry' ego?

- To w jego stylu.

- Chyba nic nam po nim, skoro nie wiemy, do jakiego zamka pasuje.

- Nie jest trudno zgadnąć - powiedział i uniósł go do światła. - To klucz do skrytki bankowej - dodał, wskazując na wytłoczony numer.

- Sądzisz, że kapitan Moralas dowie się, do której?

- Pewnie tak - mruknął Jonas i zacisnął pięść. - Ale na razie mu go nie oddam.

- Dlaczego? - zdziwiła się Liz.

- Bo mi go zabierze, a ja zamierzam najpierw zbadać zawartość depozytu.

- Chcesz chodzić od banku do banku i prosić, aby pozwolili ci go wypróbować? - spytała ze złością. - Nie musisz więc wcale dzwonić na policję, bank sam się tym zajmie.

- Mam pewne znajomości, a tu jest numer seryjny. Przy odrobinie szczęścia jutro będę wiedział, co to za bank. Może będziesz musiała wziąć kilka dni wolnego.

- Nie mogę. A zresztą, po co miałabym brać urlop?

- Jedziemy do Acapulco - oznajmił nagle.

- Dlatego, że Jerry powiedział Ericie, że ma tam interes do załatwienia?

- Jeśli był zamieszany w jakąś podejrzaną sprawę, a miał coś cennego, z pewnością wolał to ukryć. Skrytka bankowa w Acapulco, to brzmi rozsądnie.

- Dobrze. Jeśli uważasz, że to prawda, życzę ci miłej podróży - powiedziała i chciała wyjść z pokoju, lecz Jonas zatarasował przejście.

- Pojedziemy razem.

Razem. To słowo przypomniało jej pary na plaży i przemyślenia o zawieraniu związków. Przypomniała też sobie, do jakich doszła wniosków.

- Jonas, pomyśl. Nie mogę przecież rzucić wszystkiego i gonić za jakimiś cieniami. Poza tym w Acapulco nie będziesz potrzebował tłumacza, tam prawie wszyscy znają język angielski.

- Klucz był na twoim kółku. Nóż był na twoim gardle. Masz być tam, gdzie będę mógł cię pilnować.

- Martwisz się o mnie? - zapytała z ironią w głosie. - Nie sądzę. Jedyne, co cię naprawdę interesuje, to zemsta. A ja nie chcę ani zemsty, ani ciebie w moim życiu.

- Oboje wiemy, że to nieprawda. - Ujął Liz za ramiona i zapatrzył się na jej usta. - To się samo nie skończy.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - burknęła, odwracając wzrok.

- Sądzę, że wiesz - powiedział i mocno przycisnął ją do siebie. - Przyjechałem tu w pewnym celu i zamierzam go osiągnąć. Nic mnie nie obchodzi, że nazywasz to zemstą.

- A co to może być innego? - spytała, przewyciężając suchość w gardle.

- Sprawiedliwość.

Liz poczuła się niezręcznie. Ona sama też szukała sprawiedliwości ze względu na Faith.

- Prawo to nie zawsze to samo, co sprawiedliwość. Zamierzam dowiedzieć się, co i dlaczego spotkało mojego brata - oznajmił, pogładził twarz dziewczyny i zanurzył dłoń w jej włosach. - Ale jest coś więcej. Teraz jesteś jeszcze ty - powiedział i zmusił ją, by patrzyła mu prosto w oczy. - Trzymam cię w ramionach i zapominam, po co tu przyjechałem. Do diabła, Liz!

Jeszcze zanim te słowa dotarły do świadomości dziewczyny, poczuła jego miażdżący pocałunek. Jonas nie planował tego w ten sposób. Przedtem był delikatny, bo zmuszał go do tego wyraz jej oczu. Teraz był szorstki, niemal brutalny i zdesperowany, bo do głosu doszły jego własne potrzeby.

Wystraszył ją. Liz nigdy nie przypuszczała, że strach może być podniecający. Drżała, serce biło jej głośno, lecz chciała, żeby w dalszym ciągu trzymał ją w mocnym uścisku. Czuła, że Jonas kusi ją, by podjęła ryzyko.

Całował ją z desperacką pasją, pragnąc jej uległości i porywu uczuć. Sięgnął po Liz tak, jakby robił to zawsze, jakby miał do tego prawo. Na chwilę dziewczyna zesztyniała i zaczęła się opierać, jednak zaraz szybko się poddała, nawet nie zdążył zauważyć jej wcześniejszego wahania. Czuł

zapach morza, tajemnicy, niewinności i słodczy. Ta mieszanka zmaćla mu rozum.

Pociągnął Liz w stronę łóżka, ale ona nagle oprzytomniała. Byli w pokoju jej córki!

- Nie - szepnęła i zaczęła go odpychać. - Jonas, tak nie można!

- Do diabła, Liz, to najlepsze, co może nas spotkać! - nalegał, próbując znów ją przytulić.

Jednak Liz potrząsnęła głową i cofnęła się o krok. We wzroku Jonasa nie było już chłodu. Pomyślała, że każda kobieta powinna marzyć, aby mężczyzna patrzył na nią z takim ogniem i tęsknotą. Taka kobieta powinna natychmiast zapomnieć o swym wahaniu i rzucić mu się w ramiona. Ale Liz nie mogła tego zrobić.

- Nie chcę tego, Jonas - szepnęła drżącym głosem.

Chwycił jej rękę, zanim zdążyła odejść. Miał zamęt w głowie. Jeszcze nigdy tak nie cierpiał z powodu kobiety.

- Dlaczego?

- Nie popełnię drugiego raz tego samego błędu.

- Tamto to już przeszłość, Liz. Żyj dniem obecnym.

- Właśnie. To moje życie - powiedziała i odetchnęła głęboko. - Pojadę z tobą do Acapulco, bo im szybciej dostaniesz to, czego chcesz, tym szybciej odejdziesz - mruknęła, zaciskając dłonie w pięści. - Wiesz, że Moralas każe nas śledzić.

- Dam sobie z tym radę - odparł Jonas.

- Rób, co musisz - skinęła głową. - Załatwię z Luisem, aby przez kilka dni zajął się sklepem - powiedziała i wyszła.

Gdy Jonas został sam, znów zaczął przyglądać się srebrnemu kluczykowi. Z pewnością uda mi się otworzyć ten zamek, pomyślał. Lecz był jeszcze jeden zamek, który Jonas pragnął otworzyć. Sięgnął po misia, którego Liz odłożyła na półkę. Popatrzył na maskotkę i klucz, który trzymał w dłoni. Musi sprawić, by te dwie rzeczy zaczęły się ze sobą wiązać.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie taki Meksyk Liz знаła, rozumiała i kochała. Nie do takiego kraju przyjechała dziesięć lat temu. Acapulco było bardzo nowoczesne ze swymi olbrzymimi luksusowymi hotelami, błyszczącymi w zachodzie słońca. Na każdym kroku znajdowały się modne sklepy, restauracje i nocne kluby. Miasto tętniło światowym życiem. Może i była to najstarsza i najpiękniejsza letniskowa miejscowość w Meksyku, lecz Liz wolała cichą, niemal wiejską atmosferę wyspy, na której mieszkała.

Potrafiła jednak dostrzec piękno miasta, otoczonego z jednej strony połyskliwą zatoką, a z drugiej majestatycznymi górami. Całe życie spędziła na płaskich terenach, więc góry zawsze wywierały na niej duże wrażenie. Wszystko inne wydawało się jakby mniejsze, a jednocześnie bezpieczniejsze w obliczu majestatycznych gór.

Liz pomyślała, że zobaczyła tu więcej ludzi w ciągu godziny, niż przez cały tydzień na Cozumel. Jadąc taksówką, zastanawiała się, czy będzie miała czas, aby odwiedzić tutejsze sklepy ze sprzętem do nurkowania.

Jonas wybrał hotel w guście Jerry' ego. Była to niewielka, lecz luksusowa willa z widokiem na Pacyfik. Odebrał klucz w recepcji i zostawił bagaż chłopcu hotelowemu.

- Teraz pójdziemy razem do banku - oznajmił zaskoczonej Liz.

Jonas był rozdrażniony. Aż dwa dni zajęło mu znalezienie właściwego banku. Nie zamierzał tracić już więcej czasu.

Liz niechętnie wyszła za nim na ulicę. To prawda, że nie przyjechała tu się bawić, ale obejrzenie pokoi i chociażby mała przekąska nie wydały jej się przesadnie wygórowanymi żądaniami.

Jonas wszedł do taksówki i podał kierowcy adres. Doskonale wiedział, dlaczego jego brat wybrał Acapulco, z jego przepychem i nocnym życiem. Gdy Jerry zatrzymywał się gdzieś dłużej niż na jeden dzień, miasto musiało przypominać atmosferę Nowy Jork, Londyn czy Chicago. Nie interesowały go wiejskie powaby tak spokojnego miejsca jak Cozumel. Skoro znalazł się na wyspie, musiał mieć w tym jakiś cel. Jonas sądził, że w Acapulco znajdzie odpowiedź.

Nie potrafił jednak rozgryźć kobiety, która siedziała obok niego. Czy sama wplątała się w tę historię, czy to on wciągał ją w sprawę śmierci swego brata? Siedziała obok niego milcząca, w ponurym nastroju. Jonas pomyślał, że musi martwić się tym, co dzieje się w sklepie podczas jej nieobecności. Chciał, żeby smutek zniknął wreszcie z oczu Liz. Zamiast mieszać ją w sprawę morderstwa, wolałby wrócić do hotelowej willi i kochać się z nią do utraty tchu.

Nie była dowcipna, wykształcona, ani piękna klasyczną urodą. Ale tak zapadła mu w serce i pamięć, że noce spędzał bezsennie. Pragnął jej. Chciał pieścić ją tak długo, aż Liz zapomni o klientach, sklepie i księgach rachunkowych. Może to zwykła żądza posiadania, pomyślał rozdrażniony.

Gdy taksówka zatrzymała się przed bankiem, Liz wysiadła bez słowa. Rozejrzała się po okolicy. Otaczały ją eleganckie sklepy i butiki, na wystawach dostrzegła olśniewające stroje. Nawet z dużej odległości widziała skrzącą się biżuterię w witrynach sklepów. Obok niej, z cichym szumem silnika, przejechała limuzyna z przyciemnionymi szybami.

- Pasujesz do tego miejsca - powiedziała do Jonasa.

Nie musiała mówić nic więcej. Jonas wiedział, że Liz bezustannie porównuje Acapulco z Cozumel oraz ich odmienne style życia.

- Tylko pod niektórymi względami - odparł, wziął ją pod rękę i wprowadził do wnętrza banku.

Bank był taki, jaki być powinien, cichy i spokojny. Urzędnicy mieli na sobie dobrze skrojone ubrania w neutralnych kolorach, a na twarzach uprzejme uśmiechy. Rozmowy były prowadzone szeptem. Jonas pomyślał, że jego brat był tak bardzo konserwatywny w przechowywaniu pieniędzy, jak szalony w ich wydawaniu. Bez wahania podszedł do najładniejszej kasjerki.

- Dzień dobry.

Dziewczyna spojrzała na niego i po chwili uśmiechnęła się przyjaźnie.

- O! Pan Sharpe. Miło znów pana widzieć - powiedziała.

Liz zeszywniała. Jonas musiał już tu kiedyś być. Dlaczego jej nic nie powiedział? Posłała mu długie, zdziwione spojrzenie. Jaką on prowadził grę?

- Miło znów tu się znaleźć - odpowiedział z uwodzicielskim uśmiechem, a Liz poczuła nieoczekiwane ukłucie zazdrości. - Zastanawiałem się, czy mnie pamiętasz.

- Oczywiście - przytaknęła kasjerka i zarumieniona spojrzała w stronę swego przełożonego. - W czym mogę pomóc?

- Chciałbym dostać się do mojej skrytki - poprosił, wyjmując klucz z kieszeni i posyłając Liz ostrzegawcze spojrzenie.

- Nie będzie z tym żadnego problemu - oznajmiła urzędniczka i podała mu formularz. - Proszę się tu podpisać.

Jonas wziął długopis i bez wahania podpisał się: Jeremiah C. Sharpe. Z uśmiechem oddał formularz. Kasjerka porównała podpis z tym, który miała w swoich aktach. Pasowały idealnie.

- Proszę za mną, panie Sharpe.

- To chyba nie jest legalne - mruknęła Liz, gdy szli za urzędniczką.

- To prawda - przytaknął Jonas.

- Czy jestem współniczką?

- Tak - upewnił ją z uśmiechem, czekając, aż kasjerka poda mu długą, metalową kasetkę. - W razie problemów polecę ci dobrego adwokata.

- Świetnie. Koniecznie potrzebny mi jest jeszcze jeden prawnik.

- Może pan skorzystać z tej kabiny, panie Sharpe. Proszę zadzwonić, gdy pan skończy.

- Dziękuję - powiedział Jonas, wciągnął Liz do pomieszczenia i zamknął drzwi.

- Skąd wiedziałeś?

- Co wiedziałem? - zdziwił się, kładąc skrzyneczkę na stole.

- Że masz podejść właśnie do tej urzędniczki? Gdy się odezwała, pomyślałam, że byłeś już tu kiedyś.

- W banku było trzech mężczyzn i dwie kobiety. Ta druga przekroczyła już pięćdziesiątkę. Dla Jerry' ego w tym banku pracuje tylko jedna osoba.

- A jego podpis?

- Jerry był częścią mnie - wyjaśnił powoli Jonas, patrząc dziewczynie w oczy. - Gdy byliśmy w jednym pokoju, potrafiłem powiedzieć, o czym on myśli. Złożenie jego podpisu jest równie łatwe, jak złożenie własnego.

- Czy tak samo było z nim?

- Tak, dokładnie tak samo - odparł Jonas i poczuł nagłą, niespodziewaną falę bólu.

Jerry opisał jej kiedyś swojego brata jako sztywniaka. Człowiek, który stał teraz przed Liz, nie pasował do tego opisu.

- Zastanawiam się, czy rzeczywiście rozumieliście się tak dobrze, jak wam się wydawało - powiedziała zamyślona i spojrzała na metalową kasetkę.

Jonas włożył kluczyk do zamka, przekręcił go i zdjął pokrywę. Liz nie mogła oderwać wzroku od zawartości kasetki. Jeszcze nigdy nie widziała tyle pieniędzy. Dolary leżały w równych rzędkach i kusiły swą nowością i czystością.

- Dobry Boże, tu są ich tysiące - szepnęła i z trudem przełknęła ślinę. - Setki tysięcy.

- Przynajmniej trzysta tysięcy, w dwudziestkach i pięćdziesiątkach - powiedział po chwili Jonas.

- Myślisz, że on je ukradł? - mruknęła. - To pewnie tych pieniędzy szukał człowiek, który włamał się do mojego domu.

- Z pewnością - przytaknął Jonas. - Nie sądzę, aby Jerry ukradł te pieniądze. Obawiam się, że je zarobił - dodał grobowym tonem.

- Jakim cudem? - zdziwiła się Liz. - Nikt nie zarabia takich pieniędzy w kilka dni, a przysięgnę, że Jerry był goły, gdy go zatrudniłam. Wiem, że Luis pożyczył mu pieniądze przed pierwszą wypłatą.

- To możliwe - zgodził się Jonas, nie wspominając, że sam przesłał bratu pieniądze, jeszcze zanim Jerry opuścił Nowy Orlean.

Jonas rozgarnął pliki banknotów i ostrożnie wyjął niewielką foliową torebkę z jakimś białym proszkiem. Zanurzył w niej palec i podniósł go do ust. Leciutko dotknął czubkiem języka odrobinę białego proszku. Zrozumiał wszystko.

- Co to jest?

Nie zmieniając wyrazu twarzy, Jonas zamknął torebkę. Nie mógł teraz pozwolić sobie na ponure myśli.

- Kokaina.

- Nie rozumiem. - Liz z przerażeniem wpatrywała się w torebkę. - Jerry mieszkał w moim domu. Wiedziałabym, gdyby zażywał narkotyki.

Jonas pomyślał, że Liz nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo jest nieświadoma ciemnej strony ludzkich działań.

- Może tak, może nie. Ale nie sądzę, aby mój brat brał to świństwo. Z pewnością nie trzymał tego dla siebie.

- Myślisz, że tylko sprzedawał? - Liz aż usiadła z wrażenia.

- Sprzedaż narkotyków? - Jonas uśmiechnął się ponuro. - Nie, to byłoby zbyt banalne i za mało podniecające - oznajmił z przekąsem i sięgnął po niewielki czarny notes, leżący obok pieniędzy. - Ale przemyt, to co innego - wymruczał pod nosem. - Sądzę, że przemyt byłby dla Jerry' ego czymś, co

mogło go podniecać. Akcja, intryga i szybkie pieniądze. To by uzasadniało ryzyko.

Liz spróbowała skupić myśli na człowieku, którego znała tak krótko. Sądziła, że go rozumie i wie, do której kategorii ludzi należy, ale teraz wydawał się jej jeszcze bardziej obcy niż za życia. Po chwili doszła do wniosku, że nie jest dla niej ważne, jakim człowiekiem był Jerry Sharpe. Dla niej liczyło się to, kim jest jego brat.

- A ty? - spytała. - Czy ty potrafiłbyś uzasadnić takie ryzyko?

Jonas tylko na nią spojrział znad notesu. Jego oczy były zimne, tak zimne, że nie mogła nic w nich odczytać.

- Jerry zapisał inicjały, daty, godziny i jakieś liczby. Wygląda na to, że dostawał pięć tysięcy za każde zlecenie. Jest ich dziesięć.

- To daje tylko pięćdziesiąt tysięcy, a tu jest aż trzysta tysięcy - wymamrotała Liz, patrząc na pieniądze, które przestały ją fascynować, a zaczęły brzydzić.

- Zgadza się. Plus torebka czystej kokainy o olbrzymiej wartości - powiedział Jonas i zaczął przepisywać notatki brata do swojego niewielkiego notesu.

- Co z tym zrobimy?

- Nic.

- Nic? - oszołomiona Liz wstała i zaczęła nerwowo spacerować. - Chcesz to tak zostawić? Włożysz do skrzynki i po prostu odejdziesz?

- Dokładnie tak zrobię - Jonas skinął głową i odłożył notes na miejsce.

- Po co więc przyjechaliśmy, skoro nie zamierzasz nic z tym zrobić?

- Żeby to znaleźć.

- Jonas - syknęła i chwyciła jego dłoń, zanim zatrzasnął skrzynkę. - Musisz to odnieść na policję i oddać Moralasowi.

Rozmyślnym gestem oderwał jej dłoń od swojej i uniósł torebkę narkotyków na wysokość twarzy dziewczyny. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Chcesz to zabrać ze sobą do samolotu, Liz? Wiesz, jakie są kary w Meksyku za przemyt narkotyków?

- Nie.

- Zapewniam cię, że nie chcesz wiedzieć - oznajmił sucho i zamknął skrzynkę. - Załatwię to po swoim.

- Nie.

- Nie prowokuj mnie, Liz - warknął, hamując z trudem wybuch gniewu.

- Ja mam przestać cię prowokować? - zdenerwowała się i zacisnęła pięści na klapach marynarki Jonasa. - Ty wyprowadzasz mnie z równowagi od kilku dni. Wepchnąłeś mnie w sam środek afery, o jakiej mi się nawet nie śniło. A teraz, kiedy siedzę po uszy w przemyśle narkotyków i mam przed sobą górę brudnych pieniędzy, mówisz, żebym o tym zapomniała? Może nie jestem ci dłużej potrzebna, ale nie dam się tak po prostu spławić! Ściga mnie jakiś obłąkany morderca, bo uważa, że wiem, gdzie są pieniądze! - wrzasnęła i zbladła. - Boże! Teraz wiem, gdzie są te pieniądze.

- Wystarczy - powiedział Jonas łagodnym głosem i wziął jej ręce w swoje. - Tak, teraz już wiesz. Najlepsze, co możesz zrobić, to usunąć się na bok i pozwolić im skupić się na mnie.

- Jak niby mam to zrobić?

- Jedź do Houston odwiedzić córkę - poradził.

- Jak? - syknęła. - Przecież mogą mnie śledzić. - Spojrzała na niewielką metalową kasetkę. - Na pewno będą mnie śledzić. Nie zamierzam ryzykować bezpieczeństwa córki.

Jonas wiedział, że to prawda. Miał ochotę wrzeszczeć ze złości. Nagle poczuł się uwięziony między miłością a lojalnością, między dobrem a złem, między sprawiedliwością a prawem.

- Porozmawiam z Moralasem, gdy tylko wrócimy - zdecydował.

- A gdzie teraz idziemy?

- Napić się czegoś - oznajmił, zabrał skrzynkę i wyszedł na korytarz.

Liz, zamiast pójść z Jonasem do baru, postanowiła spędzić kilka chwil w samotności. Odnalazła hotelowy butik i wybrała prosty jednoczęściowy kostium kąpielowy. Kazała dopisać jego cenę do rachunku za pokój, bo uznała, że Jonas jest jej coś winien. W niespodziewaną podróż do Acapulco zabrała ze sobą tylko trochę kosmetyków i ubranie na zmianę. Jeśli miała spędzić tu resztę dnia, chciała przynajmniej skorzystać z basenu, który należał do ich willi.

Gdy po raz pierwszy weszła do willi, była oszołomiona. Jej rodzice nie byli ubodzy i żyli na dość wysokim poziomie, ale nic nie mogło jej przygotować na przepych dwupokojowego apartamentu z widokiem na ocean. Stopy Liz zatoneły w miękkim, puszystym dywanie. Na ścianach, w przyjemnym

odcieniu beżu, dostrzegła kilka uroczych obrazków. Sofa, w kolorze błękitnego morza, wystarczyłaby dla kilku osób.

W łazience, obok wanny, która kusiała swymi rozmiarami, Liz odnalazła telefon. Lekko różowa umywalka miała kształt muszli.

A więc tak żyją bogaci, pomyślała, wchodząc do drugiej sypialni. Zauważyła swój bagaż, stojący obok wielkiego łóża. Podeszła do drzwi balkonowych, rozsunęła zasłony i spojrzała na Pacyfik.

Właśnie o takim świecie opowiadał jej przed laty Marcus. Dla niej brzmiało to jak bajka. Liz nigdy nie odwiedziła jego domu, lecz Marcus dokładnie go opisał. Białe filary, balkony i kręcone schody, ciągnące się w nieskończoność. Służący, podający herbatę, i stajenni, gotowi w każdej chwili osiodłać piękne konie. Szampan pity z kryształowych pucharów. To była bajka, której Liz nawet nie śmiała pragnąć dla siebie. Chciała tylko jego.

Jakże byłam głupia, pomyślała z goryczą. W swej naiwności wzięła za księcia rozpuszczonego i zepsutego chłopaka. Nie tęskniła już do bajek, lecz przez te wszystkie lata nie zapomniała opisu pięknego domu i często wyobrażała sobie swoją córkę w balowej sukni, schodzącą po długich, kręconych schodach. To zaspokoiłoby jej potrzebę sprawiedliwości.

Ta wizja przybladła teraz nieco, przytłoczona zawartością niewielkiej metalowej kasetki. Liz dowiedziała się, skąd może się brać bogactwo i wcale się tym nie zachwyciła. Nie podobał się jej też wyraz oczu Jonasa, gdy mówił o swoim pojęciu sprawiedliwości. To już nie była bajka, tylko ponura rzeczywistość. Postanowiła, że zanim zacznie na nowo planować przyszłość swoją i córki, musi się porządnie zastanowić.

Jonas. Nie była z nim związana z własnego wyboru. Możliwe, że on też tak to odbierał. Czy dlatego czuła do niego taki pociąg, że tkwili w tym razem? Gdyby Liz potrafiła sobie to wyjaśnić, odzyskałaby wreszcie kontrolę nad swoimi uczuciami.

Lecz jak wyjaśnić swoje pragnienia? W taksówce, kiedy w ciszy wracali z banku do hotelu, z trudem zwalczyła potrzebę objęcia Jonasa, by go pocieszyć. Ale ten mężczyzna nie wyglądał na takiego, który pragnąłby czy potrzebował pocieszenia. Liz nie znalazła żadnej rozsądnej odpowiedzi na pytanie, czemu powoli i nieuchronnie zakochuje się w tym młodym prawniku.

Nadszedł czas, by to uczciwie przyznać, pomyślała. Nigdy nie można stawić czoła czemuś, co uprzednio nie zostanie nazwane. Liz kierowała się tymi zasadami nawet w najcięższych okresach w życiu i nieodmiennie przekonywała się, że są prawdziwe. A więc kocha go lub jest tego bardzo bliska. Nie była już tak naiwna, aby sądzić, że miłość wszystko rozwiąże. Jonas ją zrani. Skradnie jej to, co tak uparcie chroniła przez lata. A gdy już posiadzie jej serce, czy będzie ono coś dla niego znaczyć? Potrząsnęła głową.

Jonas Sharpe miał swoją misję, a Liz nie była dla niego niczym więcej niż mapą, mającą doprowadzić go do celu. Był bezlitosny na swój cierpliwy sposób. Gdy skończy, co zaczęła, wróci do Filadelfii, nie oglądając się za siebie.

Nagle pomyślała o Faith. Córka wydała jej się teraz jedyną więzią z rzeczywistością. Może gdyby z nią porozmawiała, nabrałaby dystansu do ostatnich wydarzeń. Poddając się impulsowi, wybrała dobrze znany numer telefonu. Zanim po drugiej stronie podniesiono słuchawkę, Liz już się uśmiechała.

- Słucham?

- Mama? - powiedziała, czując jednocześnie radość i wyrzuty sumienia. - Tu Liz.

- Liz! - zawołała Rose Palmer. - Nie spodziewaliśmy się, że zadzwonisz. Dziś rano właśnie przyszedł list od ciebie. Czy coś się stało?

- Nie, nie. Wszystko w porządku - odparła, choć nic nie było w porządku. - Chciałam tylko porozmawiać z Faith.

- Och, Liz, tak mi przykro. Faith ma dziś lekcję gry na pianinie.

- Zapomniałam. Lubi te lekcje, prawda? - spytała, walcząc ze łzami.

- Uwielbia! Pamiętasz, kiedy sama brałaś lekcje gry na pianinie?

- Miałam dwie lewe ręce - Liz zaśmiała się niewesoło. - Dziękuję za zdjęcie, mamo. Wygląda na to, że Faith znów urosła. Czy ona... cieszy się, że niedługo tu przyjedzie?

Rose wyczuła tęsknotę i ból w głosie córki. Nie po raz pierwszy zapagnęła ją pocieszyć i przytulić.

- Zaznacza sobie dni w kalendarzu. Nawet kupiła ci już prezent.

- Tak? - zdziwiła się Liz, z trudem wydobywając głos przez ściśnięte gardło.

- To ma być niespodzianka, więc nie zdradzaj, że ci powiedziałam.

- Nie zdradzę - obiecała i otarła łzy. - Tak bardzo mi jej brak. Te ostatnie tygodnie przed jej przyjazdem zawsze są najgorsze.

- Liz - zaczęła matka, słysząc w głosie córki to, co umykało uwagi innych. - Dlaczego nie przyjedziesz do nas? Mogłabyś być z nami, dopóki nie skończy się rok szkolny i potem zabrać małą do siebie.

- Nie, nie mogę. A co u taty?

Rose zabolęła ta nagła zmiana tematu, lecz uległa córce. Nie znała nikogo równie upartego, jak Liz. No, chyba że jeszcze swoją wnuczkę.

- Wszystko w porządku. Już nie może się doczekać spotkania z tobą i nurkowania.

- Zarezerwuję dla nas jedną łódź. Powiedz Faith... powiedz jej, że dzwoniłam.

- Oczywiście, że jej powiem. A może sama zadzwoni, kiedy wróci? Powinna już niedługo być z powrotem.

- Nie ma mnie w domu. Jestem w Acapulco, w interesach - westchnęła Liz.

- Powiedz jej, że tęsknię i że będę czekać na lotnisku. Wiesz, że doceniam wszystko, co robisz. Ja po prostu...

- Liz - przerwała jej łagodnie Rose. - Kochamy Faith. Ciebie też kochamy.

- Wiem - szepnęła Liz i potarła dłońmi oczy. - Ja też was kocham. Tylko że czasami wszystko się tak miesza.

- Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku?

- Będę na lotnisku. Powiedz Faith, że ja też liczę dni do jej przyjazdu.

- Dobrze.

- Pa, mamó.

Liz odłożyła słuchawkę i czekała, aż minie fala dojmującego bólu. Gdyby miała więcej zaufania do rodziców, gdyby wierzyła w ich miłość i w to, że ją wesprą, czy uciekłyby aż do Meksyku, aby zacząć tu życie od nowa? Już nigdy się tego nie dowie. Spaliła za sobą zbyt wiele mostów. Jedyne, co się teraz dla niej liczyło, to Faith i jej szczęście.

Jonas wrócił po godzinie i zastał Liz w basenie. Pływała zapamiętale, rozcinając wodę zgrabnymi poruszeniami ramion. Nie wyglądała na zmęczoną ani przytłoczoną atmosferą zbytku. Pasowała do tego miejsca. Czerwony kostium kąpielowy łagodnie opinał krągłości jej sylwetki.

- Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś odpoczywała, siedząc spokojnie - powiedział.

Liz odwróciła się. Woda, wąskimi strumyczkami, spływała na jej piersi. Jest bardzo zmęczony, pomyślała. Zauważyła, że wokół jego ust pojawiły się zmarszczki, a oczy są przygaszone. Nie przebrał się i wyglądało na to, że nie zdążył nawet zajrzeć do ich apartamentu.

- Nie wzięłam kostiumu - powiedziała, chwyciła się krawędzi basenu i zgrabnie wyszła z wody. - Zapisałam go na rachunek pokoju.

- Ładny - skomentował Jonas, patrząc, jak mokry, obcisły materiał podkreśla kuszące kształty dziewczyny.

- Był dość drogi - oznajmiła i sięgnęła po ręcznik.

- Mogłem domyślić się po wyglądzie hotelu - odparł z uśmiechem, gdy Liz zaczęła energicznie wycierać wilgotne włosy.

- Nie mogłeś. Ale skoro jesteś prawnikiem, pewnie masz swoje sposoby, by się tego dowiedzieć. Żeby ci ułatwić zadanie, zachowałam paragon.

- Doceniam to. - Jonas roześmiał się po raz pierwszy od wielu dni. - Coś mi się zdaje, że nie masz najlepszego zdania o prawnikach.

- Staram się o nich wcale nie myśleć - oznajmiła z dziwnym wyrazem twarzy.

- Ojciec Faith był prawnikiem? - domyślił się Jonas, wyjął ręcznik z rąk Liz i zaczął łagodnie osuszać jej ramiona.

- Daj spokój - poprosiła.

Jonas otulił dziewczynę ręcznikiem, złapał jego końce i przyciągnął ją bliżej.

- Chciałbym, żebyś mi o tym opowiedziała.

To ten jego głos, taki spokojny i przekonujący, sprawia, że chciałabym otworzyć przed nim serce i duszę, pomyślała. Prawie uwierzyła, że Jonasowi naprawdę zależy, że chce zrozumieć. Pragnęła w to wierzyć.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Może z powodu wyrazu twoich oczu? Sprawia, że mężczyzna chce się tobą opiekować.

- Nie musisz się nade mną litować - powiedziała buntowniczo.

- Wiesz, że nie o to mi chodzi - szepnął i schylił głowę tak, że ich czoła się zetknęły. - A niech to! - Miał dosyć walczenia z własnymi demonami i ciągłego szukania odpowiedzi.

- Wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona, nie rozumiejąc jego zachowania.

- Nie - zaprzeczył i odsunął się od niej. - Wiele z tego, co dziś powiedziałaś, to prawda. W ogóle często masz rację. Nic nie mogę na to poradzić.

- Nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć.

- Nic - odparł i ukrył zmęczoną twarz w dłoniach. - Próbuję pogodzić się z tym, że mój brat zginął. Że zamordowano go, bo chciał łatwo zarobić na przemyśle narkotyków. Jerry był uroczy i błyskotliwy, ale zawsze próbował ten swój wdzięk wykorzystywać w złych celach. Za każdym razem, gdy patrzę w lustro, zastanawiam się, dlaczego tak postępował i dlaczego ja nic nie mogłem na to poradzić.

Zanim zdążyła pomyśleć, że to nie jej sprawa, Liz współczującym gestem dotknęła ramienia Jonasa. To pierwszy raz, kiedy ujawnił swój ból, pomyślała. Dobrze wiedziała, jak wygląda życie z bezustannym bólem w sercu.

- Jonas, nie sądzę, by Jerry był złym człowiekiem, chyba był po prostu słaby. Żal po jego stracie to jedna sprawa, ale nie możesz winić siebie za to, co zrobił.

Jonas do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że jak każdy inny człowiek w takiej sytuacji, potrzebuje pocieszenia. Dłoń Liz, spoczywająca na jego ramieniu, sprawiła, że coś w nim pękło.

- Tylko ja mogłem do niego jakoś dotrzeć, to ja nie pozwalałem mu zagłębić się do reszty w tym bagnie. W końcu doszło do tego, że miałem dość życia za nas obu.

- Naprawdę uważasz, że mogłeś powstrzymać go przed tym, co zrobił?

- Może mogłem? Będę musiał żyć z tą świadomością.

- Chwileczkę - zaprotestowała Liz. Na jej twarzy nie było teraz śladu współczucia, tylko rozdrażnienie. - Zgoda. Byliście braćmi, bliźniakami, ale on był osobną istotą. Jerry nie był dzieckiem, które trzeba prowadzić za rękę i pilnować na każdym kroku. Był dorosły i podejmował własne decyzje.

- Problem polegał na tym, że Jerry nigdy nie zdołał wydorosnąć.

- Ale ty tak. Zamierzasz teraz siebie za to karać?

Jonas uświadomił sobie dwie rzeczy. Potrzebował, żeby ktoś nakrzyczał na niego i wytknął mu jego błędy. Zrozumiał też, że właśnie zrobił to, o czym mówiła Liz. Wrócił do domu, pochował brata, pocieszył rodziców i zaczął obwiniać siebie o to, że nie zapobiegł wypadkom, których od dawna się spodziewał.

- Muszę odkryć, kto go zabił, Liz. Nie mogę spocząć, póki się tego nie dowiem - szeptał w udręce.

- Znajdziemy ich - obiecała i przytuliła się do niego. - Niedługo wszystko się skończy, zobaczysz.

Jonas nie był pewien, czy chce, żeby wszystko się skończyło. Przesunął dłoń po jej ramieniu i zauważył, że skóra Liz jest chłodna.

- Słońce już zaszło - powiedział i opiekuńczym gestem poprawił ręcznik na jej ramionach. - Lepiej przebierz się w coś suchego. Idziemy na kolację.

- Dokąd?

- Podobno tutejsza restauracja szczyci się doskonałą kuchnią.

- Nie mam w co się ubrać - westchnęła typowo po kobiecemu.

Jonas zaśmiał się z całego serca i objął ją ramieniem. To były pierwsze, niemal frywolne słowa, jakie usłyszał od Liz.

- Wybierz sobie coś i dopisz do rachunku.

- Ale...

- Nie martw się. Mam najbardziej przebiegłego księgowego pod słońcem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Liz była pewna, że nie uda jej się spokojnie przespać nocy w obcym łóżku. Nie tylko jednak przespała całą noc kamiennym snem, ale jeszcze obudziła się wypoczęta. Prawda, że było dopiero parę minut po szóstej i nie musiała pędzić do sklepu, ale przyzwyczała się do wstawania o tej porze. Wyjazd do Acapulco wcale tego nie zmienił.

Ale zmienił inne rzeczy. Jeszcze bardziej wmieszała się w sprawę morderstwa Jerry'ego i narkotyków. Gdyby to był film, oglądałaby go z zapartym tchem. Gdyby ostatecznie wydarzenia zostały opisane w książce, z pewnością nie mogłaby się od niej oderwać. Ale to było jej życie i wolała, by toczyło się dużo spokojniej. Liz wiedziała, że nie uda jej się już wypłatać, dopóki sprawy nie zostaną doprowadzone do końca.

Z pewnością nie mogła uciec. Z doświadczenia wiedziała, że nie jest to najlepsze rozwiązanie. Nie mogła też bez końca kryć się za plecami Moralasa i jego ludzi. Prędzej czy później wróci opryszek z nożem albo jakiś inny bandzior. Drugi raz już się nie wywinie. W chwili gdy ujrzała zawartość bankowej skrytki, stała się uczestnikiem tej niebezpiecznej gry. Pomyślała o Jonasie. Nie miała innego wyjścia, jak tylko mu zaufać. Gdyby zrezygnował z wykrycia mordercy brata i wrócił do Filadelfii, zostałaby całkiem sama. Choć Liz wolałaby, żeby było inaczej, potrzebowała go tak samo, jak on potrzebował jej.

Zmieniły się też moje uczucia, pomyślała Liz. Teraz są jeszcze bardziej skomplikowane i pogmatwane, niż na początku znajomości z Jonasem. Gdy zobaczyła go wczoraj, takiego smutnego i bezradnego, współczuła mu z całego serca. Cierpiał nie tylko z powodu straty brata, ale i tego, co Jerry zrobił. Ona kiedyś kochała, potem również cierpiała, lecz nie z powodu rozstania, tylko dlatego, że bardzo się rozczarowała.

To chyba było w innym życiu, pomyślała Liz. Jednak choć minęły lata i zmieniły się okoliczności, wciąż pamiętała otrzymaną lekcję. Rozpamiętywanie przeszłości nie ma sensu, powiedziała sobie i wyskoczyła z łóżka. Od tej chwili, zamiast myśleć, powinna zacząć działać.

Jonas już od godziny kręcił się w łóżku, nie mogąc spać. Zastanawiał się, jak wypłatać dziewczynę z kłopotów, w które wciągnął ją razem z Jerrym. Obmyślił już kilka sposobów zwrócenia na siebie uwagi przestępców, ale to nie gwarantowało bezpieczeństwa Liz. Wiedział, że nie zgodzi się wyjechać do Houston i rozumiał jej obawy o dobro córki.

Wydawało mu się, że z upływem dni coraz lepiej poznaje Liz. Była samotniczką, ale wyłącznie z tego powodu, że uznała to za najbezpieczniejsze. Była kobietą interesu, ale tylko dlatego, że liczyło się dla niej jedynie dobro Faith. Tak naprawdę Liz była kobietą z niespełnionymi marzeniami i przepelnioną miłością, której nie dawała ujścia. Odmawiała sobie wszystkiego ze względu na dziecko. I udało jej się przekonać siebie samą, że jest zadowolona ze swojego życia. To akurat rozumiał bardzo dobrze, bo sam jeszcze kilka tygodni temu też myślał, że jest szczęśliwy. Dopiero teraz, gdy mógł spojrzeć na siebie z dystansu, zrozumiał, że zaledwie ślizgał się po powierzchni życia. Być może, po odrzuceniu zewnętrznych pozorów, okaże się, że Jonas wcale nie różni się od brata tak bardzo, jak myślał. Dla obu życiowy sukces był najważniejszy, różniły ich tylko sposoby docierania do celu. Wprawdzie Jonas miał dom i doskonałą pracę, ale w jego życiu nigdy nie było ważnej kobiety. Zawsze stawiał karierę na pierwszym miejscu. Jednak poznawanie tajników prawa było jedynie płatnym zajęciem. Wygrywanie spraw dawało tylko przelotną satysfakcję. Być może Jonas przeczuwał to już od dawna? Kupił przecież ten stary, wiktoriański dom, aby mieć choć namiastkę stabilizacji. Ale kiedy zaczęła pragnąć kogoś u swego boku?

Cóż, zastanawianie się nad własnym życiem nie rozwiąże problemu Liz Palmer. Nie mogła wrócić do Houston, ale istniały jeszcze inne miejsca, gdzie mogłaby przeczekać, aż jej życie wróci do normy. Pomyślał o swoich rodzicach i ich spokojnym domu w Lancaster. Liz mogłaby nawet pojechać tam z córką. To uspokoiłoby nieco sumienie Jonasa. Był pewien, że rodzice je przyjmą i być może nawet zwariują na ich punkcie.

A gdy sam skończy sprawy na wyspie Cozumel, pojedzie do nich. Chciałby zobaczyć Liz w otoczeniu, które znał i kochał. Pragnął z nią rozmawiać o prostych codziennych sprawach. Marzył o tym, aby znów usłyszeć jej beztroski śmiech. Chciał z nią być i do diabła z resztą świata! Było w niej coś takiego, że zaczynał myśleć o leniwych wieczorach, huśtawce na ganku i długich spacerach przy księżycu. W Filadelfii nie miał czasu na to

wszystko. Nawet spotkania towarzyskie stały się okazjami do załatwiania interesów. Wiedział, że także Liz nie pozwalała sobie na chwilę wytchnienia. Dlaczego on, człowiek zajęty swą pracą, marzy o leniwych popołudniach w towarzystwie kobiety, która również jest zajęta swoją pracą?

Liz stanowiła dla niego tajemnicę i może właśnie to była odpowiedź, której szukał. Tajemnicza Liz Palmer wiązała się z zagadkową śmiercią jego brata. Jak mógł myśleć o jednym, nie wspominając drugiego? Rozdrażniony, spojrzął na zegarek. W Filadelfii musiało być już po dziewiątej. Zadzwoń do biura, zdecydował. Zdążył podnieść słuchawkę, gdy do pokoju weszła Liz.

- Nie wiedziałam, że już wstałeś - zmieszała się i zaczęła walczyć z paskiem szlafroka.

- Myślałem, że pośpisz dłużej - powiedział i odłożył słuchawkę.

- Nigdy nie śpię dłużej niż do szóstej - odparła i podeszła do okna, by ukryć swoje onieśmienie. - Cudowny widok.

- Tak, z pewnością.

- Nie byłem w hotelu... od lat - dokończyła niezręcznie. - Gdy dotarłam na Cozumel, podjęłam pracę w tym samym hotelu, w którym zatrzymywaliśmy się z rodzicami. To było dość dziwne. Teraz zresztą też czuję się niepewnie.

-

Nie czujesz potrzeby zmiany pościeli albo przyniesienia świeżych ręczników?

- Nie, nawet odrobiny - zaśmiała się i zażenowanie ustąpiło.

- Liz, kiedy już skończymy z tym wszystkim, kiedy minie całe zamieszanie, porozmawiasz ze mną o tamtym okresie twojego życia?

- Gdy zamkniemy tę sprawę, nie będzie już powodów do takiej rozmowy - odparła, patrząc na niego poważnym wzrokiem.

Jonas wstał, ujął jej dłonie w swoje i powoli podniósł je do ust. Oczy dziewczyny lekko się zamgliły. Oboje byli zaskoczeni jego niespodziewanym gestem.

- Ja wcale nie jestem tego pewien - wymruczał. - A ty?

Liz nie mogła być pewna niczego, gdy przemawiał do niej tym cichym głosem i gładził jej dłonie. Przez chwilę czuła się kobietą, o którą dba jej mężczyzna. Lecz zaraz cofnęła się, wiedząc, że to jedyne rozsądne wyjście z sytuacji.

- Jonas, powiedziałeś kiedyś, że mamy ten sam problem. Nie chciałam w to wierzyć, ale okazało się, że to prawda. Ale kiedy go rozwiążemy, nic nie

będzie nas łączyć. Wiesz, że dzieli nas o wiele więcej niż tylko odległość między naszymi domami.

- Nie musi wcale tak być - oznajmił Jonas i pomyślał o domu, który kupił.

- Był taki czas, że wierzyłam w podobne zapewnienia.

- Żyjesz przeszłością! - Zdenerwowany chwycił ją mocno za ramiona. - Zaczynj wreszcie walkę ze swoimi lękami.

- Może gnębią mnie duchy przeszłości, ale wcale nią nie żyję. Nie stać mnie na to.

- Dobrze. Na razie będzie, jak chcesz - powiedział lekko. - Ale pamiętaj, że to jeszcze nie koniec. Jesteś głodna?

Liz nie miała pojęcia, co może oznaczać ta jego nagła kapitulacja, ale odczuła ulgę.

- Zjadłabym coś - pokiwała głową.

- To chodźmy na śniadanie. Mamy dużo czasu do odlotu.

Liz mu nie ufała. Choć w czasie śniadania Jonas prowadził z nią lekką rozmowę, wciąż czekała na jego ruch. Był sprytny i dobrze o tym wiedziała. Może ona nie była sprytna, ale za to na pewno była uparta. Żaden mężczyzna, nawet Jonas, nie zmienił jej postanowień, które podjęła przed laty. W jej życiu było miejsce tylko na dwie wielkie miłości. Faith i pracę.

- Nie mógłbym się zmusić do zjedzenia czegoś takiego o tej porze - powiedział, patrząc podejrzliwie na talerz dziewczyny.

- Mam odporny żołądek - odparła, łykając z zadowoleniem mieszankę ostrych papryczek, cebuli i jajek. - Powinieneś spróbować zrobionego przeze mnie chili.

- Czy to propozycja, że będziesz dla mnie gotować?

- Chyba mogłabym, skoro i tak gotuję dla siebie - powiedziała, życząc sobie, aby nie uśmiechał się do niej w ten sposób. - Ale wydaje mi się, że całkiem nieźle radzisz sobie w kuchni.

- O, potrafię gotować... Tylko najczęściej nie jestem zadowolony z rezultatu - wyznał, pogładził jej dłoń i uśmiechnął się podstępnie. - Wiesz co? Jeśli ty zajmiesz się gotowaniem, ja mogę zrobić zakupy i pozmywać.

- Pytanie brzmi, czy potrafisz zjeść moje chili? - powiedziała z uśmiechem i cofnęła dłoń. - Mogłoby przepalić na wylot delikatny prawniczy żołądek.

- Może się przekonamy? Na przykład dziś wieczorem - Jonas podjął wyzwanie.

- Dobrze - zgodziła się i poczuła, że znów gładzi jej dłoń. - Nie mogę jeść, gdy trzymasz moją rękę.

- Masz jeszcze jedną - zauważył, patrząc na ich splecione dłonie.

- Mam prawo do dwóch! - śmiała się, choć miała ochotę się złościć.

- Obiecuję, że ci ją zwrócę... Później.

- Hej, Jerry!

Uśmiech zastygł na twarzy Jonasa. Zmienił się tylko wyraz jego oczu. Żądały od Liz współpracy i jednocześnie ostrzegały przed niebezpieczeństwem. Wciąż trzymał ją za rękę, lecz jego uścisk stał się mocniejszy. Liz zrozumiała sygnały bezbłędnie. Miała się nie odzywać i nic nie robić, póki Jonas nie zorientuje się w sytuacji. Nagle odwrócił się i na jego twarzy pojawił się całkiem inny uśmiech. Liz zadrżała. Teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominał swego brata.

- Czemu nie powiedziałaś, że znów jesteś w mieście? - spytał wysoki, szczupły mężczyzna z kocią bródką na opalonej twarzy.

Podszedł swobodnie do stolika i położył dłoń na ramieniu Jonasa. Liz dostrzegła błysk złota na jego palcu. Jest młody, nie ma jeszcze trzydziestu lat i ubiera się z niedbałą elegancją, pomyślała, gotowa zapamiętać każdy najmniejszy szczegół.

- Bo to tylko krótka wycieczka - odparł spokojnie Jonas, przyglądając się nieznajomemu równie uważnie, jak Liz. - Niewielki interesik... Odrobina przyjemności - dodał i spojrzał znacząco na swą towarzyszkę.

- Czy mogłoby być inaczej? - zgodził się mężczyzna, gapiąc się bezwstydnie na Liz.

- Cześć - przywitała się Liz, wyciągając dłoń i pomyślała gorączkowo, że nie ma lepszego sposobu, by poznać nazwisko mężczyzny. - Skoro Jerry jest tak nieuprzejmy, że nas sobie nie przedstawił, musimy się tym zająć sami. Jestem Liz Palmer.

- David Merriworth - oznajmił nieznajomy i ujął jej dłoń w swoje gładkie ręce. - Jerry może mieć kłopoty z manierami, ale wciąż ma doskonały gust.

- Dziękuję - odparła.

- Możesz przysiąc się do nas, Merriworth, ale pod warunkiem, że będziesz trzymał łapy z daleka od mojej dziewczyny - powiedział Jonas żartobliwym tonem Jerry' ego i wyjął papierosa.

- Zdążę chyba napić się kawy - mruknął David, patrząc na zegarek. - Za kilka minut mam umówione spotkanie. A co słyszać na Cozumel? - spytał ze szczególnym naciskiem. - Ponurkowałeś sobie?

- Trochę - odparł Jonas z tajemniczym uśmiechem.

- Miło to słyszeć. Sam chciałem do ciebie wpaść, ale byłem zajęty w Stanach. Wróciłem wczoraj w nocy. Wszystko idzie jak po maśle - szepnął i osłodził sobie kawę.

- A czym się pan zajmuje, panie Merriworth?

- Sprzedają, słoneczko. Importem, można powiedzieć - odparł swobodnie, uśmiechając się do Liz.

- Naprawdę? - spytała i upiła łyk kawy, bo nagle zaschło jej w gardle. - To musi być fascynujące zajęcie.

- Nie narzekam - skinął głową i zaczął uważniej przyglądać się Liz. - Gdzie spotkałaś Jerry' ego?

- Na Cozumel - odparła i spokojnie popatrzyła na Jonasa. - Jesteśmy współnikami.

- Doprawdy?

- Owszem - szybko przytaknął Jonas.

- Jeśli szefowi to nie przeszkadza, to mnie również nie - oznajmił David, wzruszając ramionami.

- Albo robię coś po swojemu - powiedział nagle Jonas - albo wcale.

- Nic się nie zmieniłeś - zauważył z podziwem i rozbawieniem Merriworth.

- Słuchaj, nie było mnie kilka tygodni, przerzuty idą gładko?

Gdy Jonas usłyszał te słowa, zgasła ostatnia iskierka nadziei. A więc to, co znalazł w bankowej skrytce, było prawdziwe i rzeczywiście należało do jego brata. Zaczął smarować grzanek masłem tak, jakby miał mnóstwo wolnego czasu. Liz delikatnie dotknęła jego nogi pod stołem.

- A dlaczego miałyby być inaczej? - zapytał w końcu.

- To najbardziej klasyczna akcja, w której brałem udział - oznajmił David, rozglądając się uważnie po restauracji. - Nie chciałbym, żeby cokolwiek ją zepsuło.

- Za dużo się martwisz.

- To ty powinieneś się martwić - wytknął mu Merriworth. - Ja nie mam Mancheza za plecami. W zeszłym roku zajął się tu dwoma Kolumbijczykami. Miałem okazję obejrzeć jego dzieło. Lepiej uważaj. Zajmij się dostawami, a ja zostanę przy sprzedaży. Będę spał spokojniej.

- Ja sobie tylko nurkuję - odparł Jonas i niedbale machnął ręką. - I dobrze sypiam.

- Niezły jest, co? - David ponownie posłał uśmiech Liz. - Zawsze wiedziałem, że szef szuka kogoś takiego jak Jerry. Nurkuj dalej, chłopie! Dzięki tobie nie narzekam na brak gotówki.

- Wygląda na to, że długo się znacie - wtrąciła niespodziewanie Liz.

- Spory szmat czasu, co, Jerry?

- Jasne.

- Pierwszy raz wpadliśmy na siebie sześć, nie, siedem lat temu. Nacięlibyśmy tamtą babkę na niezłą kasę, gdyby nie wtrąciła się jej córka - zaśmiał się David i sięgnął po papierosa. - Braciszek cię wtedy wyciągnął. To prawnik, tak?

- Tak - warknął Jonas, przypominając sobie, że musiał odnowić kilka znajomości i wyłożyć pieniądze na kaucję.

- Teraz pracuję tu od pięciu lat, niczym prawdziwy biznesmen - zaśmiał się znowu i poklepał Jonasa po ramieniu. - To lepsze niż drobne oszustwa, co, Jerry?

- W każdym razie lepiej płatne.

- Może wyskoczymy gdzieś razem wieczorkiem?

- Niestety, musimy już wracać - oznajmił Jonas i dał znak kelnerowi. - Interesy wzywają.

- Jasne, wiem o czym mówisz - powiedział David i popatrzył w stronę wejścia. - Jest mój klient. Zadzwoń, gdy wpadniesz tu następnym razem.

- W porządku.

- I przekaz pozdrowienia staruszkowi Clancy'emu - zawołał do nich w drodze do drzwi.

- Nic nie mów - mruknął Jonas. - Wychodzimy.

Gdy wstali ze swoich miejsc, Liz upuściła na podłogę serwetkę, którą niespokojnie gniotła pod stołem w trakcie całej rozmowy. Jonas nie odezwał się ani słowem, póki nie zamknęły się za nimi drzwi ich apartamentu.

- Nie powinnaś mówić, że jesteście współnikami.

- Kiedy to usłyszał, rozluźnił się i język mu się rozwiązał - odparła Liz, przygotowana na taki atak.

- Powiedziałabyś tyle samo, gdybyś znalazła jakąś wymówkę i odeszła od stolika.

- Mamy ten sam problem, pamiętasz? - spytała, stając w wojowniczej pozie.

- Błędem było podanie mu swego nazwiska.

- Dlaczego? Przecież od początku wiedzą, kim jestem - oznajmiła, wzruszając ramionami.

Jonas wiedział, że Liz ma rację, ale nie potrafił pogodzić się z faktem, że umyślnie wystawiła się na niebezpieczeństwo. Ponieważ nie znalazł więcej argumentów, wolał zmienić temat.

- Jesteś spakowana?

- Tak.

- To idziemy się wymeldować i ruszamy na lotnisko.

- A potem?

- Odwiedzimy Moralasa.

- Bardzo pracowicie spędziliście kilka ostatnich dni - powiedział Moralaś i odchylił się nieco na swym krześle. - Moi dwaj najlepsi ludzie marnowali swój czas w Acapulco, szukając was. Mógł pan wspomnieć, panie Sharpe, że zamierza pan zabrać pannę Palmer na małą wycieczkę.

- Pomyślałem sobie, że policyjna obstawa mogłaby nam nieco przeszkadzać.

- A teraz, gdy zakończył pan swoje prywatne śledztwo, przynosicie mi to - ciągnął dalej kapitan, podnosząc do oczu mały srebrny klucz. - Zdaje się, że panna Palmer znalazła go kilka dni temu. Jako prawnik z pewnością zna pan termin „ukrywanie dowodów rzeczowych”.

- Oczywiście - chłodno zgodził się Jonas. - Ale żadne z nas, ani panna Palmer, ani ja, nie wiedziało, że to jest dowód rzeczowy. Oczywiście podejrzewaliśmy, że klucz mógł należeć do mojego brata. Ukrywanie podejrzeń nie jest przestępstwem.

- Być może ma pan rację, ale to dość słaba linia obrony.

Jonas usiadł wygodniej. Skoro Moralaś chciał podyskutować na tematy prawne, to zaspokoi jego pragnienie.

- Jeśli klucz należał do mojego brata, to jako jego spadkobierca miałem prawo go posiadać. Kiedy okazało się, że klucz rzeczywiście należał do Jerry'ego i przekonałem się, że zawartość skrytki bankowej może być dowodem w sprawie, natychmiast zgłosiłem się do pana. Przyniosłem zarówno klucz, jak i opis zawartości skrytki.

- W rzeczy samej - zgodził się Moralas. - A czy może podejrzewa pan, w jaki sposób Jerry mógł wejść w posiadanie tych rzeczy?

- Tak.

- A pani, panno Palmer - zwrócił się do Liz. - Czy pani także miała swoje podejrzenia?

Liz nerwowo splatała dłonie pod stolikiem, ale jej głos brzmiał pewnie i spokojnie.

- Wiem, że ten, który mnie zaatakował, szukał pieniędzy. A my znaleźliśmy właśnie ich dużą ilość.

- I paczkę czegoś, co, jak podejrzewa pan Sharpe, może okazać się kokainą? - spytał Moralas i splótł dłonie. - Panno Palmer, czy kiedykolwiek widziała pani kokainę w posiadaniu Jeremiaha Sharpe' a?

- Nie.

- A czy rozmawiał z panią o kokainie lub przemyśle narkotyków?

- Nie, oczywiście, że nie. Od razu bym do pana z tym przyszła.

- Tak jak przyszła pani do mnie z tym kluczem? - spytał i zbył protest Jonasa niecierpliwym machnięciem dłoni. - Potrzebuję pełnej listy klientów pani sklepu z ostatnich sześciu tygodni. Nazwiska i, jeśli to możliwe, adresy.

- Klientów? Dlaczego?

- Jest bardzo prawdopodobne, że pan Sharpe używał pani sklepu do własnych celów.

- „Czarny Koral”... łodzie... - wzburzona Liz zerwała się z miejsca. - Myśli pan, że Jerry rozprowadzał narkotyki pod moim nosem, a ja tego nie dostrzegłam?

- Mam nadzieję, panno Palmer, że rzeczywiście nie była pani świadoma tego faktu. Proszę dostarczyć mi tę listę przed końcem tygodnia - powiedział i rzucił Jonasowi bystre spojrzenie. - Oczywiście, ma pani prawo zażądać nakazu sądowego. To po prostu nieco opóźni śledztwo. A ja, oczywiście, mam prawo zatrzymać pannę Palmer w celu złożenia dalszych wyjaśnień.

Jonas czuł chęć kontynuowania słownego pojedynku z Moralasem, lecz dla dobra Liz postanowił skrócić ich rozmowę.

- Zdarza się, kapitanie, że czasami mądrzej jest nie korzystać z pewnych praw i przywilejów. Sądzę, że można śmiało stwierdzić, że wszyscy dążymy do tego samego celu. Dostanie pan swoją listę, kapitanie. A także coś na deser.

Moralas uniósł wzrok i spokojnie czekał na dalsze słowa Jonasa.

- Pablo Manchez - powiedział nagle Jonas i z przyjemnością stwierdził, że udało mu się zaciekawić kapitana.

- Co z nim?

- Jest na Cozumel. Albo był - poprawił się Jonas. - Mój brat spotkał się z nim kilkakrotnie w okolicznych pubach i barach. Może pana również zainteresować fakt, że niejaki David Merriworth zajmuje się sprzedażą towaru w Acapulco. To właśnie on naraił Jerry' emu kontakty na Cozumel. Jeśli skontaktuje się pan z władzami w Stanach, łatwo dowie się pan, że ten człowiek ma imponującą kartotekę.

Moralas swym starannym piśmem zanotował w notesie oba nazwiska, choć miał pewność, że ich nie zapomni.

- Doceniam pańskie informacje, jednak na przyszłość, panie Sharpe, proszę trzymać się z dala od mojego dochodzenia. Do widzenia, panno Palmer.

- Nie lubię, gdy mi się grozi - rozzłościła się Liz po opuszczeniu biura Moralasa. - Groził, że wpakuje mnie do więzienia!

- Ujawnił tylko swoje i nasze możliwości - odparł spokojnie Jonas i zapalił papierosa.

- Ale tobie nie groził więzieniem - wymamrotała pod nosem.

- Nie martwi się o mnie, tylko o ciebie.

- Martwi się?

- To dobry gliniarz, a ty jesteś teraz jedną z jego podopiecznych.

- Ma dość zabawny sposób okazywania swojej troski - jęknęła Liz, gdy nagle wyrósł przed nią obszarpany chłopiec i z galanterią otworzył przed nią drzwi wozu. - *Gracias* - podziękowała z uśmiechem i wręczyła malcowi monetę.

- *Buenas tardes, senorita*. Miłego dnia, panienko - powiedział chłopiec, zamknął drzwi, obejrzał monetę i odbiegł zadowolony.

- Zbankrutujesz przez swoją hojność - roześmiał się Jonas.

- Znów zmieniasz temat - zarzuciła mu.

- Jasne. A teraz powiedz mi, gdzie dostaniemy wszystkie składniki chili?

- Chcesz, żebym gotowała akurat dziś?

- To oderwie cię od ponurych myśli. Na razie nie mamy nic więcej do roboty. Dziś będziemy odpoczywać - dodał z uśmiechem.

- I to gotowanie ma mnie odprężyć? - Liz sama już nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. - Skręć w lewo na skrzyżowaniu. Powiem ci, co masz kupić, ty to kupisz, a potem będziesz się trzymał z daleka w czasie gotowania.

- Zgoda.

- I posprzątasz.

- Oczywiście.

- Zatrzymaj się przy tym sklepiku - zarządziła. - I pamiętaj, sam tego chciałeś.

Liz już jako dziecko zasmakowała w meksykańskich potrawach, gdy z rodzicami przyjeżdżała na wakacje na Cozumel. Nie była kucharką z powołania i sama często zadowalała się zwykłą kanapką, lecz kiedy jej na tym zależało, potrafiła przyrządzić wspaniały posiłek.

Być może chcę zaimponować Jonasowi, przyznała w duchu, szykując swoją popisową sałatkę. Obierając awokado, zdała sobie sprawę, że jednak gotowanie odpręża ją, bo poczuła się zrelaksowana.

To, co przeżyła ostatnio, było dla niej tak dziwne i obce, że cieszyła się, że jedyną decyzją, którą teraz podejmuje, jest sposób pokrojenia warzyw. Zaczęła przystrajać sałatkę. Uśmiechnęła się na myśl, że jest to jedyna sałatka, która podobała się Faith na tyle, aby córka chciała ją jeść. Decydował nie smak, ale wygląd. Liz zaczęła kroić ostre papryczki i cebulkę do sosu. Dodała szczyptę czosnku i postawiła garnek na elektrycznej kuchence.

- Całkiem nieźle pachnie - pochwalił Jonas, zwabiony do kuchni przyjemnymi zapachami.

- Miałeś nie przeszkadzać - rzuciła mu przez ramię.

- Ty gotuj, a ja nakryję stół - zaproponował.

Liz wzruszyła ramionami i wróciła do przyprawiania potrawy. Gęsty sos z mięsem i warzywami kusząco bulgotał na ogniu. Zadowolona z siebie, wytarła ręce i spojrzała wreszcie na Jonasa. Siedział wygodnie przy kuchennym stole i przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

Cała sytuacja wydawała się tak naturalna, że Liz nagle zrozumiała, jak bardzo tęskniła za takimi prostymi rzeczami w życiu. Odłożyła ściereczkę i nie wiedziała, co zrobić z rękami.

- Niektórzy mężczyźni uważają, że kobieta najlepiej wygląda w kuchni.
- Nie wiem, co myślą inni, ale dla mnie wyglądasz równie uroczo za sterami łodzi - odparł z psotnym uśmiechem. - Słuchaj, jak długo to się musi gotować?

- Z pół godziny.

- Dobrze - skinął głową i wstał. - W takim razie napijemy się wina.

- Nie mam odpowiednich kieliszków - powiedziała i alarmowe światelko rozbłysło w jej głowie.

- Pomyślałem o tym - oznajmił zadowolony Jonas i wyjął z torby butelkę wina i dwa kieliszki na cienkich nóżkach.

- Ty podstępna bestio!

- Nie chciałaś, żebym plątał się obok ciebie, więc musiałem się czymś zająć - odparł ze śmiechem i otworzył wino.

- Te świece nie są moje - powiedziała Liz, przyglądając się nakryciu stołu.

- Są nasze.

Liz niespokojnie gniotła w dłoniach serwetki, które miała położyć na stole. Nie planowała romantycznej kolacji. Ostatni raz, kiedy zapaliła świece do posiłku, popełniła największą pomyłkę swego życia.

- Nie musiałeś sobie zadawać tyle trudu. Nie chcę...

- Czy wino i świece cię krępują?

- Nie, oczywiście, że nie - mruknęła i ułożyła wreszcie serwetki na stole.

- To dobrze - pokiwał głową, nalał wino do kieliszków i podał jeden Liz. - Bo mnie odprężają. A mieliśmy się właśnie relaksować, pamiętasz?

- Obawiam się, że oczekujesz ode mnie więcej, niż mogę dać - powiedziała nagle Liz.

- Nie. Oczekuję dokładnie tego, co możesz mi dać.

Dziewczyna poczuła, że pułapka się zamyka. Ze sztucznym uśmiechem odwróciła się do lodówki.

- Zaczniemy od sałatki - oznajmiła drżącym głosem.

Jonas zgasił światło i zapalił świece. Liz wmawiała sobie, że to nic takiego. Atmosfera jest jedynie dodatkiem do posiłku.

- Jaka ładna - zachwycił się Jonas na widok sałatki.

- Zaczęłam ją robić, kiedy pracowałam w hotelu - powiedziała Liz. - Właśnie tam nauczyłam się gotować.

- Rewelacja - oznajmił, gdy tylko spróbował. - Żałuję, że nie namówiłem cię wcześniej na gotowanie.

- Tylko ten jeden raz - zastrzegła Liz. - Wiesz, że posiłki nie są...
- ...wliczone w cenę - dokończył za nią. - Ale moglibyśmy renegeować naszą umowę.

- Nie sądzę - Liz wreszcie się uśmiechnęła i zdenerwowanie zaczęło mijać.
- A jak sobie dajesz radę w Filadelfii?

- Gospodyni gotuje mi raz w tygodniu. Zwykle jadam na mieście - odparł, delektując się sałatką.

- I pewnie chodzisz na przyjęcia?

- Czasem dla przyjemności, ale przeważnie w sprawach służbowych - powiedział, odkrywając na nowo uroki domowego posiłku. - Jeśli mam być szczery, to na dłuższą metę jest to nużące i bezcelowe.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto oddaje się bezsensownym zajęciom - zdziwiła się Liz.

To było to! Jonas wreszcie zdał sobie sprawę, że to nie praca i nie godziny siedzenia w biurze, bibliotekach czy na sali sądowej sprawiały, że tęsknił za innym życiem. Chodziło o wieczory spędzane bez celu.

- Właśnie niedawno sam to odkryłem - odparł, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, ale w jego oczach zapłonął dziwny ogień.

Liz, zahipnotyzowana spojrzeniem Jonasa, poczuła, że musi natychmiast czymś się zająć albo przepadnie z kretesem. Zerwała się i podeszła do kuchenki.

- Wszyscy podejmujemy decyzje w dorosłym życiu i określamy, co jest dla nas najważniejsze.

- Mam wrażenie, że ty zrobiłaś to już dawno temu - zauważył łagodnie.

- Tak. I nigdy tego nie żałowałam.

- Nic byś nie zmieniła w swoim życiu, prawda?

- Co miałabym zmieniać? - spytała, nakładając chili do miseczek.

- Gdybyś mogła cofnąć się o jedenaście lat i wybrać inną drogę, nie zrobiłabyś tego, prawda?

Liz przestała nakładać potrawę i odwróciła się do Jonasa. Nawet z drugiego końca kuchni widział błysk zdecydowania w jej oczach.

- To oznaczałoby, że musiałabym też zrezygnować z Faith. Nie, nic bym nie zmieniła.

- Podziwiam cię - wyznał Jonas, gdy postawiła miseczki na stole.

- Za co? - spytała, rumieniąc się.

- Za to, że jesteś dokładnie taka, jaka jesteś.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Nic nie mogło bardziej wzruszyć Liz. Nie przywykła do komplementów. Proste słowa Jonasa zapadły jej głęboko w serce. Może sprawiły to świece, może intymna atmosfera małej kuchni, a może wypite wino, lecz nagle poczuła się dobrze i bezpiecznie. Nawet nie była świadoma tego, że przestała mieć się na baczności.

- Nie mogłabym być inna - odparła z prostotą.

- Owszem, mogłabyś. Ale cieszę się, że tak nie jest.

- A ty? Kim jesteś?

- Trzydziestopięcioletnim prawnikiem, który właśnie zdał sobie sprawę, że dotąd marnował tylko czas - powiedział i uniósł kieliszek. - Za to, żeby było lepiej.

Liz upiła łyk wina.

- Pycha - Jonas pokiwał z uznaniem głową, gdy tylko spróbował chili.

- Nie za ostre dla delikatnego miejskiego żołądka?

- Mój żołądek wytrzyma te tortury - zaśmiał się. - Dziwię się, że nie otworzyłaś restauracji, skoro potrafisz tak gotować.

- Wolę morze - odparła, mile połączona pochwałą.

- Nie będę się z tobą sprzeczał. Mówisz, że nauczyłaś się gotować w hotelu?

- Tak. Jadaliśmy posiłki w kuchni i kucharka była tak miła, że zawsze mówiła mi, jak przyrządziła potrawę.

Jonas chciał się od niej wszystkiego dowiedzieć. Wiedział, że musi być ostrożny z pytaniami, inaczej ją spłoszy.

- A jak długo tam pracowałaś?

- Dwa lata. W końcu straciłam rachubę, ile łóżek posłałam.

- Potem założyłaś własną firmę?

- Wtedy kupiłam sklep - przyznała, wzięła kawałek chleba i zanurzyła go w sosie. - To było ryzykowne posunięcie.

- Jak sobie dawałaś radę? - spytał z podziwem. - Miałaś przecież maleńkie dziecko.

- Nie wiem, o co ci chodzi - prychnęła.

- Zastanawiałem się po prostu, jak dawałaś sobie radę - powiedział łagodnie, wiedząc, że nie powinien naciskać. - Niewiele kobiet dokonałoby tego, co ty. Byłaś sama, w ciąży i musiałaś zarabiać na utrzymanie.

- Czy to takie niezwykle? - zapytała z uśmiechem. - A czy miałam inny wybór?

- Zapewniam cię, że niektórzy postąpiliby inaczej.

Liz przyjęła jego słowa skinieniem głowy.

- Dla mnie istniała tylko jedna droga - powiedziała i zaczęła snuć wspomnienia. - Z początku byłam przerażona, ale w miarę upływu czasu strach słabł coraz bardziej. Ludzie byli dla mnie bardzo dobrzy. Może byłoby inaczej, gdybym nie miała tyle szczęścia. Pewnego dnia zaczęłam rodzić... Pamiętam, że sprzątałam właśnie jeden z hotelowych pokoi i jedyne, o czym pomyślałam, to było to, że zdążyłam uporządkować dopiero połowę - dodała ze śmiechem i zabrała się do jedzenia.

Jonas zastygł z łyżką w połowie drogi do ust.

- Pracowałaś tego dnia, gdy rodziłaś Faith?

- Oczywiście. Przecież byłam zdrowa.

- Znam mężczyzn, którzy biorą wolny dzień z powodu wizyty u dentysty.

- Może kobiety są jednak silniejszą płcią - zaśmiała się Liz i podała mu koszyk z pieczywem.

Wziął kawałek chleba i pomyślał, że to, co powiedziała, dotyczy chyba tylko nielicznej grupy kobiet. Bardzo wyjątkowych kobiet.

- A co było później?

- Znów miałam szczęście. Pracowałam z panią Alderez. Gdy urodziła się Faith, jej synek miał pięć lat i siedziała z nim w domu. Zgodziła się zajmować małą w ciągu dnia, więc mogłam od razu wrócić do pracy.

- Musiało ci być bardzo ciężko - powie

dział Jonas, nieświadomy faktu, że słuchając jej, cały czas gniótł chleb w dłoni.

- Najgorszy był moment, kiedy rano musiałam rozstawać się z Faith i wyjść do pracy. Ale pani Alderez była dla niej bardzo dobra. Tak właśnie trafiłam na ten dom i zostałam sąsiadkami. Jedna rzecz prowadziła do następnej. A potem otworzyłam sklep.

Im prostszymi słowami Liz opisywała swoją przeszłość, tym bardziej przemawiały one do Jonasa.

- Powiedziałaś już, że to było ryzykowne przedsięwzięcie.

- Wszystko było ryzykowne. Ale gdybym została w hotelu, nie mogłabym dać Faith tego, co chciałam - oznajmiła, wzruszając ramionami. - Chcesz dokładkę? - spytała nagle.

- Nie, dziękuję. - Jonas, nie mogąc już dłużej usiedzieć na miejscu, wstał i zaczął zbierać naczynia. Wiedział, że jeśli powie coś nie tak, Liz znów się wycofa i zamknie w sobie. A on coraz bardziej chciał poznać i zrozumieć tę wspaniałą dziewczynę. - Gdzie nauczyłaś się nurkować?

- Tu na Cozumel. Byłam wtedy niewiele starsza od Faith - przypomniała sobie z uśmiechem Liz i zaczęła chować resztki jedzenia do lodówki. - Przyjeżdżaliśmy tu z rodzicami na wakacje.

- To dlatego postanowiłaś osiąść właśnie tutaj?

- Wybrałam Cozumel, bo zawsze byłam tu spokojna i czułam się bezpiecznie.

- Ale przecież musiałaś się jeszcze wtedy uczyć.

- Dopiero zaczęłam studiować biologię morską - powiedziała i upiła łyk wina. - Chciałam zostać oceanologiem albo nauczycielem, który opowiada uczniom o morskich cudach, może naukowcem, który odkryje coś nowego... To było moje wielkie marzenie. Uczyłam się pilnie i nie miałam czasu na rozrywki, a potem... - Liz urwała gwałtownie, uświadamiając sobie, że zdradza Jonasowi swoje tajemnice. - Powinieneś zapalić sobie światło do tego zmywania - zmieniła temat.

- Co było potem? - chciał wiedzieć Jonas.

Podszedł do dziewczyny i chwycił ją za ramiona, gdy tylko zapaliła światło. Spojrzała na niego w niemym zdumieniu.

- Potem poznałam ojca Faith i to już był koniec marzeń.

Jonas czuł, że musi poznać prawdę do końca. Zapomniał o ostrożności.

- Kochałaś go? - spytał wprost.

- Tak. Gdybym go nie kochała, nie byłoby Faith.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Wciąż coś mu umykało.

- Więc dlaczego wychowujesz ją sama?

- Czy to nie jest oczywiste? - warknęła i odepchnęła jego dłonie. - Nie chciał mnie.

- Czy chciał, czy nie, i tak był odpowiedzialny za ciebie i dziecko.

- Nie mów mi o odpowiedzialności! Tylko ja jestem odpowiedzialna za Faith.

- Prawo mówi inaczej.

- Zostaw wiedzę prawniczą dla siebie - syknęła przez zaciśnięte zęby. - On też umiał cytować paragraf za paragrafem i nic dobrego z tego nie wyszło. Po prostu nas nie chciał.

- Więc pozwalasz, by duma pozbawiła cię należnych praw? - rozżłościł się Jonas, wepchnął ręce do kieszeni i cofnął się. - Dlaczego nie walczyłaś o to, co ci się prawnie należało?

- Chcesz usłyszeć tę historię ze szczegółami, Jonas? - spytała, nie mogąc ukryć wściekłości, bo wspomnienia niosły wstyd, ból i upokorzenie.

Liz skoncentrowała się na swoim gniewie, podeszła do stołu i jednym haustem opróżniła kieliszek.

- Nie miałam jeszcze osiemnastu lat. Zaczęłam właśnie wymarzone studia i wiedziałam, że gdy je skończę, będę mogła robić właśnie to, o czym marzyłam. Byłam dużo bardziej dojrzała niż moje koleżanki z roku, które interesowało tylko to, kto urządza imprezę danego dnia. Większość wieczorów spędzałam w bibliotece. Tam go poznałam. Był na ostatnim roku i wiedział, że jeśli nie zda końcowych egzaminów, czeka go w domu piekło. Wszyscy mężczyźni w jego rodzinie od wieków zajmowali się prawem lub polityką. To była kwestia podtrzymania rodzinnych tradycji. Ale ty przecież doskonale to rozumiesz.

Strzała trafiła do celu, lecz Jonas tylko pokiwał głową.

- Więc pewnie zrozumiesz i resztę. Widywaliśmy się co wieczór w bibliotece i w końcu kiedyś umówiliśmy się na kawę. Był mądry, atrakcyjny, miał cudowne maniery i potrafił mnie rozśmieszyć. Zakochałam się w nim do szaleństwa - powiedziała i gwałtownie zdmuchnęła świece. - Przynosił mi kwiaty i zabierał na długie, romantyczne spacerunki. Gdy wyznał, że mnie kocha, uwierzyłam mu bez zastrzeżeń. Myślałam, że przede mną otworzyło się niebo.

Jonas nie odezwał się, więc Liz odstawiła swój kieliszek i podjęła opowieść.

- Powiedział, że chce się ze mną ożenić, gdy tylko obroni swój dyplom. Siedzieliśmy w samochodzie, patrzyliśmy w gwiazdy, a on opowiadał mi o swoim domu w Dallas. O przyjęciach, służących i wystroju pomieszczeń. To było jak bajka. Aż pewnego dnia przyjechała jego matka - Liz roześmiała się gorzko i ścisnęła oparcie krzesła tak mocno, że aż pobieleły jej dłonie. - Przyjechała wielką białą limuzyną, która stanęła przy krawężniku przed naszym internatem. Nie wiedziałam, że się zjawi, lecz z całego serca pragnęłam ją poznać. Gdy kierowca wysiadł i zaprosił mnie do środka,

o mało nie zemdlalam z wrazenia. No i poznałam ją... no i dostałam niezłą lekcję życia. Dowiedziałam się, że jej syn pochodzi ze znanej rodziny i w związku z tym spoczywają na nim pewne obowiązki. Musi utrzymać wysoki poziom życia, a ja, choć z pewnością jestem miłą dziewczyną, zupełnie nie pasuję do rodziny Jensannów z Dallas.

Oczy Jonasa zwięzły się, gdy poznał nazwisko człowieka, który przed laty skrzywdził Liz. Nie odezwał się jednak, tylko zacisnął mocniej szczęki.

- Powiedziała mi, że już rozmawiała z synem. On rozumie, że nasz związek musi się skończyć. Potem ofiarowała mi czek, jako rekompensatę. Byłam upokorzona, i co gorsza, byłam w ciąży. Nie zdążyłam nikomu o tym powiedzieć, bo sama odkryłam to tamtego ranka. Nie przyjął pieniędzy. Wysiadłam z limuzyny i poszłam prosto do Marcusa. Byłam pewna, że kocha mnie na tyle mocno, że stanie po stronie mojej i dziecka. Pomyliłam się.

Liz miała tak suche oczy, że aż ją bolały. Potarła je dłońmi.

- Gdy zaczęliśmy rozmawiać, był uprzejmy, chłodny i używał logicznych argumentów. Było miło, ale się skończyło, powiedział w końcu. Rodzice utrzymują go, więc musi ich zadowalać. Zapewnił mnie, że jeśli dochowam tajemnicy, chętnie będzie się ze mną spotykał na boku. Kiedy powiedziałam mu o dziecku, wpadł w szal. Jak mogłam zrobić mu coś takiego? Oskarżał wyłącznie mnie. Zupełnie jakbym sama poczęła nasze dziecko. Nie zamierzał pakować się w coś takiego, nie życzył sobie, żeby jakaś głupia dziewczucha psuła mu szyki. Powiedział, że mam się tego pozbyć... - Urwała, wciąż wstrząśnięta wspomnieniem tamtej rozmowy sprzed prawie jedenastu lat. - Pozbyć... jakby Faith była przedmiotem, który można wyrzucić na śmietnik i zapomnieć. Dostałam histerii. On stracił panowanie nad sobą. Groził mi. Mówił, że rozpuści plotkę, że sypiałam z kim popadnie, a jego koledzy to potwierdzą. Nigdy nie udowodnię, że to jego dziecko. Powiedział, że moi rodzice będą się mnie wstydzić, może nawet wyrzucą mnie z domu. Potem używał prawniczego języka, zarzucał mnie paragrafami. Zrozumiałam z tego tylko jedno. Marcus ze mną zrywał. Przypomniał mi, że jego rodzina ma znajomości i że usuną mnie ze studiów. Byłam głupia i uwierzyłam w to, co mówił. Dał mi czek, kazał wyjechać z kraju i wszystkim się zająć. Nikt nie miał prawa się o tym dowiedzieć. Przez tydzień nie zrobiłam nic. Oszołomiona chodziłam na zajęcia i myślałam, że to tylko zły sen i niedługo się obudzę. Potem przemyślałam sprawę. Napisałam do rodziców, wyjaśniając tyle, ile mogłam. Sprzedałam samochód, który dali mi po

ukończeniu szkoły. Wzięłam czek od Marcusa i przyjechałam na Cozumel urodzić dziecko.

- Mogłaś zwrócić się o pomoc do rodziców - powiedział cicho Jonas, wstrząśnięty historią Liz.

- Tak, ale Marcus przekonał mnie, że będą się mnie wstydzić. Że mnie znienawidzą i uznają dziecko za bękarta.

- Dlaczego nie poszłaś do jego rodziny? Miałaś prawo do ich opieki.

- Miałam iść do nich? - spytała, a Jonas uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie słyszał tyle jadu w jej głosie. - Oni mieliby się mną opiekować? Wołałabym raczej od razu iść do piekła.

Jonas potrzebował dłuższej chwili, żeby się uspokoić.

- Oni nic nie wiedzą, prawda?

- Nie. I nigdy się nie dowiedzą. Faith jest moja.

- A ile wie Faith?

- Tyle, ile mogłam jej powiedzieć. Nigdy nie skłamałabym własnemu dziecku.

- A wiesz, że Marcus Jensann stara się o wejście do Senatu i pewnie na tym nie poprzestanie?

- Ty go znasz? - zapytała Liz i cała krew odpłynęła z jej twarzy.

- Tylko ze słyszenia.

- On nie ma pojęcia o istnieniu Faith i nikt z jego rodziny też o niej nie wie i nie mogą się dowiedzieć.

- Czego się boisz? - spytał Jonas i podszedł do Liz.

- Ich władzy. Faith jest tylko moja i tak już zostanie. Żadne z nich nawet jej nie tknie.

- To dlatego tu jesteś? Ukrywasz się?

- Zrobię wszystko, co trzeba, aby ochronić moje dziecko.

- Wciąż się go boisz! - Rozwścieczony Jonas boleśnie chwycił Liz za ramiona. - Wystraszył nastolatkę, ale ty chowasz to przerażenie do tej pory. Nie wiesz, że taki facet w ogóle o tobie nie pamięta? Uciekasz przed kimś, kto nie poznałby cię na ulicy!

Uderzyła go w twarz z taką siłą, że głowa Jonasa odskoczyła do tyłu. Liz sama nie wiedziała, że potrafi być tak brutalna. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się nad swym postępkami. Cofnęła się, oddychając ciężko. Gniew przesłaniał jej świat.

- Nie mów mi, przed czym uciekam. Nie mów mi, co czuję! - krzyknęła i pobiegła do drzwi.

Jonas dopędził ją jednym susem. Złapał Liz za rękę i okręcił w miejscu. Nawet nie wiedział, dlaczego jest taki wściekły. Wiedział tylko, że już nie zdoła nad sobą zapanować.

- Z ilu rzeczy musiałś przez niego zrezygnować? - syknął. - Ile musiałś poświęcić?

- To moje życie i mogę z nim robić, co mi się podoba!

- Nie zamierzasz go dzielić z nikim oprócz córki. Ale powiedz mi, co zrobisz, gdy ona dorośnie? Co zrobisz za dwadzieścia lat, gdy nie pozostanie ci nic oprócz wspomnień?

- Przestań - szepnęła błagalnie, a jej oczy wypełniły się łzami.

- Wszyscy kogoś potrzebujemy - powiedział i uniósł jej twarz tak, że musiała patrzeć wprost w jego oczy. - Nawet ty. Już czas, żeby ktoś ci to jasno uświadomił.

- Nie.

Liz próbowała się wyrwać, ale było już za późno. Uwięził ją w silnym uścisku i zmiął jej usta swoimi. Pasja szybko zajęła miejsce gniewu, lecz Liz wciąż walczyła z ogarniającym ją podnieceniem.

- Nie walczysz ze mną - szepnął Jonas, zagładając jej w oczy. - Walczysz ze sobą. Robisz to od dnia, w którym się spotkaliśmy.

- Chcę, żebyś mnie puścił - poprosiła słabo.

- Wiem. Ale równie mocno pragniesz, żebym nie zabierał rąk. Od dawna sama podejmujesz decyzje, Liz, ale tę jedną podejmę za ciebie.

Delikatnie położył ją na sofie i stłumił protest gorącym pocałunkiem. Liz, uwięziona pod silnym męskim ciałem, poczuła, jak krew zaczyna żywiej krążyć w jej żyłach, a serce przyspiesza swój rytm. O, tak. Walczyła ze sobą. Powinna najpierw wygrać tę walkę, zanim podejmie walkę z Jonasem. Ale Liz przegrywała.

Usłyszała swój jęk, gdy usta Jonasa zaczęły leniwie błędzić po jej szyi. Wygięła się w łuk, a Jonas coraz mocniej przyciskał ją do siebie. Uśpione od lat ciało Liz gwałtownie budziło się do życia. Znikły wszystkie linie obrony. Z jękiem rozkoszy i poddania ujęła twarz Jonasa w dłonie i przywarła ustami do jego warg.

W jego pocałunku wyczuwała pożądanie, chęć życia, obietnice. Chciała spróbować wszystkiego. Tak długo ograniczała się i powstrzymywała, że

nagle poczucie wolności uderzyło jej do głowy. Zaśmiała się radośnie i objęła Jonasa ciaśniej. Chciała go i on jej pragnął. Do diabła z resztą świata!

Jonas nie był pewien, co nim kieruje. Gniew, pożądanie, ból? Wiedział tylko, że pragnie posiąść Liz. Jej ciało, umysł i duszę. Nie opierała się. Z każdą chwilą pragnął jej bardziej i choć oddawała mu wszystkie pieśczoty w dwójnasób, wciąż było mu mało. Zrozumiał, że choć ją uwolnił, to sam stał się jej więźniem.

Zdarł z niej koszulę i niedbale odrzucił na podłogę. Słyszał szaleńcze bicie własnego serca. Liz wydawała mu się taka drobna i krucha, lecz już nie umiał się powstrzymać. Nachylił się nad nią i położył głowę na jej piersiach. Chłonał jej uwodzicielski zapach i smakował jej skórę w zapamiętaniu. Nagle poczuł, że Liz szarpie się z jego koszulą.

Sama nie wiedziała już, co robi. Pieściła go i przesyłała mu nieme żądania. Chciała czuć go przy sobie, doświadczać tego, co umykało jej przez lata. Czuła się tak, jakby po raz pierwszy miała kochać się z mężczyzną, jakby nie było nikogo innego. Wreszcie zrozumiała. Liczył się tylko Jonas.

Gdy jednym ruchem ściągnął jej spodnie, Liz nie czuła zażenowania. Bez wahania zrobiła to samo z jego ubraniem, po czym przejęła inicjatywę i nie pozostawiła Jonasowi wyboru. Objęła udami jego biodra i przyciągnęła go do siebie. Doznanie było tak silne, że świat zawirował. Jonas zaczął poruszać się w niej delikatnie, cały czas wpatrując się w jej twarz. Liz zacisnęła powieki, rozchyliła usta i jęczała cichutko. Jonas prowadził ją coraz dalej i dalej, aż do krawędzi spełnienia. Przez chwilę balansowali na szczycie, aż wreszcie, spleceni w uścisku, polecili do gwiazd.

Liz leżała cicho i powoli dochodziła do siebie. Jonas też się nie ruszał. Chciała, żeby powiedział coś, co wyjaśni tę sytuację. Do tej pory miała tylko jednego kochanka i nauczyła się nie oczekiwać zbyt wiele. Jonas oparł głowę na jej ramieniu. Usiłował walczyć z własnymi demonami.

- Przepraszam - odezwał się po chwili.

Nie mógł powiedzieć nic gorszego. Liz zamknęła oczy i spróbowała uciszyć ból. Gdy uspokoiła się trochę, wstała i zebrała swe rzeczy z podłogi.

- Nie potrzebuję twoich przeprosin - odparła z godnością i wyszła z pokoju.

Jonas westchnął i usiadł. Nie potrafił dotrzeć do Liz. Każdy jego ruch wydawał się krokiem wstecz. Nie rozumiał, jak mógł być taki brutalny. Skoro nie mógł sobie ufać, powinien raczej wynająć ochroniarza i wynieść się z powrotem do hotelu. Nie chciał jej krzywdzić. Kiedy stał w kuchni i słuchał jej opowieści, coś w nim pękło i zalała go fala wściekłości. Zamiast ją pocieszyć, rzucił się na nią jak zwierzę. Wiedział, że same przeprosiny nie wystarczą, ale nie mógł ofiarować jej nic innego.

Włożył spodnie i poszedł poszukać Liz. Znalazł ją w sypialni. Właśnie zawiązywała pasek szlafroka.

- Późno już, Jonas - powiedziała, chcąc się go pozbyć jak najszybciej.

- Zraniłem cię?

- Tak - odparła, patrząc mu w oczy. - A teraz chcę wziąć prysznic, zanim się położę.

- Liz, nie umiem ci wyjaśnić, jak mi przykro, że byłem taki brutalny i nieczuły. Nie wiem, jak mógłbym ci to wynagrodzić i...

- Zraniły mnie twoje przeprosiny - odparła ku jego zaskoczeniu.

Przez chwilę patrzył na nią bez słowa. Jak mógł ją zrozumieć, skoro wciąż była dla niego zagadką?

- Do diabła, Liz! Nie przepraszałem za to, że się kochaliśmy, tylko za mój brak delikatności. Praktycznie rzuciłem cię na łóżko i zdarłem z ciebie ubranie.

- A ja zdarłam twoje - powiedziała, krzyżując ręce na piersiach i starając się zachować spokój.

- Tak, zrobiłaś to - zgodził się i na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

- Czy chcesz, żebym cię za to przeprosiła? - spytała poważnie.

Podszedł do Liz i delikatnie położył ręce na jej ramionach. Materiał szlafroka był miękki i miły. Poczul ciepło jej ciała.

- Nie. Wolałbym usłyszeć, że pragnęłaś mnie tak bardzo, jak ja ciebie.

- Sądziłam, że to oczywiste - powiedziała, umykając wzrokiem.

- Liz - szepnął i łagodnie skierował jej twarz ku sobie.

- Dobrze. Pragnęłam cię. A teraz...

- Teraz - przerwał jej - wreszcie mnie posłuchaj.

- Nie musisz mówić nic więcej.

- Muszę - uparł się, poprowadził Liz do łóżka i delikatnie ją posadził. - Pojawilem się na Cozumel, żeby załatwić konkretną sprawę. Gdy cię spotkałem, byłem przekonany, że sporo wiesz i to ukrywasz. Sądziłem, że

coś łączyło cię z moim bratem. Postanowiłem cię poznać i zobaczyć, w czym możesz mi pomóc. Ale potem zrozumiałem, że nie o to chodzi. Chciałem cię poznać ze względu na siebie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu nie mogłem przestać o tobie myśleć - wyjaśnił i uśmiechnął się, widząc jej zaskoczoną minę. - Dziś specjalnie zacząłem rozmowę o Faith, ale nie potrafiłem spokojnie znieść tego, co usłyszałem.

- To rozumiałe - odparła. - Większość ludzi potępia niezamężne matki.

- Przestań wkładać mi w usta słowa, których nie wypowiedziałem - rozzłościł się Jonas. - Stałaś w kuchni i opowiadałaś historię swego życia. Widziałem tę ufną, młodą dziewczynę pełną marzeń. A potem dowiedziałem się, jak haniebnie zdradzono twoje zaufanie, jaką wyrządzono ci krzywdę. Dowiedziałem się, dlaczego wszystkiego sobie odmawiasz i czemu żyjesz z dala od ludzi.

- Już ci mówiłam, że niczego nie żałuję.

- Wiem - zgodził się i ucałował jej dłoń.

- Jonas, czy ty uważasz, że każdemu spełniają się marzenia z dzieciństwa?

Roześmiał się, objął ją i przytulił. Liz przez chwilę siedziała sztywno, nie wiedząc, jak powinna zareagować na ten gest. Z lekkim wahaniem złożyła głowę na ramieniu Jonasa i zamknęła oczy.

- Jerry i ja mieliśmy być partnerami - powiedział nagle Jonas.

- W czym?

- We wszystkim.

Liz otworzyła oczy i popatrzyła na monetę, kołyszącą się na łańcuszku.

- Miał taką samą, prawda?

- Gdy byliśmy mali, dostaliśmy je od dziadka. Były identyczne. Śmieszne, ale zawsze nosiliśmy je na odwrotnych stronach, ja awers, a on rewers - Jonas westchnął i zacisnął dłoń na monecie. - Jerry ukradł pierwszy samochód, gdy mieliśmy po szesnaście lat.

- Przykro mi - szepnęła Liz i wzięła go za rękę.

- Wcale nie musiał tego robić. Mieliśmy dostęp do wszystkich aut w garażu. Powiedział, że chciał się przekonać, czy ujdzie mu to na sucho.

- Nie miałeś z nim łatwego życia.

- To prawda. Sobie też utrudniał życie, jak tylko mógł. Ale nie był zły. Zdarzało się, że go nienawidziłem, ale nigdy nie przestałem go kochać.

- Czasami miłość sprawia więcej bólu niż nienawiść - powiedziała Liz i przysunęła się jeszcze bliżej.

Jonas pocałował czubek jej głowy i zamyślił się głęboko.

- Liz, ty chyba nie rozmawiałaś z prawnikiem o swojej córeczce, prawda?

- A po co miałabym to robić?

- Marcus ma pewne obowiązki, przynajmniej finansowe, wobec dziecka i ciebie.

- Już raz wzięłam od niego pieniądze. Nigdy więcej.

- Alimenty można załatwić szybko i bez rozgłosu. Nie musiałybyś pracować siedem dni w tygodniu.

Liz wzięła głęboki oddech i odsunęła się nieco, żeby móc patrzeć mu w oczy.

- Faith jest moim dzieckiem. I tylko moim, od momentu kiedy Marcus wręczył mi czek na aborcję. Mogłam to zrobić i żyć, jak zaplanowałam. Zdecydowałam inaczej. Postanowiłam urodzić, wychowywać i utrzymywać dziecko. Faith od dnia swoich narodzin dawała mi wyłącznie chwile szczęścia i nie zamierzam się nią z nikim dzielić.

- Kiedyś zapyta cię o jego nazwisko.

- Wtedy je pozna - Liz skinęła głową i zwilżyła nagle wyschnięte wargi.

Jonas postanowił nie naciskać już Liz. Zdecydował, że poleci swym pracownikom przejrzeć odpowiednie przepisy i sprawy o ojcostwo.

- Wiem, że przed przyjazdem Faith miałem zniknąć z twojego domu i zamierzam dotrzymać danego słowa. Ale czy pozwolisz mi ją poznać?

- Jeśli wciąż będziesz w Meksyku - zgodziła się z uśmiechem.

- Jeszcze tylko jedno pytanie.

- Słucham?

- Nie było innych mężczyzn w twoim życiu?

- Nie - odparła, a jej uśmiech zbladł.

Jonas poczuł dziwną mieszankę wdzięczności i poczucia winy.

- Więc pozwól mi pokazać, jak powinna wyglądać miłość.

- Nie musisz...

- Muszę - powiedział i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy. - Pragnęłam cię od chwili, gdy cię ujrzałam - szepnął i obdarzył ją pocałunkiem tak delikatnym, jak muśnięcie skrzydłem motyla. Powoli, by jej nie spłoszyć, rozwiązał pasek i zsunął szlafrok z jej ramion. - Twoja skóra jest jak złoto - wymruczał i obwiodł palcem jej pierś. - Chcę cię zobaczyć całą.

- Jonas...

- Całą - powtórzył. - Pragnę się z tobą kochać.

Liz się nie opierała. Jeszcze nikt nie patrzył na nią z takim podziwem w oczach, nie dotykał z takim szacunkiem. Osunęła się na łóżko.

- Jesteś taka piękna - westchnął, gdy księżyc oświetlił skórę dziewczyny. Patrzyła na Jonasa z nadzieją, ale i z przestraczem. - Zaufaj mi - poprosił i zaczął rozkoszną podróż wargami po jej ciele, poczynając od całowania jej kostek. - Nie musisz się mnie bać.

- Wcale się ciebie nie boję.

- Ale bałaś się. Wtedy nawet byłem z tego zadowolony, ale teraz już nie.

Język Jonasa załaskotał Liz pod kolanami. Po raz pierwszy doświadczała takich uczuć.

- Jonas... - zawołała i gwałtownie usiadła.

- Odpręż się - poprosił i położył dłoń na jej biodrze. - Pozwól mi pokazać sobie, jak wiele możesz dostać od mężczyzny.

Posłuchała tylko dlatego, że nie miała dość sił, aby mu odmówić. Jonas szeptał upojne słowa, głaskał i łaskotał jej ciało tak, że nie mogła nawet skupić się na oddawaniu mu pieśczęt. Ale on właśnie tego pragnął. Chciał dotykać Liz tak, jak nikt nigdy jej nie dotykał. Uwodził i dawał rozkosz z olbrzymią cierpliwością. Zaczął błdzić ustami po jej udach.

Liz odkryła, że to, co czuje, da się tylko porównać do nurkowania. Doświadczała tego samego poczucia wolności i nieskrępowania, gdy zanurzała się w morską toń. Znow czuła wspaniałą lekkość i delikatne kołysanie.

Liz nie wiedziała, że może znieść tyle rozkosznych doznań. Ręce Jonasa odkrywały przed nią tajemnice, o jakich nawet nie śniła. Uczyła się, jak brać i dawać rozkosz. Wzdychała i pozwalala mu się prowadzić. Prosiła o więcej.

Jeśli tak wyglądała miłość, to Liz do tej pory jej nie znała. Teraz nadszedł czas, aby zaryzykować. Bez wahania wyciągnęła ręce i przyciągnęła do siebie Jonasa.

W jej oczach widział bezwarunkowe zaufanie i to poruszyło go do głębi. Myślał, że pożądał jej już do granic, ale dopiero w tej chwili poznał siłę swoich uczuć. Myślał, że wie, jak to jest być z kimś blisko związanym. Mylił się. Teraz rozplątał się w drugiej osobie i połączył się z nią bez reszty. Należał do Liz całkowicie.

Tym razem sięgnął po nią powoli i delikatnie, choć jego puls bił tak samo szybko jak jej. Pławili się w niekończącej się rozkoszy. Spleceni, z ustami przy ustach, podążyli ku spełnieniu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Liz obudziła się wypoczęta. Z zamkniętymi oczami czekała na dźwięk budzika. Za godzinę będę już w sklepie albo wyprowadzę łódź w morze, pomyślała. Powinnam sprawdzić w planie, pomyślała i nagle zmarszczyła brwi. Nie mogła sobie przypomnieć, co ma zaplanowane na dziś. Po chwili zrozumiała. Nie mogła pamiętać, bo przecież od dwóch dni nie była w „Czarnym Korale”. A w dodatku, w nocy...

Spłoszona otworzyła oczy i ujrzała roześmianą twarz Jonasa.

- Widziałem, jak się budzisz i zaczynasz się zastanawiać. - Pocałował ją. - To było fascynujące.

Liz zacisnęła dłonie na prześcieradle. Co powinna teraz powiedzieć? Jeszcze nigdy nie spędziła nocy z mężczyzną i nie obudziła się rano u jego boku. Szczególnie u boku tak wspaniałego mężczyzny jak Jonas Sharpe.

- Jak ci się spało? - spytała i pojęła śmieszność takiego pytania.

- W porządku - odparł z lekkim rozbawieniem. - A tobie?

- Też dobrze, dziękuję - powiedziała i zamilkła.

Leżała w ciszy i zaciskała dłonie, póki Jonas czule ich nie pogłaskał. Patrzył na Liz z ciepłym uśmiechem.

- Trochę za późno, żeby krępowała cię moja obecność, Elizabeth.

- Wcale się nie denerwuję - odparła i poczerwieniła, gdy pocałował jej nagie ramię.

- Chociaż, z drugiej strony, to mi pochlebia. Jeśli się czujesz nieswojo... - szepnął i zaczął drażnić językiem płatek jej ucha - to znaczy, że nie jesteś obojętna. Nie chciałbym, żebyś miała wprawę w takich sytuacjach. Przynajmniej do czasu.

Czy to możliwe, że znów go pragnęła? Nie sądziła, że nastąpi to po nocy pełnej wrażeń, ale ciało mówiło jej co innego. Oczywiście, Liz jak zawsze posłucha rozumu.

- Już pora wstawać. - Spojrzała na budzik. - To niemożliwe - zdziwiła się i zamrugnęła powiekami. - Nie może być już ósma!

- Dlaczego? - spytał Jonas, wsunął dłoń pod prześcieradło i pogładził biodro Liz.

- Bo zawsze nastawiam go na szóstą - odparła z bijącym sercem.

Jonas nie przejął się odkryciem Liz i zaczął pokrywać jej ramię pocałunkami.

- Wczoraj wcale nie nastawiłaś budzika - wymruczał.

- Ale ja zawsze... - zaczęła i urwała.

Z trudem skupiała myśli, gdy Jonas jej dotykał. A kiedy wspomniała wydarzenia ostatniej nocy, niemal zapomniała, o czym w ogóle chciała mówić. W nocy nie myślała o budziku, planie dnia ani sklepie, gdy wyczerpana zasypiała u jego boku. W jej myślach, zupełnie jak teraz, niepodzielnie królował Jonas.

- Zawsze co?

Liz chciała, żeby przestał rozpraszać ją tańcem palców po skórze, a jednocześnie zapragnęła, by nigdy nie przestawał jej pieścić.

- Zawsze budzę się o szóstej, niezależnie od tego, czy nastawię budzik, czy nie.

- Tym razem zapomniawsz - zaśmiał się i popchnął Liz na poduszki. - To chyba znów był komplement dla mnie.

- Za dużo tych komplementów - mruknęła. - Muszę wstawać.

- Jedyne, co teraz musisz, to kochać się ze mną - powiedział i wyjął prześcieradło z jej dłoni. - Nie mógłbym już zacząć dnia bez ciebie.

- Ale łodzi...

- Z pewnością są już na morzu - przerwał jej i zaczął pieścić jej pierś. - Luis wydaje się kompetentnym pracownikiem.

- Owszem, ale nie byłam w sklepie od dwóch dni.

- To i trzeci nie zaszkodzi.

Ciało Liz z ochotą odpowiadało na jego dotyk. W końcu poddała się i objęła go.

- Pewnie masz rację - szepnęła.

Ostatni raz leżała w łóżku do dziesiątej, gdy była jeszcze dzieckiem. Liz teraz właśnie czuła się tak, jakby poszła na wagary. Oczywiście, Luis mógł zająć się sklepem, łodziami i wypożyczaniem sprzętu, ale to była jej praca. A tymczasem ona siedzi w domu i parzy sobie kawę. Nic już nie jest takie, jak przedtem, pomyślała.

- Nie musisz sobie robić wyrzutów, że raz nie poszłaś do pracy - powiedział lekko ochryłym głosem.

- Chyba nie, skoro i tak nie znam dzisiejszego grafiku - zgodziła się i włożyła chleb do tosterka.

- Liz - Jonas podszedł, objął ją i obrócił ku sobie. - Wiesz, że w Filadelfii uchodzę za pracoholika? Ale w porównaniu z tobą jestem leniem.

- Robimy to, co musimy - odparła, marszcząc brwi.

- To prawda - zgodził się. - Wygląda na to, że musisz zostać moją zakładniczką, żebyś mogła trochę odpocząć.

- Pewnie jesteś w tym ekspertem. - Roześmiała się. - Ale ja jestem ekspertem w wykorzystywaniu czasu - dodała i sięgnęła po swoją grzanekę.

- Wspomniałaś coś o lekcjach nurkowania? - Jonas pozornie zmienił temat.

Liz usłyszała, że kawa zaczyna już bulgotać, sięgnęła po kubek i zmarszczyła brwi. Po chwili sięgnęła po drugi.

- Zamierzam dziś wziąć jedną taką lekcję.

- Dziś? - zdziwiła się i podała mu napój. - Muszę zobaczyć, co jest w planie. Obie łodzie mogą już być na wodzie.

- Nie chodzi mi o grupowe zajęcia. Wolę indywidualny instruktaż. Mam nadzieję, że będziesz mogła zabrać mnie w morze na „Expatriate”.

Liz wciąż się śmiała, gdy dojechali na miejsce.

- Jeśli ten człowiek próbował cię okraść, to dlaczego zdecydowałaś się go bronić?

- Każdy ma prawo do adwokata. Poza tym, doszedłem do wniosku, że jeśli zostanie moim klientem, uratuję swój portfel.

- No i co?

- No i straciłem zegarek - powiedział Jonas, wziął Liz za rękę i ruszyli nabrzeżem.

Zachichotała jak mała dziewczynka.

- Wybroniłeś go?

- Dostał dwa lata w zawieszeniu.

Liz osłoniła oczy przed słońcem i popatrzyła w stronę sklepu. Luis właśnie wydawał sprzęt do nurkowania parze młodych ludzi. Gdy spojrzała w stronę doków, przekonała się, że w porcie została tylko „Expatriate”.

- Cozumel robi się coraz bardziej popularna - mruknęła do siebie.

- Czy właśnie nie o to chodzi?

- To rzeczywiście dobre dla interesów. Nie powinnam narzekać - zgodziła się i uwolniła dłoń z jego uścisku.

- Ale?
- Ale czasami myślę, że byłoby lepiej, gdyby zmiany nie następowały tak szybko. *Hola*, Luis.
- Liz! - Spojrzenie mężczyzny prześliznęło się po sylwetce Jonasa, zanim uśmiechnął się do swej pracodawczyni. - Już myśleliśmy, że nas porzuciłaś. Jak podobało ci się w Acapulco?
- Było... zupełnie inaczej niż tu - powiedziała po chwili. - Miałaś jakieś problemy?
- Jose musiał naprawić kilka drobiazgów. Znow poprosiłem o pomoc Miguela, ale mam na niego oko. Znalazłem też broszurę o rowerach wodnych. - Luis podał Liz kolorowy folder.
- Czy pojawili się Brinkmanowie?
- Tak, wypływali z Miguelem dwa dni pod rząd.
- Hm. Więc sam jesteś w sklepie?
- Radzę sobie - odparł, wzruszając ramionami. - O! Był tu ten facet. - Luis zmarszczył brwi, próbując przypomnieć sobie nazwisko. - Chudy Amerykanin. Wiesz, ten co był na wycieczce z lekcją dla początkujących.
- Trydent? - spytała Liz, przeglądając rachunki.
- Tak, tak, właśnie ten. Przychodził parę razy.
- Wypożyczył coś?
- Nie - Luis pokręcił głową i puścił oczko do Liz. - Szukał ciebie. Liz wzruszyła ramionami. Zupełnie nie była nim zainteresowana.
- Skoro tu wszystko jest w porządku, zostawiam cię znow samego i zabieram pana Sharpe' a na lekcję nurkowania.
- Luis przelotnie spojrzał na Jonasa. Wciąż czuł się nieswojo w jego obecności. Zauważył jednak, że Liz jest odprężona i wygląda na szczęśliwą.
- Skompletować wam sprzęt?
- Nie. Sama się tym zajmę. Przygotuj formularz i wypisz panu Sharpe rachunek za sprzęt, lekcję i wycieczkę. Skoro jest już... - rzuciła okiem na zegarek - jedenasta, policz tylko połowę ceny.
- Jak to miło z twojej strony - mruknął Jonas, gdy poszła kompletować ekwipunek.
- Dostajesz najlepszego instruktora - pocieszył go Luis, ale nie odważył się podnieść na niego wzroku znad papierów.

- Zapewne - zgodził się Jonas i tęsknie popatrzył na hiszpańską gazetę. Nie rozumiał ani słowa w tym języku i brakowało mu nieco porannych informacji. - Dzieje się coś, o czym warto przeczytać?

Luis odprężył się nieco. Gdy nie patrzył na Jonasa, jego głos nie przypominał mu Jerry' ego.

- Jeszcze nie zdążyłem jej przeczytać. Byłem dość zajęty.

Jonas z przyzwyczajenia zaczął przeglądać gazetę. Choć nagłówki nic mu nie mówiły, zainteresowało go jedno zdjęcie. Na niewyraźnej fotografii rozpoznał Erikę. Jeden szybki rzut oka wystarczył, by dostrzec, że Liz jest zajęta sprzętem. Bez słowa podsunął gazetę Luisowi.

- Hej, to przecież...

- Wiem - z naciskiem przerwał mu Jonas. - Co tu jest napisane?

Luis pochylił się nad tekstem i zaczął czytać. Po chwili wyprostował się z pobladłą twarzą.

- Nie żyje - szepnął.

- Jak?

- Zadżgana - odparł, ściskając w dłoni długopis.

- Kiedy?

- Znaleźli ją wczoraj w nocy - odparł Luis i z trudem przełknął ślinę.

- Jonas - zawołała Liz z zaplecza - ile ważysz?

- Osiemdziesiąt kilo - odkrzyknął, nie spuszczając oczu z Luisa. - Ona nie powinna teraz się o tym dowiedzieć - szepnął i położył na ladzie należność. - Dokończ wypisywać rachunek.

- Nie chcę, żeby Liz stało się coś złego - odparł Luis i pokonując własny strach, popatrzył Jonasowi prosto w oczy.

- Ja też nie. Dopilnuję tego - obiecał.

- Sprowadzasz kłopoty.

- Wiem - zgodził się Jonas. - Ale jeśli nawet teraz odejdę, one nie znikną.

- Lubilem twój brata - powiedział Luis z westchnieniem. - Sądzę jednak, że to on wpędził nas w kłopoty.

- Nieważne, czyja to wina. Teraz liczy się tylko bezpieczeństwo Liz.

- Dopilnuj tego - miękko ostrzegł Luis. - Lepiej tego dopilnuj.

- Pierwsza lekcja - oznajmiła Liz i podeszła do Jonasa. - Każdy pletwonurek jest odpowiedzialny za swój sprzęt i sam go nosi. Przygotowanie do zanurzenia to dwa razy więcej pracy, niż samo

nurkowanie - dodała i sięgnęła po swoje butle. - Ale zapewniam cię, że warto. Wrócimy przed zachodem słońca, Luis.

- Liz - zaczął mężczyzna, spojrzał na nią, a potem na Jonasa. - *Hasta luego*, do zobaczenia - powiedział tylko.

Już po chwili Liz i Jonas znaleźli się na pokładzie „Expatriate”. Dziewczyna zabezpieczyła ekwipunek i z przyzwyczajenia zaczęła kontrolę łodzi.

- Odcumujesz?

Jonas pogładził ją po włosach. Zastanowił się, czy jego obecność jest dla niej ochroną, czy raczej zagrożeniem. Chciał wierzyć w pierwszą możliwość.

- Zgoda.

- Więc lepiej przestań się na mnie gapić i zrób to - poleciła Liz, czując rozkoszny dreszcz.

- Lubię na ciebie patrzeć - wyznał Jonas i przytulił ją. - Mógłbym przyglądać ci się latami.

Chciała zarzucić mu ręce na szyję i uwierzyć w jego zapewnienia. Mogłaby znów zaufać, znów oddać swój los w czyjeś ręce i... I znów pozwolić się zranić, pomyślała. Pragnęła powiedzieć mu o miłości, która zaczęła w niej kiełkować, ale bała się. Czuła, że wtedy bezpowrotnie straci nad wszystkim kontrolę. A bez możliwości kierowania swym losem Liz była bezbronna.

- Zegar tyka - przypomniała mu nieco drżącym głosem.

- Skoro ja płacę, ja będę pilnował czasu - odparł z uśmiechem.

- Mieliśmy nurkować. To się nie uda, jeśli nie odbijemy od brzegu.

- Tak jest, kapitanie! - zawołał, lecz zanim zeskoczył z pokładu, pocałował Liz w usta.

Dziewczyna westchnęła głęboko i uśmiechnęła się do siebie. Jonas wygrywał walkę, choć nawet nie wiedział, że ona wciąż trwa w jej duszy. Liz miała tylko nadzieję, że wygląda na bardziej opanowaną, niż jest w istocie. Poczekala, aż Jonas wskoczy z powrotem na pokład i wyprowadziła łódź z portu.

- Nie musimy wypływać daleko, ale pomyślałam, że chętnie zobaczysz okolicę. Palancar to najpiękniejsza rafa na Karaibach. A także najlepsze miejsce, by docenić uroki nurkowania, bo ma łagodne stoki, wiele jaskiń i podwodnych korytarzy.

- Na pewno masz rację, ale ja myślałem o czymś innym.

- Jak to?

Jonas wyjął niewielki notes z kieszeni, odszukał właściwą stronę i pokazał ją Liz.

- Co ci to przypomina?

Z łatwością rozpoznała notes. To właśnie w nim zapisał te tajemnicze liczby, które odkryli w skrytce bankowej. Jonas wciąż ma swoją misję, uświadomiła sobie Liz.

- To długość i szerokość geograficzna - odparła po chwili.

- Masz mapę?

Planował to od początku. To, że zostali kochankami, niczego nie zmieniło.

- Oczywiście, ale nie jest mi do tego potrzebna. Znam te wody. To w pobliżu Isla Mujeres - powiedziała i zmieniła kurs łodzi. - To długa wycieczka - oznajmiła.

- Wiem, że niczego nie znajdziemy, ale muszę tam popłynąć - wyjaśnił i objął Liz.

- Rozumiem.

- Wolałabyś, żebym popłynął tam sam?

Nie odezwała się, ale pokręciła przecząco głową.

- To musi być punkt przerzutowy. Jutro Moralas też pozna lokalizację i wyśle tam swoich ludzi. Ale ja muszę obejrzeć to miejsce.

- Gonisz za cieniami, Jonas. Jerry nie żyje i nic już tego nie zmieni - powiedziała ze smutkiem.

- Ale dowiem się, dlaczego zginął. Dowiem się, kto go zabił. To mi wystarczy.

- Jesteś pewien? Bo ja uważam, że nie. - Zamilkła i spojrzała na morze.

Isla Mujeres nie była dużą wyspą. Otaczały ją rafy i miała wiele lagun. Stanowiła jeden z piękniejszych zakątków przyrody na Karaibach. Według krążących legend, kiedyś mieszkali na niej piraci.

Liz zakotwiczyła w pobliżu wyspy i znów zamieniła się w nauczycielkę.

- Ważne jest poznanie nazwy i przeznaczenia każdego elementu sprzętu do nurkowania. Nie wystarczy, że włożysz kamizelkę i maskę... Nie pal! - zabroniła, gdy zauważyła, że Jonas sięga po papierosy. - Po pierwsze, niemądrze jest niszczyć sobie płuca, a już całkiem bez sensu jest robić to tuż przed zanurzeniem.

- Ile czasu będziemy pod wodą? - spytał, lecz posłusznie odłożył paczkę papierosów na ławkę.

- Około godziny. Głębokość dwadzieścia pięć metrów. To oznacza, że stężenie azotu w organizmie będzie o wiele wyższe niż zwykle. Niektórzy mogą odczuwać zaburzenia równowagi. Jeśli poczujesz zawroty głowy, natychmiast daj mi znać. Będziemy zanurzać się powoli, żeby dać twojemu ciału czas na przystosowanie się do zmian ciśnienia. Wynurzając się, będziemy robić przystanki dekompresyjne, aby organizm mógł pozbyć się nadmiaru azotu. Jeśli ktoś wynurzyłby się zbyt gwałtownie, mógłby nabawić się choroby dekompresyjnej, która jest fatalna w skutkach - wyjaśniła i rozłożyła na pokładzie sprzęt, aby móc swobodnie opisywać i pokazywać kolejne jego części. - Pamiętaj, że pod wodą nie ma nic pewnego. To nie jest nasze naturalne środowisko. Jesteś zależny nie tylko od ekwipunku, ale i od swojego rozsądku.

- Czy właśnie taki wykład słyszą twoi kursanci?

- Podobny.

- Jesteś naprawdę świetna w tym, co robisz.

- Dziękuję - odparła i wzięła konsolę ze wskaźnikami. - A teraz...

- Moglibyśmy już zacząć?

- Zaczęliśmy. Nie możesz zejść pod wodę, nie mając wiedzy o swym sprzęcie.

- To jest głębokościomierz - oznajmił i szybko się rozebrał. Miał teraz na sobie tylko obcisłe czarne kąpielówki. - I to bardzo nowoczesny. Nie sądziłem, że wypożyczalnie korzystają z takiego sprzętu.

- Ten jest mój - mruknęła. - Ale wypożyczamy podobne.

- Chyba jeszcze ci nie mówiłem, że masz najlepszy sprzęt w całej okolicy? Nie dorównuje twojemu prywatnemu, ale i tak jest na wysokim poziomie. Pomóż mi z tym.

Liz wstała i pomogła mu naciągnąć skafander.

- Nurkowałeś już - zauważyła.

- Tak. Od piętnastego roku życia - przytaknął Jonas, zapiał suwak i zaczął sprawdzać wskaźniki.

- To dlaczego pozwoliłeś mi myśleć, że to twoje pierwsze nurkowanie? - spytała i zaczęła się rozbierać. Po chwili miała na sobie tylko skąpe bikini.

- Bo lubię cię słuchać - powiedział i poczuł falę gorąca, gdy spojrzał na niemal nagą Liz. - Prawie tak samo, jak lubię na ciebie patrzeć.

Dziewczyna nie była w nastroju do przyjmowania komplementów. Ze zmarszczonymi brwiami wkładała swój skafander.

- I tak policzę ci za lekcję - burknęła.

- Ani przez chwilę w to nie wątpię - odparł z uśmiechem i naciągnął płetwy.

Resztę ekwipunku Liz włożyła w milczeniu. Czowała, że to nurkowanie nie będzie tak proste i miłe, jak jej się wydawało. Zanim wskoczyła do wody, ostrzegła Jonasa przed rekinami.

Widoczność była doskonała. Liz przed zanurzeniem upewniła się, że Jonas naprawdę wie, co robi. Uspokoila się, kiedy dał jej znak w języku nurków, że wszystko jest w porządku.

Czowała jednak, że jest spięty. Nie miało to nic wspólnego z jego umiejętnościami. To właśnie tu nurkował Jerry, była tego pewna. A przyczyna jego schodzenia pod wodę była również powodem jego śmierci. Przestała się złościć na Jonasa i wzięła go za rękę.

Jonas z wdzięcznością przyjął jej gest. Nie wiedział, czego tu szuka, skoro znalazł już nawet więcej, niż się spodziewał. Spojrzał na Liz. Dziewczyna zauważyła właśnie olbrzymią płaszczkę, która pożywiała się planktonem i zupełnie nie zwracała uwagi na intruzów. Po chwili, wachlując niby-skrzydłami, majestatycznie odplynęła w głąb. Jonas, mimo maski, zauważył roześmiane oczy Liz.

Jego napięcie powoli ustępowało. Także Liz zdawała się bardziej beztroska i swawolna. Jonas zauważył, że Liz zachwyca się wszystkim tak, jakby nurkowała po raz pierwszy. Gdyby to było możliwe, chciałby tu zostać z nią na zawsze.

Zanurzyli się głębiej. Jeśli wydarzyło tu się kiedyś coś złego, nie było po tym żadnego śladu. Morze było ciche, spokojne i pełne kolorowego życia.

Nagle padł na nich cień i Liz spojrzała w górę. Już po chwili wpłynęła w ławicę ryb. Machnęła do Jonasa, aby do niej dołączył. Otoczyły ich ściany żywego srebra.

Liz pomyślała, że chyba teraz jest najbliższa spełnienia swych marzeń. Oto pływa wolna, zauroczona podmorską magią, trzymając dłoń swego kochanka. Chciała poznawać tajemnice mórz i opowiadać o nich innym i właśnie to robi...

Chmura ryb odplynęła, tworząc ponownie jedną wielką ławicę.

Jonas widział radość na twarzy Liz i choć ograniczały go warunki, pogładził jej policzek. Powtórzyła ten sam czuły gest, gładząc jego policzek. Po chwili płynęli ze splecionymi dłońmi w kierunku dna.

Wapienne jaskinie fascynowały i zapraszały do wnętrza. Jonas zauważył, że z jednej wypłynęła niebezpieczna murena, żeby zobaczyć, kto ośmielił się zakłócić jej drzemkę. Z dna podniósł się olbrzymi żółw i przez chwilę pływał obok nich. Unosili się w wejściu do jednej z większych jaskiń, a na jej dnie leniwie pływał rekin. Zachowywał się jak pies, tarzający się po dywanie. Liz poruszyła się, chcąc podплыnąć bliżej. Nagle senny rekin zmienił się w szarą błyskawicę i wyprysnął w ich kierunku. Przepłynął tuż obok nich i uciekł z jaskini, zanim Jonas zdążył sięgnąć po nóż. Został po nim jedynie ślad wzbitego piasku.

Jonas miał ochotę zwymyślać Liz. Zamiast tego przyłożył dłoń do jej szyi i lekko zacisnął. Dziewczyna zaśmiała się i fala powietrznych bąbelków popłynęła ku powierzchni. Jednak Liz nie była tak lekkomyślna, jak sądził Jonas. Choć wcześniej tego nie zauważył, trzymała w ręku niewielką kuszę.

Pływali po jaskini, od czasu do czasu rozłączając się, aby zbadać szczególnie ciekawe zakamarki. Jonas uznał, że Liz zapomniała, w jakim celu przybyli, ale cieszył się, że korzysta z chwil odpoczynku. On jednak miał swój cel.

Jak dotąd nie spotkali żadnego nurka, a ich zaplanowany czas dobiegał końca. Jaskinie, w których wypoczywały rekiny, były też doskonałym miejscem do ukrycia paczuski narkotyków. Tylko bardzo odważny albo bardzo głupi nurek zapuściłby się tu w nocy, gdy rekiny wypływały żerować. Ale Jerry z pewnością uznałby to za wspianiałą przygodę, pomyślał Jonas.

Liz nie zapomniała jednak, po co tu przybyli. Rozumiała, co Jonas czuje, więc starała się mu nie przeszkadzać w badaniu jaskini. Niedługo cała afera się zakończy. Policja ma nazwisko odbiorcy towaru z Acapulco i tego drugiego mężczyzny, o którym wspomniał Jonas. Jakiś Manchez... Skąd jednak wziął to drugie nazwisko? Liz zrozumiała, że Jonas nie mówi jej wszystkiego. To też się niedługo skończy, obiecała sobie.

Nagle poczuła, że brakuje jej powietrza.

Nie wpadła w panikę. Była zbyt dobrze wyszkolona, by powiększać niebezpieczeństwo paniką. Spojrzała na wskaźnik i zobaczyła, że pokazuje on dostateczną ilość powietrza. Sięgnęła do zaworu, żeby sprawdzić, czy coś go nie blokuje. Wydawało się, że wszystko jest w porządku, a jednak nie mogła zaczerpnąć tchu.

Zmusiła się do spokojnej oceny sytuacji. Cokolwiek mówił licznik, jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Jeśli popłynie gwałtownie ku

powierzchni, ciśnienie rozsadzi jej płuca. Resztką sił podpłynęła do Jonasa. Szarpnęła go za kostkę. Gdy mężczyzna zobaczył wyraz jej oczu, uśmiech znikł z jego twarzy. Zrozumiał jej sygnały i natychmiast podał jej swój zapasowy ustnik. Liz zaczerpnęła powietrza. Zaczęli się powoli wynurzać, trzymając się za ręce i korzystając ze zbiornika powietrza Jonasa. Z całych sił opanowywali pośpiech, ale i tak droga ku powierzchni trwała zaledwie kilka minut, chociaż im się wydawało, że wynurzenie ciągnie się w nieskończoność. Gdy znaleźli się nad taflą wody, Liz zerwała maskę i gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Co się stało? - spytał poruszony Jonas, lecz zauważył, że Liz zaczyna się trząść. - Tylko spokojnie - powiedział i pomógł jej wdrapać się do łodzi.

- Już dobrze - westchnęła i opadła bez sił na ławkę. Jonas sam musiał zdjąć jej butlę z pleców. Z głową między kolanami czekała, aż odzyska równowagę. - Jeszcze nigdy nie przydarzyło mi się coś takiego - szepnęła drżącym głosem. - Nie na tej głębokości.

- Co się stało? - dopytywał się Jonas, masując jej lodowate dłonie.

- Zabrakło mi powietrza.

- Zabrakło ci powietrza? - Zdenerwowany jej słowami, potrząsnął ją za ramiona. - To karygodna beztroska! Jak możesz udzielać lekcji nurkowania, skoro sama nie przestrzegasz podstawowych zasad! Nie sprawdzałaś wskaźników?

- Sprawdzałam. - Nabrała powietrza w płuca i powoli je wypuściła.

- Do diabła, wypożyczasz przecież sprzęt! Jak mogłaś tak zaniedbać swój własny? Mogłaś umrzeć!

Liz odzyskała już równowagę, lecz Jonas swoim zachowaniem nie pomagał jej zwalczyć strachu. W dodatku podważał jej kompetencje.

- Nigdy nie jestem beztroska, gdy chodzi o ekwipunek. Nieważne, czy mój, czy wypożyczony - odparła zimno. - Sam spójrz na mój wskaźnik powietrza.

Jonas spojrział, lecz to nie ułagodziło jego gniewu.

- Powinnaś sprawdzić sprzęt przed nurkowaniem. Niedokładność wskazań mogła cię kosztować życie.

- Sprzęt był sprawdzony. Kontroluję go po każdym nurkowaniu, zanim odłożę go do magazynu. Był w porządku, gdy zamykałam go w szafce. A butle napełniałam przy tobie.

- Trzymasz go w szafce - powiedział i ścisnął mocno jej dłoń.

- Zamykam ją na klucz.

- Ile masz w sumie kluczy, pasujących do jej zamka?
- Mam swój i jeden zapasowy w szufladzie.
- Ktoś musiał go użyć, kiedy byliśmy w Acapulco i majstrować przy twoim ekwipunku.
- Tak - zgodziła się Liz i oblizwała spierzchnięte wargi.
Gniew niemal oślepił Jonasa. Czy nie przyrzekł sobie, że będzie ją chronił? A co się stało pod jego nosem? Z trudem się opanował.
- Wracamy. Potem spakujesz się i wsiądziesz do pierwszego samolotu. Zatrzymasz się u moich rodziców, póki to się nie skończy.
- Nie.
- Zrobisz dokładnie to, co ci każę.
- Nie - zaprzeczyła, zebrała siły i wstała. - Nigdzie się nie wybieram. To był już drugi zamach na moje życie.
- Nie pozwolę, aby to się powtórzyło.
- Nie zostawię domu.
- Nie bądź głupia - powiedział Jonas i chcąc dać zajęcie rękom, zaczął rozbierać się ze skafandra. - Firma wytrzyma do twojego powrotu. Przyjedziesz, gdy tylko będzie bezpiecznie.
- Nigdzie nie jadę - powtórzyła z uporem - Przyjechałeś tu szukać zemsty i nie wyjedziesz, póki jej nie dokonasz. Teraz ja szukam kilku odpowiedzi. Nie wyjadę, bo te odpowiedzi są właśnie tutaj.
- Znajdę je dla ciebie - obiecał Jonas i ujął jej twarz w dłonie.
- Przecież wiesz, że każdy musi sam szukać odpowiedzi na swoje pytania. Chcę, żeby moja córka mogła bezpiecznie przyjechać do domu. Dopóki nie znajdę tych odpowiedzi, nie zapewnię jej spokoju, nie będę mogła się z nią zobaczyć. Teraz oboje mamy powody, aby szukać rozwiązania.
- Erika nie żyje - powiedział nagle Jonas i sięgnął po swoje papierosy.
- Co?
- Zamordowano ją - oświadczył twardym głosem. - Kilka dni temu spotkałem się z nią i zapłaciłem jej za podane mi nazwisko.
- To, które potem przekazałeś Moralesowi?
- Tak - pokiwał głową i zapragnął, aby Liz zamiast gniewu poczuła znów strach. - Powiedziała mi, że Pablo Manchez to płatny morderca. Jerry' ego zabił profesjonalista. Erikę też.
- Zastrzelono ją?

- Zadźgano nożem - wyjaśnił, patrząc, jak Liz mimowolnie podnosi dłoń i dotyka cienkiej blizny na szyi. - Właśnie tak! - krzyknął. - Wracasz do Stanów, dopóki tu się nie uspokoi.

- Nie wyjadę, Jonas - powiedziała.

- Liz...

- Nie - odmówiła. - Widzisz, ja już uciekałam przed problemami i wiem, że to nie pomaga - dodała z mocą.

- To nie jest kwestia ucieczki, tylko zdrowego rozsądku.

- Ty zostajesz - wytknęła.

- Nie mam wyboru.

- Ja również.

- Liz, nie chcę, żeby stało ci się coś złego.

Popatrzyła na niego i uznała, że tym razem może mu wierzyć i czerpać z tego siłę.

- Wyjedziesz?

- Wiesz, że nie mogę.

- Ja też nie - odparła i wspięła się na palce, by go pocałować. - Wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Każdego dnia Liz spodziewała się telefonu od kapitana Moralasa. Każdego wieczoru miała nadzieję, że sprawa się skończy, że to kwestia jeszcze tylko jednego dnia. A czas płynął.

Każdego dnia spodziewała się, że Jonas wyjedzie. Każdego wieczoru, gdy zasypiała w jego ramionach, była pewna, że to już ostatni raz. A Jonas wciąż z nią był.

Przez dziesięć lat jej życie miało tylko jeden cel. Pragnęła odnieść sukces. Zaczęła walkę o byt i utrzymanie dziecka. Gdzieś po drodze zaczęła odczuwać zadowolenie z faktu, że świetnie sobie radzi. Przez te wszystkie lata konsekwentnie dążyła do celu. Zbaczenie z wyznaczonej trasy niosło ze sobą ryzyko potknięcia się i utracenia niezależności. Jednak w jej życiu zaszły pewne zmiany. Nie mogła z tym walczyć ani nie zwracać na to uwagi. Zresztą i tak wyglądało na to, że nie ma wyboru.

Liz trzymała się więc z uporem jedynej pewnej rzeczy. Pracowała z podziwu godną zaciętością przez siedem dni w tygodniu. Sklep „Czarny Koral” dawał jej zajęcie dla rąk, lecz nie uspokajał myśli. Przyłapała się na tym, że zaczyna podejrzliwie odnosić się do klientów. Zbliżał się sezon turystyczny i coraz więcej osób przychodziło do wypożyczalni.

Jonas zmienił wszystko w jej życiu. Potrafiła wreszcie to przyznać, ale wciąż nie wiedziała, co powinna z tym zrobić. Przeczynała, że w pewnym momencie Jonas odejdzie, a ona znów będzie musiała tłumić tęsknoty i marzenia.

W końcu policja znajdzie zabójcę Jerry'ego i człowieka, który groził jej nożem. Gdyby Liz w to nie wierzyła, nie znalazłaby w sobie siły, aby zaczynać kolejny dzień. Kiedy niebezpieczeństwo minie i wszystkie mroczne zagadki zostaną rozwiązane, jej życie już nie będzie takie, jak dawniej. Teraz był w nim Jonas. Gdy odejdzie, pozostawi po sobie pustkę, z którą Liz będzie musiała się jakoś uporać.

Już raz jej życie legło w gruzach, ale umiała je odbudować. Ułożyła je na nowo. Pocieszała się, że jeśli będzie musiała, zrobi to ponownie. Tylko czasem, rozmyślając w bezsenne noce, bała się, że ta chwila nadejdzie zbyt szybko, zanim zdąży się przygotować.

Jonas wiedział, że Liz rzadko sypia spokojnie. Zastanawiał się, czy jest tak od momentu, gdy wkroczył w jej życie. Pragnął, by mogła na nim polegać, ale wiedział, że niezależna Liz wciąż pamiętała, jak dotkliwie ją zraniono, gdy zdecydowała się komuś zaufać. Nawet dzielenie tego samego problemu z inną osobą było dla niej niezwykle trudne. Jonas do tej pory starannie wybierał sobie towarzyszkę. Żadna nie potrzebowała rad, wsparcia ani pocieszenia. A teraz zakochał się w kobiecie, która go potrzebowała, ale nie zamierzała tego przyznać. Była silna, mądra i potrafiła doskonale o siebie dbać. A jednocześnie miała tak smutne spojrzenie, że zakochany mężczyzna zaryzykowałby swoje życie tylko po to, by uchronić ją przed dalszym bólem.

Odmieniła jego życie. Sprawiała, że pragnął ją pocieszać, chronić i wszystko z nią dzielić.

Przez otwarte okno do pokoju wpadało świeże powietrze, niosąc ze sobą zapach kwiatów. Wiatr szeptał w liściach palm. Obok Jonasa, w ciepłym łóżku, spoczywała kobieta, o której rozmyślał. Jej włosy rozsypały się po białej poduszce. Światło księżycy delikatnym blaskiem wydobywało z mroku zarys jej sylwetki. Liz zamruczała przez sen i Jonas przytulił ją ochronnym gestem. Dziewczyna zeszywniała lekko, jakby nawet nieświadomie nie chciała przyjąć od niego żadnej pomocy. Zaczął delikatnie gładzić jej ramiona. Znowu zamruczała, lecz Jonas nie wiedział, czy chciała zaprotestować, czy raczej cieszył ją jego dotyk. Czuł, że jego ciało zaczyna reagować na kuszącą bliskość kobiety.

Liz czuła się wspaniale. Wszystkie pytania i wątpliwości mogły poczekać do wschodu słońca. Wieczorem kochała się z Jonaszem i zasnęła cudownie odprężona. Westchnęła przez sen i jej ciało się odprężyło. Jeśli śniła, to tylko o przyjemnych rzeczach.

Budziła się powoli. Jej ciało już nie spało i zaczynało płonąć z pożądania, jeszcze zanim obudził się jej umysł. Otworzyła oczy i zrozumiała, że to nie był sen. Jonas tulił ją w ramionach. Natychmiast odpowiedziała pocałunkiem na niemą prośbę jego ciała.

Tym razem nie wahała się, chciała oddać się Jonaszowi całkowicie i bez zastrzeżeń. Powstrzymała się tylko od wypowiedzenia swych uczuć. Ale mogła je okazać, obdarzając go miłością bez zahamowań. Objęła Jonasa ciaśniej i przygryzła jego dolną wargę. Poczwała, że zadrżał i uświadomiła sobie, że ona też może uwodzić. Delikatnie poruszyła się pod nim i sprawiała,

że wyszeptał jej imię. Kusząco wodziła językiem po jego szyi, poznając smak mężczyzny. Odkryła, że jego puls bije tak samo szybko, jak jej serce. Znow zmieniała pozycję i teraz znalazła się nad Jonasem.

Jej ręce rozpoczęły instynktowną i niezbyt pewną wędrówkę po jego ciele. Liz uczyła się szybko, obserwując jego reakcje. Jonas z całych sił walczył o zachowanie kontroli nad swoim ciałem. Po chwili zaczęła obsypywać pocałunkami jego tors. Jonas czuł, że cały płonie. Każdy dotyk Liz sprawiał, że języki ognia tańczyły po jego skórze. Jej brak doświadczenia i odkrywanie coraz to nowych sposobów pieszczot doprowadziły go na skraj wytrzymałości.

- Powiedz mi, czego pragniesz - szepnęła. - Naucz mnie, co mam robić.

To było już zbyt wiele. Zaplątał dłonie w jej włosach i przyciągnął jej głowę do swojej. Ich usta znow się spotkały. Głód eksplodował i Liz nie musiała już się uczyć. Przejęła kontrolę nad ich zbliżeniem.

Jonas z jękiem objął jej biodra i przyciągnął ku swoim. Przez chwilę obserwował, jak jej włosy kołyszą się i lekko muskają piersi. Splótł palce z jej palcami i poddał się miłosnemu rytmowi. Liz z uśmiechem przyjmowała kolejne fale uczuć. Pożądanie i pasja, ból i przyjemność, zachwyt i strach połączyły się w jedno i nie mogła już dłużej ich kontrolować.

Jonas nie mógł myśleć, ale mógł czuć i patrzeć. Widział twarz Liz i malujące się na niej uczucia. Wciąż wznosił się wyżej i wyżej. Kiedy zrozumiał, że nie zniesie więcej, spełnienie objęło go łagodną falą. Wciąż widział nad sobą Liz, nagą i dumną w bladym świetle księżyca. Zrozumiał, że ten obraz wyrzył się na zawsze w jego sercu i pamięci.

Liz sądziła, że to niemożliwe, żeby po takich przeżyciach człowiek mógł skupić się na pracy. A jednak była w sklepie, wypożyczała sprzęt, wypełniała formularze i dyskutowała z klientami. Wszystko to jednak robiła mechanicznie. Dobrze, że zdecydowałam się wysłać pracowników z łodziami w morze, a sama zostałam na lądzie, pomyślała.

Witając klientów, rozmyślała o liście turystów, którą powinna spisać dla Moralasa. Jak wielu z nich wróciłoby do jej sklepu, gdyby wiedzieli, że są obserwowani przez policję? Morderstwo Jerry' ego i udział Liz w śledztwie mogły zaszkodzić firmie bardziej niż słabszy sezon czy niszczycielski huragan. Mimo że współczuła Jonasowi i angażowała się w jego misję,

desperacko pragnęła oddzielić się od sensacyjnych wydarzeń, w które została wciągnięta.

Z drugiej strony, gdyby nie ostatnie wypadki, w jej życiu nie pojawiłyby się Jonas. Musiała wreszcie przyznać, że kocha tego człowieka. Nie chciała jednak ryzykować ponownego odrzucenia. W jej myślach panował zamęt.

- Trudno cię zastać - usłyszała przy uchu.

Podniosła głowę i spojrzała na szczupłego mężczyznę. Przez chwilę zastanawiała się, skąd go zna.

- Pan Trydent - przypomniała sobie po chwili. - Nie wiedziałam, że jest pan jeszcze na wyspie.

- Biorę urlop tak rzadko, że zamierzam wykorzystać mój czas do końca - powiedział wesoło i postawił na blacie papierowy kubek z jakimś napojem. - Doszedłem do wniosku, że to jedyny sposób, aby cię namówić na drinka.

Liz przez chwilę zastanawiała się, jak powinna zareagować. W tej chwili wołała zostać sama ze swymi myślami. A jednak, klient to klient, pomyślała.

- To miłe z twojej strony. Byłam bardzo zajęta - dodała.

- Naprawdę? - udał zdziwienie i uśmiechnął się czarująco. - Albo wyjeżdżasz, albo jesteś cały dzień na łodzi, więc pomyślałem, że to góra będzie musiała przyjść do Mahometa - zaśmiał się i rozejrzał po pustym sklepie. - Nie masz dziś zbyt dużego ruchu.

- O tej porze ci, którzy mieli wypłynąć, wypłynęli, a reszta robi sobie sjęstę.

- Właśnie tak żyje się na wyspie - zgodził się Scott.

- Nurkowałeś? - spytała z uśmiechem.

- Dałem się namówić na nocne nurkowanie z panem Ambuckle, zanim wrócił do Teksasu - powiedział, krzywiąc się. - Resztę urlopu zamierzam spędzić nad basenem.

- Nie wszyscy lubią nurkować.

- Racja - przytaknął, napił się ze swojego kubeczka i oparł niedbale o ladę.

- Może umówisz się ze mną na kolację? Wszyscy jadają kolacje.

Liz uniosła lekko brwi. Była nieco zaskoczona, ale zachowanie Amerykanina jej pochlebiało.

- Rzadko jadam poza domem - powiedziała.

- Lubię domową kuchnię.

- Panie Trydent...

- Scott, zapomniałaś?

- Scott, dziękuję za propozycję, ale... spotykam się z kimś - dodała po chwili namysłu.

- Czy to coś poważnego? - zapytał i przykrył jej dłoń swoją.

- Jestem poważną osobą - odparła, nie wiedząc, czy się zaśmiać, czy obrazić i cofnęła rękę.

- Cóż - westchnął, napił się ze swojego kubka i popatrzył na nią spod oka.

- W takim razie pozostaniemy przy interesach. Może mi wyjaśnisz, na czym polega nurkowanie z fajką?

- Jeśli umiesz pływać, to umiesz też pływać z maską i fajką - odparła, wzruszając ramionami.

- Powiedzmy, że jestem ostrożny. Pozwolisz mi obejrzeć ten sprzęt?

- Oczywiście, zapraszam - zgodziła się z uśmiechem. - Cały ekwipunek składa się z maski i rurki z ustnikiem - wyjaśniła. - Wkładasz tę część między zęby i normalnie oddychasz przez usta. Maskę ma zaczep, żeby umocować w nim fajkę. Masz wolne ręce i możesz bez problemu unosić się na powierzchni wody, swobodnie obserwując rafę pod sobą.

- Dobra, a co dzieje się, gdy rurki nagle znikają pod wodą? - spytał podejrzliwie.

- Jeśli chcesz zejść niżej, wstrzymujesz oddech i wydychasz nieco powietrza z płuc. Cała rzecz polega na przedmuchaniu fajki, gdy tylko się wynurzysz. Potem znów oddychasz ustami.

Scott wziął komplet z rąk Liz i zaczął mu się uważnie przyglądać.

- Sporo jest do obejrzenia pod wodą, prawda?

- Cały morski świat.

- Pewnie wiesz wszystko o okolicznych rafach - popatrzył jej w oczy. - A jak jest z Isla Mujeres?

- Przy tej wyspie są wspaniałe rafy. Można nurkować z całym sprzętem albo pływać w masce i z fajką. Mamy wycieczki całodzienne i na pół dnia. Jeśli jesteś żądny przygód, są tam jaskinie, do których można wpłynąć.

- Muszą ciekawie wyglądać w nocy - powiedział i popatrzył na Liz dziwnym wzrokiem. - Pewnie można tam pływać i nikogo nie spotkać.

W umyśle Liz błysnęło alarmowe światełko. Odwróciła się i odszukała wzrokiem policjanta, który udawał plażowicza tuż obok wejścia do wypożyczalni. Odegnęła obawy.

- To nie jest bezpieczne miejsce do nocnego nurkowania.

- Niektórzy lubią ryzyko, szczególnie jeśli przynosi duży zysk.

- Możliwe, ale ja do nich nie należę - odparła ze ściśniętym gardłem i dopiero w tym momencie naprawdę zaczęła coś podejrzewać.

- Nie? - zdziwił się mężczyzna, a jego uśmiech nagle stał się drapieżny.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

- Sądzę, że masz - powiedział i ścisnął ramię dziewczyny. - Dobrze wiesz, o czym mówię. To, co zabrał Jerry i ukrył w banku w Acapulco, to była niezła kupa szmalu - dodał ściszone głosem. - Ale można zarobić jeszcze więcej. Nie mówił ci?

- Nic mi nie mówił - odparła, wspominając dotyk noża na swej szyi. - Nic nie wiem - powtórzyła i chciała uciec, ale jej nie pozwolił. - Jeśli krzyknę, w mgnieniu oka zleci się tu tłum ludzi - wydusiła, siląc się na spokój.

- Nie musisz krzyżeć - stwierdził, ale cofnął ręce. - To rozmowa o interesach. Chcę tylko się dowiedzieć, jak dużo powiedział ci Jerry, zanim naraził się pewnym osobom.

Gdy Liz zauważyła, że jej dłonie drżą, zmusiła się do zachowania spokoju. Nie pozwoli się zastraszyć. Zresztą, jaką broń może mieć przy sobie ten mężczyzna, skoro ma jedynie krótkie spodenki? Wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- Jerry nic mi nie powiedział. Ja naprawdę nic nie wiem. To samo usłyszał ode mnie twój przyjaciel, który najpierw groził mi nożem, a potem zepsuł wskaźniki przy sprzęcie do nurkowania.

- Mój partner nie jest zbyt finezyjny. - Scott wzruszył ramionami. - Ja nie noszę noży i nie znam się na wskaźnikach na tyle, by je niepostrzeżenie zepsuć. Jedyłą moją bronią jest informacja. A o tobie wiem całkiem sporo. Pracujesz ciężko od świtu do nocy, a ja chcę ci pokazać, że masz wybór. Interesy, Liz. Porozmawiajmy o interesach.

- Nie jestem Jerry'ym ani Eriką. Nic nie wiem o tych szemranych interesach, ale za to policja już sporo wie. Owszem, postraszyliście mnie nożem i zepsutym sprzętem, ale to nie powstrzyma mnie przed posłaniem was wszystkich do diabła! A teraz wynoś się z mojego sklepu i zostaw mnie w spokoju!

- Źle mnie zrozumiałaś, Liz. Naprawdę chcę porozmawiać o interesach. Od kiedy zabrakło Jerry'ego, przydałby się nam doświadczony nurek, który zna okoliczne wody. Jestem upoważniony do zaproponowania ci pięciu tysięcy dolarów. Pięć kawałków za to, co robisz najlepiej. Za nurkowanie. Płyniesz do jaskini, zostawiasz paczkę i bierzesz inną. Żadnych nazwisk, żadnych

twarzy. Przynosisz ją do mnie nienaruszoną i bierzesz swoje pieniądze. Raz, czy dwa razy w tygodniu i za chwilę będziesz mogła uwić sobie uroczne gniazdko. Pieniądze z pewnością przydadzą się kobiecie, która samotnie wychowuje dziecko.

Liz poczuła, że jej strach zamienia się we wściekłość. Zacisnęła dłonie w pięści.

- Powiedziałam, żebyś się wynosił - powtórzyła. - Nie chcę twoich brudnych pieniędzy.

- Przemyśl to jeszcze - poradził z uśmiechem i pogładził ją po policzku. - Będę w pobliżu.

Liz starała się uspokoić. Zebrała się w sobie i podeszła do policjanta.

- Idę do domu - oznajmiła. - Proszę zawiadomić kapitana Moralasa, żeby przyjechał do mnie za pół godziny - dodała i odeszła, nie czekając na odpowiedź.

Piętnaście minut później Liz wpadła do domu. Jazda wcale jej nie uspokoiła. Uświadomiła sobie, że na każdym kroku spotyka ją przemoc. Więcej nie zniosę, pomyślała. Może poradziłaby sobie z następną groźbą czy żądaniem. Ale zaproponowali jej pracę! Chcieli płacić jej za szmuglowanie kokainy i zajęcie miejsca poprzedniego nurka, który został zamordowany. A to przecież było zajęcie brata Jonasa! Tym zajmował się Jerry!

To jakiś koszmar, pomyślała, chodząc od okna do drzwi. Szkoda, że nie można się z niego obudzić. Liz była gotowa zrobić wszystko, aby jej córka mogła bezpiecznie przyjechać na wyspę.

Usłyszała zbliżający się samochód i podeszła do okna. To Jonas, pomyślała. Czy powinna powiedzieć mu o spotkaniu z mężczyzną, który mógł być zabójcą jego brata? Jeśli pozna jego nazwisko, będzie się mścił? A jeśli już to zrobi, po co przyjechał, czy koszmar wreszcie się skończy? Zemsta i przemoc mogą zatruć duszę Jonasa na zawsze. Co powinna zrobić, żeby ocalić jego i siebie?

Nie знаła jeszcze odpowiedzi na te pytania. Otworzyła Jonasowi drzwi. Od razu domyślił się, że coś nie jest w porządku.

- Co robisz w domu? Sklep był zamknięty.

- Jonas - szepnęła i przytuliła się do niego. - Moralas już tu jedzie.

- Co się stało? - spytał przestraszony.

- Wejdz i usiądź.

- Liz, chcę wiedzieć, czy nic ci się nie stało.

- Przyjechał Moralas - mruknęła, gdy usłyszała, że pod domem zatrzymał się samochód. - Jonas, wejdź do środka. Wolę opowiedzieć to wszystko tylko jeden raz.

Podjęła decyzję. Poda im nazwisko mężczyzny, który zaproponował jej przemyt narkotyków. Powtórzy jego słowa. Dzięki temu odsunie się od śledztwa. Będą mieli przestępcę, miejsce spotkania i motyw. Tego potrzebowała i policja, i Jonas. Wiedziała, że gdy Jonas pozna nazwisko zabójcy brata, rozwiąże swoje problemy i nie będzie musiał dłużej zostawać na Cozumel.

Moralas wszedł, przywitał się, zdjął kapelusz i popatrzył wyczekująco na Liz.

- Kapitanie, mam dla pana ważne informacje. Pewien człowiek, Amerykanin, Scott Trydent, godzinę temu w moim sklepie „Czarny Koral” zaproponował mi pięć tysięcy dolarów za przeszmugłowanie narkotyków na rafę w pobliżu Isla Mujeres.

Moralas nawet nie zmienił wyrazu twarzy.

- Czy miała pani wcześniej jakieś kontakty z tym człowiekiem?

- Wziął raz udział w lekcji nurkowania. Był nawet dość miły. A dziś przyszedł do sklepu, żeby ze mną porozmawiać. Najwyraźniej sądził, że ja...
- urwała i spojrzała na Jonasa, który nie odezwał się nawet słowem. - Sądził, że Jerry opowiedział mi o całym przedsięwzięciu. Wiedział o skrytce bankowej, wiedział o wszystkim, co robiłam w ostatnim czasie - dodała drżącym głosem. - Powiedział, że mogę zająć miejsce Jerry' ego, zrobić parę kursów i szybko się wzbogacić. Wiedział nawet o mojej córce! - dokończyła zdenerwowana.

- Zidentyfikuje go pani?

- Tak. Nie wiem, czy to on zabił Jerry' ego... - zawahała się i znów spojrzała na Jonasa.

- Proszę usiąść, panno Palmer - powiedział Moralas, przyglądając się ich wymianie spojrzeń.

- Aresztuje go pan? To przemytnik. Z pewnością zna też prawdę o śmierci Jerry' ego. Musi go pan natychmiast aresztować!

- Panno Palmer - zaczął Moralas, podprowadził ją do sofy i usiadł obok niej. - Mamy nazwiska, znamy twarze. Szajka przemytników z półwyspu Yucatan jest pod obserwacją zarówno policji meksykańskiej, jak

i amerykańskiej. Nazwiska, które mi podaliście, nie są mi obce. Ale jest coś, czego nie mamy. Nic nie wiemy o organizatorze przemytu, o tym, kto zlecił morderstwo Jeremiaha Sharpe' a. To jego nazwiska potrzebujemy. Bez niego złapiemy same płotki. Potrzebne nam jest jego nazwisko, panno Palmer, nazwisko i dowód rzeczowy.

- Nie rozumiem. Czy to znaczy, że Trydent zostanie na wolności? Przecież znajdzie sobie innego nurka, który przyjmie jego ofertę!

- Nie będzie musiał szukać nikogo innego, jeśli pani się zgodzi.

- Nie! - wtrącił kategorycznym tonem Jonas. - Do diabła z twoją propozycją, Moralas!

- Panna Palmer sama może mi to powiedzieć.

- Nie pozwolę ci jej wykorzystać. Ani narażać na takie niebezpieczeństwo. Jeśli potrzebujesz kogoś, kto zna właściwych ludzi i potrafi nurkować, ja podejmę się tego zadania.

Jonas spokojnie palił papierosa i tylko wyraz jego oczu i zaciśnięte szczęki świadczyły o jego zdenerwowaniu. Gdyby Moralas miał jakiś wybór, bez wahania przyjąłby jego propozycję.

- Niestety, to nie do pana zwrócono się w tej sprawie.

- Liz tego nie robi.

- Chwileczkę - odezwała się, masując skronie. - Czy ja dobrze rozumiem? Mam znów spotkać się z Trydentem i przyjąć tę pracę? To szaleństwo! Chyba, że tkwi w tym jakiś podstęp...

- Owszem. Pani będzie naszą przynętą - wyjaśnił Moralas. - Nie chcemy, żeby szajka nagle zmieniła miejsce przemytu. A pani jest kluczem do wszystkiego, tak dla policji, jak i przestępców. Jerry Sharpe pracował i mieszkał u pani. Był znany ze swej słabości do kobiet. Nikt nie jest do końca pewien, jaką gra pani rolę. Teraz zatrzymał się w pani domu brat zmarłego. I, oczywiście, to pani odkryła kluczyk do bankowego depozytu.

- Podejrzenie o współudział, kapitanie? - spytała ironicznie i zamyśliła się na chwilę. - Czy dotąd byłam pod ochroną, czy raczej pod obserwacją policji?

- Jedno i drugie służyłoby temu samemu celowi - odparł Moralas bez mrugnięcia okiem.

- Skoro mnie podejrzewacie, to czy nie przyszło wam do głowy, że wezmę pieniądze i po prostu zniknę?

- Właśnie o to nam chodzi.

- Sprytne - stwierdził z przekąsem Jonas, z trudem pokonując chęć wyrzucenia policjanta za drzwi. - Liz ich zdradzi i sprowokuje szefa szajki do reakcji. A on spróbuje ją wyeliminować, tak jak mojego brata.

- Tylko że panna Palmer będzie pod stałą ochroną policji. Jeśli akcja się uda, przemytnicy zostaną złapani i ukarani. Jeżeli jednak panna Palmer nam odmówi, sprawa może ciągnąć się miesiącami - dodał, wzruszając ramionami.

- Zgadzam się - powiedziała Liz.

Jonas znalazł się przy niej jednym susem.

- Liz...

- Moja córka ma tu przyjechać za dwa tygodnie. Nie mam innego wyjścia - powiedziała łagodnie, wstała i położyła mu dłonie na ramionach.

- Wyjedź z nią gdzieś... - prosił. - Wyjedźmy gdzieś razem, dopóki wszystko na Cozumel nie wróci do normy.

- Uważasz, że uda ci się zapomnieć o śmierci brata? Nie chcesz już się dowiedzieć, kto zabił Jerry' ego? - spytała i zobaczyła, jak do jego oczu znów wkrada się śmiertelny chłód. - Nie sądzę - pokręciła głową. - Już kiedyś uciekłam i przyrzekłam sobie, że więcej tego nie zrobię. Musimy to zakończyć, Jonas.

- Możesz zginąć.

- Do tej pory nie zrobiłam nic, a już dwa razy próbowano mnie zabić - przypomniała i położyła głowę na jego piersi. - Pomóż mi, proszę.

Jonas toczył ze sobą walkę. Podziwiał Liz za jej siłę i upór. Mógłby się z nią kłócić, próbować przekonać, ale nie mógłby jej okłamać. Jeśli uciekną, nigdy nie będą wolni. Zmarszczył brwi i podjął decyzję.

- Włączam się do sprawy - oznajmił, patrząc Moralasowi prosto w oczy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Liz jeszcze nigdy w życiu tak się nie bała. Każdego dnia otwierając sklep „Czarny Koral” obawiała się wizyty Scotta. Każdego dnia, gdy go zamykała, szła do domu i czekała, aż Trydent zadzwoni. Jonas niewiele z nią rozmawiał. Nie wiedziała, co on robi, kiedy ona pracuje w sklepie, lecz podejrzewała, że planuje coś na własną rękę. Niestety, tego obawiała się najbardziej.

Liz rozglądała się wokół siebie i widziała roześmianych, odpoczywających ludzi i bawiące się radośnie dzieci. A ona była zdenerwowana i przygnębiona. Właśnie zamykała sklep i wyjmowała pieniądze z kasy, gdy nagle usłyszała za sobą męski głos.

- To jak będzie z naszą randką?

Liz myślała, że jest przygotowana na to spotkanie. A jednak natychmiast poczuła nieprzyjemne pulsowanie skroni i pustkę w żołądku. Opanowała się i spokojnie spojrzała na mężczyznę.

- Zastanawiałam się, kiedy wreszcie się zjawisz.

- Mówiłem, że będę w pobliżu. Sądzę, że ludzie często potrzebują czasu do namysłu, żeby podjąć właściwą decyzję.

Niespiesznie dokończyła zamykania sklepu i bez uśmiechu spojrzała na Scotta. Rozmowa o interesach powinna być krótka i sucha.

- Możemy tam pójść - wskazała kawiarnię na świeżym powietrzu. - To miejsce publiczne.

- Zgoda - skinął głową i podał jej ramię, lecz Liz zignorowała jego gest.

- Kiedyś byłaś miłsza.

- Bo kiedyś byłeś klientem mojej wypożyczalni, a nie partnerem w interesach - odparła, patrząc na niego z ukosa.

- A więc... - zaczął i rozejrzał się niespokojnie dookoła - przemyślałaś moją propozycję?

- Potrzebujecie nurka, a ja potrzebuję pieniędzy. - Wzruszyła ramionami i usiadła.

Po chwili przy stoliku obok usiadł starszy mężczyzna. Jeden z ludzi Moralasa, pomyślała Liz i odwróciła szybko wzrok. Wiedziała, że będzie

miała obstawę. Wiedziała, co i w jaki sposób ma powiedzieć. Wiedziała też, że kelner, który właśnie podał im zamówione drinki, nosi broń i odznakę.

- Jerry nie powiedział mi zbyt wiele - odezwała się po chwili. - Wiem, że nurkował dla was i dostawał za to pieniądze.

- Był dobrym nurkiem.

- Ja jestem lepsza - oznajmiła.

- Tak słyszałem - odparł z uśmiechem Scott i spojrzał na coś za plecami dziewczyny.

Liz podniosła wzrok i zamarła. Obok niej stał mężczyzna z dziobatą twarzą i srebrną plecioną bransoletką na ręku. Pozdrowił ją po hiszpańsku i z drwiącym uśmiechem sięgnął po jej dłoń.

- Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby trzymał ręce przy sobie - odezwał się Jonas, który nagle pojawił się przy ich stoliku. - Może przedstawiś nas sobie, Liz? - spytał, zajął wolne miejsce i przez chwilę patrzył na oniemiałą dziewczynę. - Nazywam się Jonas Sharpe. Liz i ja wszystko robimy razem - oznajmił i spojrzał na Mancheza. - Chyba znałeś mojego brata - stwierdził, patrząc mu prosto w oczy.

- Twój brat był chciwy i głupi - burknął Manchez i puścił rękę Liz.

- Ja też jestem chciwy - powiedział Jonas spokojnie. - Ale nie jestem głupi. Szukałem cię - oznajmił i z uśmiechem pochylił się, wyciągnął papierosy i poczęstował nimi Meksykanina.

Manchez wziął jednego i odłamał filtr. Liz zauważyła, że ręce mężczyzny, w przeciwieństwie do jego twarzy, są niemal piękne.

- No to znalazłeś.

- Potrzebujecie nurka - rzucił od niechcienia Jonas, zamawiając sobie piwo.

- Już mamy jednego - wtrącił się Scott, posyłając Manchezowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Macie zespół - poprawił go Jonas, wciąż się uśmiechając. - Zawsze pracujemy razem, prawda, Liz?

- Tak - skinęła głową, czując, że nie ma innego wyboru.

- Nie potrzebujemy zespołu! - zawołał Manchez i zerwał się z miejsca.

- Potrzebujecie nas - odparł Jonas, upił łyk piwa i zaciągnął się dymem z papierosa. - Wiemy o was całkiem sporo. Cóż, Jerry nie umiał zbyt długo dochować tajemnicy - dodał cicho. - Liz i ja potrafimy milczeć. To jak? Pięć tysięcy za każdą akcję?

- Pięc - Scott po chwili kiwnął głową i kazał Manchezowi usiąść. - Nie obchodzi mnie, jak się podzielicie.

- Pół na pół - wtrąciła Liz. - Jedno nurkuje, a drugie czeka na łodzi.

- Dobra, więc jutro o jedenastej. Przyjdiesz do sklepu. Na ladzie znajdziesz wodoodporną skrzynkę. Będzie zamknięta.

- Sklep też - przypomniała Liz. - Jak wobec tego skrzynka się w nim znajdzie?

- To żaden problem - oznajmił Manchez, a Liz poczuła, że po jej plecach przebiegł nieprzyjemny dreszcz.

- Po prostu weź skrzynkę - zniecierpliwił się Scott. - Instrukcje znajdziesz przy ręczce. Wypływacie, nurkujecie, zostawiacie skrzynkę i wracacie. Po godzinie znów schodzicie pod wodę. Bierzecie drugą skrzynkę i odnosicie ją do sklepu, to wszystko.

- To łatwe - uznał Jonas. - A zapłata?

- Po robocie.

- Połowa z góry - odezwała się nagle Liz i upiła łyk piwa ze szklanki Jonasa. - Zostawicie dwa i pół tysiąca razem z pierwszą skrzynką albo nic z tego.

- Nie jesteś tak ufna, jak Jerry - zauważył z uśmiechem Scott.

- I zamierzam żyć - oznajmiła twardo.

- Po prostu przestrzegaj zasad.

- Kto je ustanawia? - zapytał Jonas i położył dłoń na kolanie Liz.

- Nie twoja sprawa - warknął Manchez. - Ale on wie, kim jesteś.

- Postępujcie według instrukcji i pilnujcie czasu - poradził Scott, rzucił kilka banknotów na stół i wstał.

Jonas czekał, aż obaj mężczyźni oddalą się i spokojnie kończył swoje piwo.

- Nie powinieneś wtrącać się do tego spotkania! - syknęła rozzłoszczona Liz. - Moralas mówił...

- Do diabła z nim - warknął Jonas i zgniótł papierosa. - Czy to ten człowiek zostawił ci ślady noża na szyi? - spytał i wskazał oddalającego się Mancheza.

- Mówiłam, że nie widziałam jego twarzy - odparła Liz, z trudem powstrzymując się przed dotknięciem blizny na szyi.

- Czy to ten? - Jonas powtórzył pytanie, wpatrując się w nią lodowatym wzrokiem.

- Jonas, chcę, żeby to się wreszcie skończyło - odparła wymijająco. - Nie potrzebuję zemsty. Zgodziłeś się, że powinnam sama spotkać się ze Scottem i omówić szczegóły akcji.

- Zmieniłem zdanie - powiedział, wzruszając ramionami.

- Mogłeś wszystko zepsuć! Wcale nie chcę się w to mieszać, ale już na to za późno. Ale ty? Skąd pewność, że skoro się wmieszałeś, oni się nie wycofają?

- Bo potrzebują ciebie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Ja też. Zamierzałem cię wykorzystać, aby odnaleźć zabójcę Jerry' ego. Gdybym musiał ryzykować twoje życie, śledzić cię albo wszędzie ze sobą wlec, i tak zamierzałem to zrobić. Chciałem cię wykorzystać do swoich celów, tak jak teraz Moralas i cała reszta. Tak, jak i Jerry - wyrzucił z siebie i zamilkł.

- Czy teraz coś się zmieniło? - spytała Liz drżącym głosem.

Jonas patrzył w rozszerzone strachem i nadzieją oczy dziewczyny i milczał. Nie potrafił jeszcze odpowiedzieć na jej pytanie, więc po prostu ujął jej twarz w dłonie i pocałował.

- Nikt cię już nie skrzywdzi. A na pewno nie ja - wymruczał, gdy oderwał swoje wargi od jej ust.

To chyba najdłuższy dzień w moim życiu, myślała Liz, zerkając ciągle na zegarek. Ludzie Moralasa wmieszali się w tłum plażowiczów. Liz widziała, jak bardzo różnią się od radosnych, wypoczywających turystów i dziwiła się, że ktoś mógłby dać się nabrać na taki podstęp. Jej łodzie kursowały z wycieczkowiczami. Wypożyczano i płacono za sprzęt do nurkowania, a Liz marzyła, żeby ten dzień wreszcie się skończył. Lecz z drugiej strony liczyła na to, że noc wcale nie nadejdzie.

Tysiące razy myślała o tym, aby się wycofać. Tysiące razy nazywała siebie tchórzem. W końcu zrozumiała, że wcale nie chodzi o odwagę. Uciekłaby, gdyby mogła. Ale wiedziała, że skoro jej grozi niebezpieczeństwo, Faith także nie jest bezpieczna. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, jak co dzień zamknęła sklep. Zanim jednak zdążyła schować klucze do kieszeni, pojawił się Jonas.

- Jeszcze możesz zmienić zdanie.

- I co dalej? Ucieknę? - spytała i popatrzyła na złocistą plażę, błękit morza i zachodzące słońce. - Sam wiesz, że to nie jest żadne rozwiązanie.

- Liz...

- Nie chcę już o tym mówić. Po prostu muszę to zrobić.

Do domu wracali w zupełnej ciszy. Liz kolejny raz powtarzała w myślach etapy akcji. Miała normalnie zakończyć dzień pracy, dokonać wymiany skrzynek i oddać ostatnią w ręce policji, która będzie czekała w dokach. Potem zostanie już tylko oczekiwanie na reakcję przestępców. Zapewniano ją, że przez cały czas parę metrów od niej będzie jakiś ochroniarz. To jednak jej nie uspokajało.

Przed domem Liz spacerował młody człowiek z psem. Rozpoznała w nim jednego z ludzi Moralasa. Inny naprawiał huśtawkę sąsiadki. Spod jego kurtki wystawał pistolet. Liz starała się nie patrzeć na żadnego z nich.

- Teraz coś zjesz, napijesz się i pójdziesz spać - zarządził Jonas, gdy weszli do domu.

- Chyba tylko się położę.

- W takim razie najpierw drzemka, potem reszta - zdecydował, wszedł za nią do sypialni i opuścił rolety. - Może jednak mógłbym się na coś przydać? - spytał miękko.

- Czy mógłbyś położyć się ze mną na chwilę? - szepnęła Liz, skrępowana swą prośbą.

Jonas bez wahania ułożył się obok Liz.

- Zaśniesz?

- Chyba tak - odparła. - Jonas?

- Hm?

- Gdy to wszystko się skończy, położysz się tak ze mną jeszcze kiedyś?

W tej chwili Jonas niczego bardziej nie pragnął, niż wyznać jej swoją miłość. Wiedział jednak, że Liz nie jest jeszcze na to gotowa. Z czułością ucałował tylko czubek jej głowy.

- Zostanę z tobą, jak długo zechcesz - szepnął. - A teraz śpij.

Uspokojona Liz zamknęła oczy i pozwoliła odpłynąć myślom.

Skrzyneczka była dość mała i kształtem przypominała zwykłą teczkę. Nikt, kto by ją zobaczył, nie mógłby domyślić się jej niebezpiecznej zawartości. Liz zauważyła obok kopertę. Znalazła w niej karteczkę z zapisem długości i szerokości geograficznej oraz dwa i pół tysiąca dolarów zadatku.

- Dotrzymali swojej części umowy - powiedział Jonas.

- Skompletuję sprzęt - oznajmiła Liz i wepchnęła kopertę do szuflady.

- Jakie współrzędne? - spytał i zabrał ciężkie butle z rąk dziewczyny.

- Takie same, jak w notesie Jerry' ego - odparła i nie odezwała się więcej, dopóki nie znaleźli się na łodzi.

Przez cały czas mieli wrażenie, że ktoś ich obserwuje. Wiedzieli o policyjnej ochronie, ale Liz była pewna, że także Manchez jest gdzieś w pobliżu.

Wyprowadziła łódź z portu.

- Jonas, co zrobisz później?

- To, co będę musiał - odparł i zapalił papierosa.

Liz poczuła nieprzyjemny dreszcz, ale wiedziała, że powinna wyjaśnić sprawę do końca.

- Dziś dokonamy zamiany skrzynek i jedną oddamy Moralasowi. Szajka przemytników zostanie ujęta. Także Manchez i ten, kto wydaje rozkazy...

- O co ci chodzi, Liz?

- Manchez zabił twojego brata.

Jonas spojrzał na morze. Było zupełnie czarne. Na niebie nie było widać gwiazd. Ciszę zakłócał jedynie szum silnika.

- Tak, to on pociągnął za spust.

- Zabijesz go?

Jonas obrócił się do Liz. Zadała pytanie szeptem, ale w jej wzroku dostrzegł krzyk i błaganie.

- To nie ma z tobą nic wspólnego.

Jego słowa ją zabolowały. Skinęła głową.

- Może masz rację, ale jeśli pozwolisz, żeby kierowała tobą nienawiść i chęć zemsty, nigdy nie będziesz wolnym człowiekiem. Manchez będzie martwy, ale to i tak nie przywróci życia Jerry' emu.

- Nie po to przyjechałem i spędziłem tu tyle czasu, by pozwolić Manchezowi odejść wolno. On zabija dla pieniędzy i dlatego, że to lubi - dodał łamiącym się głosem. - To widać w jego oczach.

- Pamiętasz, jak powiedziałaś mi, że każdy ma prawo do adwokata? - spytała cicho. - Jerry nie żyje. Współczuję ci, Jonas. Ale jeśli postąpisz, jak zamierzasz, zabijesz coś w sobie - powiedziała, myśląc, że wtedy umrze też coś w niej samej. - Nie ufasz prawu?

- Już od lat gram w tę grę. To ostatnia rzecz, której mógłbym ufać - wyznał z goryczą i gwałtownie wyrzucił papierosa za burtę.

- Więc powinienesz zaufać sobie samemu. Ja ci zaufałam - wyznała.

Powoli podszedł do Liz i ujął jej twarz w dłonie. Chciał zrozumieć, co ona chce mu powiedzieć.

- Naprawdę?

- Tak.

Jonas pochylił się i pocałował ją w czoło. Pragnął rzucić to wszystko i odpłynąć stąd jak najprędzej. Wiedział jednak, że to nie rozwiąże ich problemów. Puścił Liz i wyciągnął spod jednej z ławek swój sprzęt do nurkowania. Zauważył, że dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Co robisz? Przecież nie możemy nurkować razem.

- Właśnie. Ty zostaniesz na łodzi.

- Plan był inny - przypomniała, starając się trzymać nerwy na wodzy.

- Zmieniłem go. Nie zgadzam się na tak wielkie ryzyko.

- To ja zgodziłam się je podjąć - odparła. - Jonas, nie znasz tych wód i nigdy nie pływałeś tu nocą.

- Zaraz nadrobisz to niedopatrzenie.

- Manchez i Trydent są przekonani, że to ja wyłowię skrzynkę.

- Chyba twoja reputacja na tym nie ucierpi, jeśli okaże się, że skłamałaś mordercom i handlarzom narkotyków.

- Jonas, nie mam nastroju do żarów - burknęła.

- Możliwe, że nie masz też nastroju do wysłuchania tego, co zamierzam ci powiedzieć - zaczął poważnym tonem, przypasał nóż, założył pas balastowy i sięgnął po maskę. - Ale zależy mi na tobie, do diabła! - krzyknął i zmusił ją, aby spojrzała mu w oczy. - Mój brat wciągnął cię w to bagno, bo nigdy nie myślał o nikim innym oprócz siebie. Ja popchnąłem cię jeszcze głębiej, bo myślałem jedynie o zemście. Teraz myślę o tobie, o nas. Nie pozwolę ci zanurkować, nawet gdybym musiał cię związać.

- Nie chcę, żebyś nurkował! - zawołała. - Pod wodą myślałabym tylko o wykonaniu zadania, a na łodzi zamartwię się na śmierć. Nie jestem przyzwyczajona, aby ktoś o mnie dbał i wykonywał moje obowiązki - szepnęła bezradnie.

- Najwyższa pora zacząć to ćwiczyć - odparł z uśmiechem.

- Kieruj się na północny wschód - powiedziała zrezygnowana. - Jaskinia leży na głębokości dwudziestu pięciu metrów. Uważaj na rekiny - przestrzegła, podając mu niewielką kuszę.

Jonas przechylił się przez burtę, wziął z jej rąk skrzyneczkę i zniknął w głębinach.

Nocą te wody nie były bezpieczne. Liz starała się zapomnieć, że rekiny, barakudy i mureny wypłynęły właśnie na żer. Powinnam była sama zejść pod wodę, wyrzucała sobie w duchu. Czy tak właśnie wygląda życie kobiet, które mają swojego mężczyznę? Muszą siedzieć beczynnym i czekać? Cztery razy spoglądała na zegarek, zanim usłyszała, że Jonas się wynurza. Podbiegła do drabinki, by pomóc mu wejść na pokład.

- Następnym razem ja nurkuję.

- Nie ma mowy - odparł, zdjął butlę i przyciągnął Liz do siebie. - Mamy godzinę. Czy chcesz ją spędzić na kłótniach? - szepnął prosto w jej ucho.

- Nie znoszę, gdy ktoś mną rządzi - westchnęła.

- Następnym razem ty będziesz mogła rozstawiać mnie po kątach - obiecał i pociągnął ją za sobą na ławkę. - Już zapomniałem, jak cudownie jest nocą pod wodą. Widziałem ogromną kałamarnicę. Chyba wystraszyłem ją na śmierć światłem latarki - zaśmiał się.

Liz odprężała się powoli. Oparła głowę na ramieniu Jonasa i spojrzała w niebo. Chmury znikły i setki gwiazd rozjaśniły mroki nocy. Siedziała ze swoim mężczyzną i rozmawiała z nim o zwykłych rzeczach.

- Opowiedz mi o Faith - poprosił Jonas w pewnej chwili.

- Lepiej mnie nie kuś. Jak zacznę, nie mogę skończyć - zaśmiała się cichutko.

- Proszę, naprawdę chcę o niej posłuchać.

Liz zaczęła mówić o roześmianej dziewczynce, która uwielbia chodzić do szkoły, bo jest tam wielu ludzi i stale uczy się czegoś nowego. Jonas dowiedział się, że mała dziewczynka ze zdjęcia umie mówić w dwóch językach, uwielbia biegać i nie znosi warzyw. W głosie matki słychać było czułość i dumę.

- Zawsze była słodka - rozczuliła się Liz. - Ale nie jest aniołkiem. Jest uparta i zdarzają się jej wybuchy złości. Lubi wszystko robić sama. Gdy miała dwa latka, rozzłościła się, bo chciałam jej pomóc zejść ze schodów.

- Niezależność i samodzielność to wasze cechy rodzinne.

- Są nam bardzo potrzebne - Liz spoważniała.

- Nigdy nie myślałaś o dzieleniu z kimś swojej odpowiedzialności?

- Wtedy trzeba ustępować i rezygnować z wielu rzeczy - odparła i lekko zeszywniała. - Ja nie umiem tego robić.

Jonas spodziewał się takiej odpowiedzi. Zamierzał wkrótce zmienić jej poglądy.

- Pora znów zanurkować - powiedział, zmieniając temat.
- Weź kuszę - poprosiła i pomogła mu zapiąć butlę. - Jonas... wracaj szybko - szepnęła. - Chcę już wracać do domu i móc się z tobą kochać.
- Świetna pora na takie wyznania - roześmiał się i zanurzył w chłodnej wodzie.

Po chwili Liz zaczęła nerwowo spacerować po pokładzie. Dlaczego nie pomyślała o zabraniu kawy w termosie? Jonas będzie zmarznięty, gdy się wynurzy, mógłby się rozgrzać. Ale to nic. Już niedługo będą w domu. Może nie miała racji, broniąc się przed miłością? Może piękno związku polega właśnie na troszczeniu się o drugą osobę? Może powinna...

Nagle usłyszała przy burcie plusk wody. Natychmiast podbiegła do drabinki.

- Jonas, co się... - urwała, patrząc wprost w lufę pistoletu.
- *Buenas noches* - Manchez przywitał się ironicznie i wciąż mierząc do niej, wdrapał się na pokład.

- Co tu robisz? - spytała, starając się opanować.
- Jesteś amatorką, tak samo jak Jerry Sharpe - odparł z pogardą Meksykanin. - Myślisz, że możemy zapomnieć o forsie?

- Nic nie wiem o pieniądzach, które wziął Jerry. Już ci to mówiłam.
- Szef kazał się tobą zająć, paniusiu. Ty robisz nam przysługę i dostarczasz skrzynkę. My też zrobimy coś dla ciebie. Szybko zginiesz.

Liz za wszelką cenę musiała przedłużyć tę rozmowę. Starła się nie patrzeć na wycelowaną w nią broń.

- Jeśli będziecie zabijać swoich nurków w tym tempie, szybko wypadniecie z interesu.

- I tak skończyliśmy już na Cozumel. Kiedy twój przyjaciel wydobędzie skrzynkę, zabiorę ją na jakąś miłą wyspę i zacznę rajskie życie. Ale ty tego nie dożyjesz.

- Skoro znikacie z Cozumel, po co urządziliście jeszcze jedną akcję? - wypytywała Liz, za wszelką cenę chcąc zyskać na czasie.

- Clancy lubi załatwiać swoje sprawy do końca.
- Clancy? - Liz pamiętała, że to imię wymienił David Merriworth w czasie spotkania w Acapulco.

- W skrzynce, którą ukryliście na dnie, jest kokaina warta kilka tysięcy. W tej, którą zaraz wyłowi twój kochaś, są pieniądze. Szef uznał, że ta drobna

inwestycja się opłaci. Będzie wyglądało, że robiłaś z Sharpem interesy, coś poszło nie tak i pozabijaliście się nawzajem. Sprawa zamknięta.

- To ty zabiłaś Erikę, prawda? - spytała Liz i zerknęła w stronę wody.

- Zadawała za dużo pytań - warknął i wycelował broń. - Tak jak ty.

Nagle jasne światło zalało łódź i odwróciło na chwilę uwagę Mancheza. Zanim Liz zdążyła pomyśleć, skoczyła za burtę i zanurkowała. Musiała ostrzec Jonasa. Płynęła coraz głębiej, a światło ślizgało się po powierzchni nad jej głową. Nie miała maski, butli ani żadnej osłony. Ale Jonas nic nie wiedział o niebezpieczeństwie i zaraz miał się wynurzać. Musi do niego dotrzeć, choć już czuje, że brakuje jej powietrza. Liz zataczała kręgi pod dnem łodzi. Nagle zauważyła błysk latarki Jonasa.

On też dostrzegł Liz. Zanim zdążył pomyśleć, podpłynął do niej i podał jej ustnik. Wyczuł jej strach. Po chwili oboje ostrożnie się wynurzyli.

- Pan Sharpe - wesolo odezwał się Moralas. - Wszystko jest pod kontrolą - oznajmił, wskazując dwóch nurków, którzy zakładali Manchezowi kajdanki. - Może zechcielibyście odstawić nas na brzeg?

Liz widziała, że Jonas jest spięty. Jego oczy płonęły. Kusza była wycelowana prosto w serce Meksykanina.

- Jonas, proszę... - zaczęła, lecz on odwrócił się i zaczął sprawnie wspinać się na pokład. - Jonas, nie możesz tego zrobić. Już po wszystkim - szeptała, wspinając się za nim.

Ale on nie słyszał jej prośb. Utkwił zimne spojrzenie w Manchezie. Jerry nie żył, a przed nim stał człowiek odpowiedzialny za jego śmierć. Ale bratu nic już nie pomoże. Jonas po chwili wahania opuścił kuszę.

- Niedługo wyjdę na wolność - zaśmiał się Meksykanin, odrzucając głowę do tyłu. - Już niedługo.

Jonas poderwał kuszę i strzelił. Strzała utkwiała w pokładzie, między stopami mordercy. Śmiech zamarł na ustach Mancheza.

- Będę na ciebie czekał - odparł Jonas lodowato.

Czy to naprawdę już koniec? Liz myślała tylko o tym, gdy przebudziła się następnego ranka. Była bezpieczna, Jonas też, a szajka przemytników została rozbita. Oczywiście Jonas wściekł się, gdy zrozumiał, że Manchez był śledzony, oni sami też byli śledzeni, a policja wkroczyła do akcji dopiero wtedy, gdy bandyta zagroził Liz.

Ale w końcu dopiął swego, pomyślała. Morderca jego brata trafił za kratki. Miała nadzieję, że to jemu wystarczy. Przekręciła się na drugi bok i przytuliła do Jonasa.

- Zostańmy tu do południa - poprosił, przyciągając ją blisko siebie.
- Wiesz, że mam...
- Pracę - dokończył za nią.
- Właśnie - przytaknęła. - I po raz pierwszy od długiego czasu mogę przestać oglądać się przez ramię. Nareszcie jestem szczęśliwa - odetchnęła z ulgą i objęła go za szyję.
- Taka szczęśliwa, że mogłabyś za mnie wyjść?
- Co? - zaskoczona Liz odsunęła się nieco od Jonasa.
- Poślubić mnie, pojechać ze mną do domu i zacząć nowe życie.
- Nie mogę - szepnęła.
- Dlaczego? - spytał.
- Jonas, jesteście zupełnie inni i każde z nas ma własne życie.
- Już od dawna żyjemy razem.
- Ale to się skończy, gdy wrócisz do Filadelfii. Za kilka tygodni nawet nie będziesz pamiętał, jak wyglądam.
- Dlaczego to robisz? - spytał z wyrzutem. - Czemu nie możesz po prostu przyjąć tego, co ci chcę dać? Kocham cię.
- Nie - szepnęła Liz i zacisnęła powieki. - Nie mów mi tego.
- Będę to powtarzał, aż wreszcie uwierzysz. Czy myślisz, że do tej pory tylko bawiłem się tobą? Czy nie czujesz tego, co jest między nami?
- Już kiedyś myślałam, że coś czuję do innego mężczyzny.
- Wtedy byłaś dzieckiem! - zawołał rozgniewany. - Pod pewnymi względami wciąż nim jesteś. Ale wiem, co czujesz, gdy jesteś ze mną. Nie jestem duchem z przeszłości ani wspomnieniem. Jestem mężczyzną z krwi i kości i pragnę cię.
- Boję się, Jonas - szepnęła. - Boję się ciebie, bo sprawiasz, że pragnę rzeczy niemożliwych. Nie poślubię cię, bo nie chcę już ryzykować. Teraz nie chodzi tylko o mnie. Nie jestem sama. Jest jeszcze Faith. Puść mnie, proszę.
- To jeszcze nie koniec - powiedział, pozwolił jej wstać i sam stanął obok niej.
- Pozwól mi cieszyć się tymi ostatnimi dniami, które nam zostały - poprosiła Liz i oparła głowę na jego ramieniu.

Jonas uniósł jej podbródek i zajął w oczy. Wyczytał w nich jej prawdziwe uczucia. Skoro przekonał się, że się nie mylił, mógł jeszcze poczekać.

- Nie miałem do czynienia z kimś równie upartym, jak ty - powiedział i pogładził ją po włosach. - Ubieraj się. Odwiozę cię do pracy.

Liz nieco się odprężyła. Cieszyła się, że Jonas przestał nalegać. Więzy, która ich łączyła, była teraz dość silna, bo łączyły ich niezwykle wydarzenia. Wierzyła, że zależy mu na niej, lecz była przekonana, że Jonas myli to uczucie z miłością. Za jakiś czas będzie jej wdzięczny, że nie przyjęła jego propozycji. Kochała go na tyle, aby mieć siłę go odepchnąć. Ale do końca życia będzie o nim pamiętała.

- Co zamierzasz dziś robić? - spytała, gdy znaleźli się pod sklepem.

- Zamierzam siedzieć na słońcu i nie zajmować się niczym.

- Niczym? - Liz gwałtownie się zatrzymała. - Przez cały dzień?

- Wiesz, kiedy człowiek niczym się nie zajmuje, to się nazywa odpoczynek. A kiedy robi to parę dni z rzędu, nazywamy to urlopem - żartował.

- Jeśli się znudzisz, zawsze możesz dołączyć do którejś z naszych wycieczek.

- Chyba na jakiś czas mam dość nurkowania - powiedział i usiadł na krzeselku przed sklepem Liz.

- O, Miguel! A gdzie Luis? - spytała Liz, rozglądając się za swoim stałym pracownikiem.

- Szukuje jedną z łodzi, a ja zostałem w sklepie. Aha! Byli jacyś ludzie i pytali o łódź dla wędkarzy. Są teraz na pomoście.

- Dobrze. Idź pomóc Luisowi, a ja się tu wszystkim zajmę - zdecydowała.

- Czy mógłbyś przez chwilę popilnować sklepu, a ja się dowiem, o co chodzi? - zwróciła się do Jonasa, gdy chłopak odszedł.

- A ile płacisz za godzinę? - spytał i poprawił okulary przeciwsłoneczne.

- Mogłabym przygotować dziś kolację - żartobliwie targowała się Liz.

- Zgoda - powiedział, wstając. - Nie musisz się spieszyć - dodał.

Liz roześmiała się i ruszyła w stronę „Expatriate”, przy której kręcili się dwaj mężczyźni. Chętnie popłynęłaby z wędkarzami.

- *Buenos dis* - przywitała się i rozpoznała jednego z nich. - Pan Ambuckle!
- ucieszyła się. - Nie wiedziałam, że jest pan jeszcze na wyspie.

- Tak i mam chętkę na małą wycieczkę - odparł, poklepując jej dłoń.

- Mała wycieczka to świetny pomysł, prawda, Clancy? - odezwał się drugi mężczyzna i uniósł rondo słomkowego kapelusza.

Liz rozpoznała Scotta Trydenta i uczyniła ruch, jakby chciała uciec, jednak Ambuckle był szybszy i złapał ją za ramię.

- Nie odwracaj się, złotko. Teraz grzecznie wsiądziesz na łódkę i trochę sobie pogadamy - powiedział syczącym szeptem.

- Jak długo używaliście mojego sklepu do przemytu narkotyków? - spytała oburzona, lecz powstrzymała się od zawołania Jonasa, bo Scott odchylił poję koszuli i pokazał jej, że ma broń.

- Już od kilku lat - roześmiał się Ambuckle. - Rewelacyjna lokalizacja!

- To ty jesteś szefem tej mafii narkotykowej. To ciebie szuka policja! - zrozumiała nagle.

- Jestem człowiekiem interesu - odparł z uśmiechem. - Wskakuj na pokład, panienko.

- Policja nas obserwuje - powiedziała Liz.

- Nie sędzę, mają przecież Mancheza - odparł, kręcąc głową. - Gdyby nie spróbował nas wykiwać, cała operacja przebiegłaby sprawnie.

- Wykiwać?

- Właśnie - potwierdził Scott i popchnął ją w stronę łodzi. - Manchez uznał, że lepiej zarobi jako wolny strzelec.

- A skoro pan Trydent odkrył jego zdradę i doniósł mi o tym, od razu otrzymał awans i stanowisko Mancheza. Widzisz? - zwrócił się do Liz. - W mojej organizacji panuje zdrowa konkurencja.

- To ty kazałeś zabić Jerry' ego! - zawołała Liz, patrząc na człowieka, z którym tak często miło gawędziła, gdy wypożyczał u niej sprzęt do nurkowania.

- Zwinął mi masę szmalu - oznajmił Ambuckle i poczerwieniał ze złości. - Kazałem Manchezowi zająć się nim. Potem zacząłem rozważać twoją kandydaturę, ale łatwiej było używać sklepu bez twojej wiedzy. A tak między nami, moja żona wprost cię uwielbia. Będzie zrozpaczona, gdy się dowie, że zginęłaś w wypadku.

- Czy ona wie, że zabijasz ludzi i szmuglujesz narkotyki? - spytała Liz.

- Skądże! Nie mieszam pracy i spraw osobistych. Poczciwa kobieta nie odróżniłaby kokainy od cukru pudru. Poza tym jest przekonana, że udało nam się trafić na świetnego maklera giełdowego i stąd mamy pieniądze.

A teraz dość gadania. Popłyniemy na wycieczkę i pogadamy sobie o trzystu tysiącach, które ukradł nasz przyjaciel Jerry. Scott, odcumuj łódź!

- Nie! - zawołała Liz i chciała zeskoczyć z łodzi, lecz Ambuckle znów ją pochwycił.

- Chciałem uniknąć kłopotów - powiedział, kręcąc głową. - Wiesz, kiedy przestawiałem twoje wskaźniki, myślałem, że wreszcie dasz spokój i się wycofasz. Miałem do ciebie słabość, złotko, ale cóż, interesy mają pierwszeństwo - westchnął i spojrzał na Scotta. - Skoro zająłeś stanowisko Mancheza, do ciebie należy rozwiązanie naszego kłopotu - wskazał na Liz.

- Oczywiście - oznajmił Trydent, sięgnął po broń i wycelował ją w dziewczynę.

Liz westchnęła cicho i zamknęła oczy.

- Jesteś aresztowany - usłyszała. - Masz prawo zachować milczenie...

Otworzyła oczy i zobaczyła, że Scott wymierzył broń w Ambuckle' a, a w drugiej dłoni trzyma policyjną odznakę. To było zbyt wiele dla Liz. Zasłoniła oczy dłońmi i rozplakała się.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Chcę wiedzieć, co się tu dzieje, do diabła! - grzmiał Jonas w gabinecie Moralasa.

- Może wyjaśnię powinien udzielić pański rodak - powiedział Moralaś, sadowiać się wygodnie za swoim biurkiem.

- Agent specjalny Donald Scott - przedstawił się człowiek, którego znali jako Scotta Trydenta. - Proszę wybaczyć ten mały podstęp - zaczął, zadowolony z udanej akcji, i spojrzał na Jonasa.

Po minie mężczyzny poznał, że wyjaśnienia nie pójdą tak gładko, jak oczekiwał. Zawsze jednak uważał, że cel uświęca środki, więc nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia.

- Ścigam tego skurczybyka już od trzech lat - podjął przerwany wątek i upił łyk kawy. - Dwa lata starałem się wsiąknąć w organizację przemytników. Gdy mi się to w końcu udało, nie miałem dostępu do jej szefa. Był bardzo ostrożny. Przez kilka ostatnich miesięcy pracowałem z Manchemem jako Scott Trydent. Byłem najbliższym Ambuckle' a, jak się dało. To zmieniło się dopiero dwa dni temu.

- Wykorzystałeś ją. Wciągnąłeś w środek tego bagna - warknął Jonas, patrząc na agenta.

- Tak. Chodziło o to, że nikt nie wiedział, jak głęboko Liz jest zamieszana w tę sprawę. Wiedzieliśmy o jej sklepie. Wiedzieliśmy, że jest doskonałym nurkiem. Przez pewien czas panna Palmer była naszą główną podejrzaną.

- Byłam główną podejrzaną? - powtórzyła Liz i poczuła ukłucie gniewu.

- Opuściłaś Stany dziesięć lat temu i nigdy już tam nie wróciłaś. Mogłaś nawiązać odpowiednie kontakty i miałaś warunki, aby kierować grupą przestępczą. Przez większość roku trzymasz córkę z dala od wyspy - wyliczał agent.

- To moja sprawa.

- Wiemy o tobie niemal wszystko. Liczył się każdy drobiazg. Kiedy przyjąłś Jerry' ego pod swój dach i dałaś mu pracę, jeszcze bardziej utwierdziliśmy się w swoim przekonaniu. On uważał inaczej, ale nie współpracowaliśmy z nim dla jego opinii.

- Współpracowaliście z nim? - spytał zaszokowany Jonas.

- Skontaktowałem się z Jerryem w Nowym Orleanie. O nim także wiedzieliśmy niemal wszystko. Był drobnym oszustem i kombinatorem, ale miał swój styl - wyjaśnił Donald Scott i przyjrzał się uważnie Jonasowi. - Zawarliśmy z nim pewien układ. Jeśli udałoby mu się przeniknąć do szajki i przekazywać nam informacje, bylibyśmy skłonni zapomnieć o pewnych jego... wybrykach. Lubilem twojego brata - powiedział. - Naprawdę go lubilem. Gdyby ustatkował się choć trochę, mógł być wspaniałym agentem.

- Chcesz powiedzieć, że Jerry dla was pracował? - upewnił się Jonas i poczuł, że jego wspomnienia o bracie przestają być tak bardzo bolesne.

- Tak. - Agent skinął głową i sięgnął po papierosa.

- Ale co się w takim razie naprawdę wydarzyło?

- Jerry umiał sprawić, że nawet najpaskudniejsze rzeczy stawały się znośne. Nie umiał jednak słuchać rozkazów. Chciał błyskawicznie osiągnąć sukces i naciskał zbyt mocno. Kiedyś powiedział mi, że chce udowodnić coś sobie i swojej lepszej połowie...

- Mów dalej - zachęcił go Jonas, choć bolała go ta rozmowa.

- Postanowił zabrać pieniądze z jednej z dostaw. Był pewien, że to zmusi szefa do ujawnienia się. Gdy zadzwonił do mnie z Acapulco i powiedział, co zrobił, kazałem mu się przycisnąć na jakiś czas - wyjaśnił. - Ale on mnie nie posłuchał. Wrócił na Cozumel i skontaktował się z Manchezem. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, już było za późno. Ale nie wiem, czy dałbym radę go powstrzymać, nawet gdybym wiedział, co zamierza. Nie lubimy tracić współpracowników, panie Sharpe. A ja nie lubię tracić przyjaciół.

Gniew powoli opuszczał Jonasa. To wszystko rzeczywiście było w stylu Jerry' ego, pomyślał. Impulsywność, przygoda i niebezpieczeństwo.

- Mów dalej.

- Przyszły rozkazy, aby przycisnąć Liz. - Scott uśmiechnął się smutno. - I to rozkazy z obu stron. Dopiero po waszym powrocie z Acapulco zrozumieliśmy, że Liz nie jest zamieszana w przemyt. Wtedy przestała być podejrzana, a stała się przynętą...

- Zgłosiłam się na policję. Przyszłam prosto do pana - powiedziała oburzona Liz i popatrzyła na Moralasa. - A pan mi nic nie powiedział!

- Do wczoraj nie miałem pojęcia o specjalnej misji agenta Scotta. Wiedziałem tylko, że nasz człowiek wniknął do szajki i że mamy posłużyć się panną Palmer.

- Byłaś chroniona - Donald Scott zwrócił się do Liz. - Każdego dnia byłaś pod obserwacją Moralasa lub moich ludzi. Dopiero przybycie Jonasa skomplikowało sprawę. Narzucił ostre tempo i za mocno naciskał. Sądzę, że ty i Jerry mieliście ze sobą więcej wspólnego, niż ktokolwiek mógł przypuszczać - powiedział, patrząc Jonasowi w oczy.

- Możliwe - zgodził się Jonas, bawiąc się monetą.

- Cóż, doszło do tego, że musieliśmy zadowolić się Manchemem albo pójść na całość. Zdecydowaliśmy się na to drugie rozwiązanie.

- Czyli nasze nurkowanie było pułapką?

- Manchem otrzymał rozkaz, aby za wszelką cenę odzyskać pieniądze, które zabrał Jerry. Nie mieli pojęcia o skrytce bankowej. Policja też nie. Dopiero wy nas o tym poinformowaliście. Ambuckle był przekonany, że ukryliście gotówkę i zamierzał ją odzyskać. Chciał sprawić, aby wasza wyprawa wyglądała tak, jakbyście to wy prowadzili przemyt. Znalaziono by was martwych, a on odczekałby chwilę i przeniósł interes gdzieś indziej. Tyle powiedział mi Manchem - wyznał Scott. - A co do waszego pytania, to macie rację. To była pułapka. Ale dużo bardziej skomplikowana, niż myślicie. Manchem miał odzyskać pieniądze, więc zjawił się na waszej łodzi. Ale ja już wcześniej skontaktowałem się z Merriworthem i narobiłem szumu, że Manchem zamierza zdradzić organizację. Gdy wy nurkowaliście, ja rozmawiałem z Clancym. Dostałem awans, a on zaniepokojony informacjami, sam się ujawnił, aby odzyskać swoje pieniądze.

Liz starała się spojrzeć na sprawę z jego punktu widzenia. Ale nie potrafiła. Dla niej było to igranie ze śmiercią, a nie partia szachów.

- Już wczoraj wiedziałeś, kim jest ten człowiek i mimo to pozwoliłeś mu się do mnie zbliżyć!

- Kilku snajperów czekało w ukryciu. Ja miałem broń, a Ambuckle nie. Chcieliśmy, aby wyraźnie zlecił zamordowanie Liz i by powiedział najwięcej, jak się da. Żeby posadzić go na dłużej, potrzeba było mocnych dowodów - oznajmił agent Scott i spojrzał na Jonasa. - Jesteś prawnikiem, Sharpe. Wiesz, jak jest. Często zdarza się, że znamy prawdę, mamy przestępcę, a sąd uniewinnia go, bo dowody nie są w pełni przekonujące. Ale ten długo nie wyjdzie na wolność.

- Pozostaje jeszcze pytanie, czy będą sądzeni w moim, czy twoim kraju - powiedział spokojnie Moralaś.

- Słuchaj... - zaczął Scott.

- Tę kwestię możemy omówić nieco później. Teraz chciałbym podziękować i przeprosić - przerwał mu, patrząc na Jonasa i Liz. - Przykro mi, ale nie widzieliśmy innego rozwiązania tej sprawy.

- Mnie też jest przykro - mruknęła Liz i spojrzała na Scotta. - Było warto?

- Ambuckle przesznuł mnóstwo kokainy do Stanów. Jest odpowiedzialny za co najmniej piętnaście morderstw w Stanach i Meksyku. O, tak. Było warto.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że nie chcę cię więcej widzieć. - Liz pokręciła głową i ujęła dłoń Jonasa. - Zresztą i tak byłeś marnym uczniem - dodała z lekkim uśmiechem.

- Wybacz, że w końcu nie umówiliśmy się na tego drinka - powiedział. - Żałuję, że tak wyszło.

- A ja dziękuję ci, że wyznałeś mi prawdę o moim bracie. To dla mnie wiele znaczy - odezwał się Jonas.

- Sądzę, że zostanie odznaczony. Dokumenty prześlemy twoim rodzicom.

- Wiem, że się ucieszą - odparł Jonas i podał mu dłoń. - Rozumiem, że wykonywałeś swoją pracę. Wszyscy robimy to, co musimy.

- Ale to nie znaczy, że nie żałuję.

Jonas kiwnął głową i uśmiechnął się. Nareszcie poczuł się wolny.

- Ale za to, że narażałeś Liz na niebezpieczeństwo... - zawiesił głos, zacisnął dłoń w pięść i płynnym ruchem umieścił ją na szczęce specjalnego agenta Donalda Scotta.

Mężczyzna potknął się i upadł na krzesło, które stało za jego plecami. Mebel nie wytrzymał i pękł, a Scott wylądował na podłodze, pocierając bolącą szczękę.

- Jonas! - zawołała wstrząśnięta Liz.

Po chwili poczuła, że ma ochotę się roześmiać. Zakryła usta dłonią i odwróciła się do Jonasa. Nieporuszony Morales siedział przy biurku i sączył swoją kawę.

- Wszyscy robimy to, co musimy - mamrotał pod nosem Scott, gramoląc się z podłogi.

- Żegnajcie - powiedział Jonas.

- *Vaya con Dios* - pożegnał się Morales, wstał z krzesła i pocałował dłoń Liz.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył za wychodzącymi, a potem z powagą spojrzał na agenta.

- Twój rząd, oczywiście, zapłaci za krzesło.

Jonas odszedł. Sama tego chciała. Liz sądziła, że tak będzie najlepiej. Powtarzała to sobie każdego ranka od dwóch tygodni. Gdyby posłuchała głosu serca, przyjęłaby oświadczyzny Jonasa. Porzuciłaby wszystko, co zbudowała z takim trudem. I pewnie zniszczyłabym nam obojgu życie, pomyślała.

Wrócił do swojego świata, prawniczych ksiązek, rozpraw w sądzie i eleganckich przyjęć. Z pewnością zapomniał o czasie spędzonym na Cozumel. Przecież nie zadzwonił ani nie napisał. Wyjechał tego samego dnia, gdy Ambuckle został aresztowany. Jonas wygrał walkę z przeszłością, gdy stanął oko w oko z Manchemem.

Odszedł, a Liz znów musiała uporządkować swoje życie. Spodziewałam się, że to w końcu nastąpi, pomyślała. Niczego nie żałowała. To, co dała Jonasowi, zostało darowane bez warunków i oczekiwań. W zamian miała to, co otrzymała od niego. Na zawsze zostaną jej piękne wspomnienia.

Poza tym Faith wracała do domu. Liz, nie mogąc się doczekać, wyruszyła na lotnisko. Wiedziała, że dotrze na miejsce godzinę za wcześnie, ale nie mogła już wysiedzieć w domu. To śmieszne, że tak się denerwuję, wyrzucała sobie w myślach.

W budynku lotniska było tłoczno i hałaśliwie. Turyści przyjeżdżali i odjeżdżali. Wiele osób robiło ostatnie zakupy w licznych sklepikach. Liz poddała się impulsowi i po chwili miała dwie siatki różnych drobiazgów i niewielki bukiet kwiatów.

Już za chwilę, już niedługo, powtarzała w duchu. Niektórzy turyści czytali, inni drzemali w plastikowych krzeselkach. Liz nie mogłaby teraz siedzieć, więc nerwowo spacerowała od okna do okna. Samolot się spóźniał. Wiedziała, że pogoda sprzyja podróży samolotem, lecz zaczęła się denerwować. Pobiegła do informacji i usłyszała to, co już sama wiedziała. Samolot ma niewielkie opóźnienie. Liz chciała krzyczeć ze zdenerwowania.

Wreszcie usłyszała, że samolot z Houston właśnie ląduje. Patrzyła w stronę bramki ponad głowami ludzi. W końcu dostrzegła swoją córkę. Faith miała na sobie spodenki w błękitne paski i białą bluzeczkę. Ależ ona urosła, zdumiała się Liz. Ze zdenerwowania pociły się jej dłonie. Żebym się tylko nie rozplakała, pomyślała, mrugając oczami.

Nagle Faith dostrzegła matkę i z szerokim uśmiechem podbiegła do niej. Liz upuściła siatki i chwyciła córkę w ramiona.

- Mamusiu, siedziałam przy oknie, ale nie widziałam naszego domu - poskarżyła się i uściskała Liz. - Kupiłam ci prezent!

- Niech ci się przyjrzę - szepnęła wzruszona Liz.

Jej córka nie była już słodka i rozkoszna. Była po prostu piękna. Już nigdy się z nią nie rozstanę, pomyślała Liz. Nie będę potrafiła.

- Witaj w domu, córeczko - szepnęła i ucałowała oba policzki Faith.

Po chwili wstała, żeby powitać rodziców. Ojciec był szczupły, jak zawsze, lecz miał coraz mniej włosów. Uśmiechał się do niej. Matka stała obok niego i wyglądała tak krucho i delikatnie. Liz jednak wiedziała, że jest twarda jak skała. Dostrzegła łzy w jej oczach. Czy początek wakacji sprawia jej taki ból, jak mnie ich koniec, zastanowiła się przelotnie.

- Mamo - zawołała i objęła ją. - Tak bardzo za wami tęskniłam - powiedziała i pomyślała, że już najwyższa pora wrócić do domu.

- Mamusiu, mamusiu - powtarzała Faith, ciągnąc ją za kieszeń dzinsów. - Musisz przywitać się z Jonaszem - dokończyła ze śmiechem, gdy Liz porwała ją w końcu na ręce.

- Co?

- Przyjechał z nami. Musisz się przywitać - powtórzyła Faith.

Liz rozejrzała się i dostrzegła Jonasa opartego o ścianę. Czekał spokojnie, aż Liz na niego spojrzy. Wtedy podszedł i wycisnął mocny pocałunek na jej ustach.

- Miło cię widzieć - wymruczał jej w ucho i sięgnął po torby i kwiaty, które upuściła. - Sądzę, że to dla ciebie - powiedział, podając bukiet matce Liz.

- O, tak. Zupełnie zapomniałam - przytaknęła zarumieniona Liz.

- Dziękuję, są śliczne - odparła jej matka z uśmiechem. - Jonas odwiezie nas teraz do hotelu. Zaprosiłam go na kolację - powiedziała matka. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Zresztą, zawsze szykujesz więcej jedzenia.

- Nie. To znaczy, tak. Oczywiście - Liz na przemian kiwała i kręciła głową.

- No to do zobaczenia wieczorem - powiedziała jej matka i pocałowała córkę na pożegnanie. - Zostawiamy was same. Wiem, że ty i Faith chcecie mieć trochę czasu tylko dla siebie.

- Ale ja...

- Tam są nasze bagaże - zwróciła się matka do Jonasa.

Zanim Liz się obejrzała, została sama z Faith.

- Czy możemy zajrzeć po drodze do pana Pessado? - dopytywała się dziewczynka.

- Tak - zgodziła się Liz, myśląc o czym innym.

- A dostanę cukierka?

- Coś mi się zdaje, że już jadłaś słodycze - zaśmiała się Liz, wskazując na widoczne plamy po czekoladzie na bluzeczce córki.

- Chodźmy do domu - powiedziała Faith, wiedząc, że pan Pessado jej nie zawiedzie.

Liz wstrzymała się z pytaniami do chwili, gdy rozpakowała swój prezent, powiesiła kryształowego ptaszka od Faith w oknie i nakarmiła córkę.

- Faith... - zaczęła, starając się, by jej głos brzmiał normalnie. - Kiedy poznałaś pana Sharpe' a?

- Jonasa? Przyszedł kiedyś do babci - odparła, popijając mleko.

- Do babci? A kiedy to było?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Mogę już dostać lody?

- Faith, a może wiesz, po co on przyszedł do babci? - pytała dalej.

- Chyba chciał z nią o czymś porozmawiać. I z dziadkiem też. Został na obiad. Domyśliłam się, że babcia go lubi, bo zrobiła wiśniowe ciasteczka. Ja też go lubię. Umie grać na pianinie, wiesz? - spytała dziewczynka i wzięła z rąk matki olbrzymią porcję lodów. - Byliśmy razem w zoo.

- Co? - zachłysnęła się Liz i w ostatniej chwili złapała miskę z lodami, która wymknęła się jej z rąk. - Jonas zabrał cię do zoo?

- Mhm. W sobotę. I karmiliśmy małpki - powiedziała Faith i zachichotała. - On opowiada zabawne historyjki. A ja upadłam i starłam sobie kolano - skrzywiła się na to wspomnienie i podciągnęła nogawkę spodni, aby pokazać ranę.

- Och, kochanie - westchnęła współczująco Liz i pocałowała niewielkie zadrapanie. - Jak to się stało?

- Biegałam w zoo. Wiesz, że w moich nowych tenisówkach mogę biec naprawdę szybko? I wcale nie płakałam, jak upadłam.

- Oczywiście, przecież jesteś bardzo dzielna - przytaknęła Liz i poprawiła spodnie córki.

- A Jonas wcale się nie wściekł, tylko wytarł mi kolano chusteczką. Było mnóstwo krwi - powiedziała z przejęciem i uśmiechnęła się. - Powiedział, że mam takie same śliczne oczy, jak ty.

- Naprawdę? A co jeszcze mówił?

- Och, rozmawialiśmy o Meksyku i Houston. Pytał, gdzie mi się bardziej podoba.

Liz położyła dłonie na kolanach córki i pomyślała, że dla niej zdanie dziecka też jest najważniejsze.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Że podoba mi się tam, gdzie ty jesteś - powiedziała Faith i wyjadła resztkę lodów z miseczki. - A on się ze mną zgodził! Czy Jonas zostanie twoim chłopakiem?

- Moim... - Liz z trudem pohamowała wybuch śmiechu. - Nie.

- Mama Charlene ma chłopaka, ale on nie jest tak wysoki jak Jonas. I na pewno nie zabiera jej do zoo. Jonas powiedział, że może razem wybierzemy się na jakąś wycieczkę. Wybierzemy się, prawda, mamo?

- Zobaczymy - mruknęła Liz i zaczęła zmywać miskę po lodach.

- Ktoś idzie! - zawołała Faith i pobiegła otworzyć drzwi. - To Jonas!

- Faith! - krzyknęła Liz i wybiegła za córką.

Nie zdążyła jej zatrzymać i po chwili zobaczyła, że dziewczynka z rozpędu rzuca się w ramiona Jonasa. Mężczyzna złapał ją i ze śmiechem uniósł do góry. Zrobił to tak naturalnie, jakby od zawsze opiekował się niesfornymi dziećmi. Liz zaczęła nerwowo miętosić ściereczkę, którą trzymała w dłoniach.

- Przyszedłeś - powiedziała zachwycona Faith. - Właśnie o tobie rozmawialiśmy.

- Tak? - Jonas pogłaskał dziewczynkę po głowie i popatrzył na Liz. - To zabawne, bo ja właśnie o was myślałem.

- Będziemy robić paellę, bo to ulubione danie dziadka. Możesz nam pomóc - paplała wesoło dziewczynka.

- Faith! - skarciła ją Liz.

- Chętnie - wtrącił Jonas. - Ale najpierw muszę porozmawiać na osobności z twoją mamą.

- Czemu? - skrzywiła się Faith.

- Bo muszę ją przekonać, żeby za mnie wyszła.

Jonas nie zwrócił uwagi na westchnięcie Liz, tylko uważnie wpatrywał się w oczy dziecka.

- Mama powiedziała, że nie jesteś jej chłopakiem. Pytałam! - odparła Faith, wydymając usta.

- Trzeba ją tylko namówić - szepnęła jej do ucha i radośnie się uśmiechnęła.

- Babcia mówi, że mojej mamy nie można do niczego przekonać. Jest okropnie uparta.

- Ja też jestem uparty, a w dodatku moim zawodem jest przekonywanie ludzi. Ale może mogłabyś się później za mną wstawić.

- No dobra - zgodziła się Faith z uśmiechem. - Mamo, mogę zobaczyć się z Roberto? Podobno ich suka ma szczeniaki.

- Idź, ale tylko na chwilkę - powiedziała Liz, prostując i znów gniotąc ścierkę.

- Twoja córka jest naprawdę wspaniała - odezwał się Jonas z zachwytem, gdy Faith pobiegła do domu swojego kolegi. - Porozmawiamy w domu, czy tutaj?

- Jonas, nie wiem, czemu wróciłeś, ale...

- Oczywiście, że wiesz.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- W porządku - Jonas skinął głową. - Skoro nie chcesz rozmawiać, zaciągnę cię do domu i będę kochał tak długo, aż spojrzysz na wszystko z właściwej perspektywy. Zrozum wreszcie, że cię kocham.

- Jonas, wiesz, że to niemożliwe - szepnęła i odwróciła wzrok.

- Błąd. To jest możliwe. Liz, ty mnie potrzebujesz.

- Sama umiem zadbać o siebie - odparła oburzona.

- Za to właśnie cię kocham - zaśmiał się Jonas.

- Ale...

- Nie powiesz chyba, że za mną nie tęskniłaś? - spytał, a Liz tylko otworzyła i zamknęła usta. - Dobrze. Nie zaprzeczysz też, że spędziłaś wiele bezsennych nocy, rozmyślając o nas? Potrafisz spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że mnie nie kochasz?

Liz nigdy nie potrafiła dobrze maskować uczuć. Odsunęła się nieco i z przesadną dokładnością zaczęła rozwieszać ściereczkę na balustradzie ganku.

- Jonas, nie mogę kierować się w życiu emocjami.

- Od teraz już możesz. Podobał ci się prezent od Faith?

- Słucham? - zdziwiła się nagłą zmianą tematu. - Tak, oczywiście, że tak.

- To dobrze, bo ja ci też coś kupiłem. - Sięgnął do kieszeni. Wyjął nieduże pudełeczko i wyciągnął z niego pierścionek z brylantem. Po chwili wsunął go na palec Liz. - Dobrze. Teraz to już oficjalne.

- Jesteś śmieszny - parsknęła, ale nie potrafiła zdjąć z palca pierścionka z brylantem w kształcie łzy.

- Poślubisz mnie - oznajmił. - To nie podlega dyskusji. Natomiast możesz zastanawiać się, co robimy dalej. Na przykład, mógłbym rzucić moją praktykę i przenieść się na Cozumel. Oczywiście musiałabyś mnie utrzymywać.

- Dopiero teraz zaczynasz robić się naprawdę śmieszny - zauważyła Liz.

- Świetnie. Ja też nie byłem za bardzo przywiązany do tego pomysłu. Zatem ty mogłabyś przeprowadzić się do Filadelfii, a ja bym cię utrzymywał.

- Nie potrzebuję tego - zaprotestowała i wojowniczo wysunęła brodę.

- Wspaniale. Oboje odrzuciliśmy dwa pierwsze pomysły - oznajmił i zrozumiał, że nie jest mu tak łatwo, jak przypuszczał. - Albo możemy wziąć mapę, wybrać jakieś miejsce na chybił trafił i tam zamieszkać.

- Nie możemy przecież w ten sposób decydować o naszym życiu - pokręciła głową i zaczęła spacerować po ganku. - Nie widzisz, że to niemożliwe? - spytała, choć sama zaczynała wierzyć w jego słowa. - Ty masz swoją karierę, ja swój sklep. Nigdy nie będę dobrą żoną dla kogoś takiego jak ty.

- Będiesz dla mnie idealną żoną - powiedział i chwycił ją za ramiona. - Do diabła, Liz, jeśli twoja firma jest dla ciebie tak ważna, zatrzymaj ją. Niech Luis pilnuje wszystkiego, a my będziemy przyjeżdżać kilka razy w roku. Albo otworzysz nowy sklep. Wyjedziemy gdzieś, gdzie potrzebują zdolnych nurków. Albo... - zawiesił głos i upewnił się, czy Liz go słucha - mogłabyś wrócić na studia.

W jej oczach dostrzegł błysk zaskoczenia i zachwytu, ale po chwili pokręciła głową.

- To już skończone.

- Wcale nie - zaprzeczył z mocą. - Przecież tego pragniesz. Zatrzymaj sklep, otwórz następny albo dziesięć innych, ale zrób też coś dla siebie.

- Miałam dziesięć lat przerwy - odparła, lekko unosząc brwi.

- Boisz się?

- Tak - przyznała.

- Kobieto! - zaśmiał się Jonas. - W ciągu kilku ostatnich tygodni przeszłaś przez piekło, a obawiasz się kilku wykładów?

- To mi się może nie udać - pokręciła głową i westchnęła.

- To co z tego? Potkniesz się i znów podniesiesz. Przysięgam, że będę przy tobie. Pora zaryzykować, Liz.

- Och, tak bardzo chcę ci wierzyć - szepnęła i uniosła dłoń do jego twarzy.

- Chcę tego. Kocham cię, Jonas.

- Liz, wiesz, że cię potrzebuję. Nie wracam bez ciebie - wymruczał i gorąco ją pocałował.

- Ale wiesz, że nie chodzi tylko o mnie...

- Faith? - domyślił się. - Poznaję ją już od kilku tygodni i nareszcie mogę sobie pogratulować pomysłu. Mogłem się zbliżyć do ciebie, tylko zdobywając jej serce. Twoja córka jest wspaniała. Chcę, żeby była też moja.

- Jak to? - Liz zamarła, przestraszona.

- Chcę, żebyś się zgodziła, abym ją zaadoptował.

- Co? - Liz mogła się spodziewać wielu rzeczy po Jonasie, ale z pewnością nie oczekiwała takiego obrotu spraw. - Ale ona jest...

- Twoja? - wpadł jej w słowo. - Teraz będzie nasza. Musisz nauczyć się dzielić, Liz. Jeśli chcesz, żeby dalej chodziła do szkoły w Houston, to tam zamieszkamy. A za rok pojawi się jej brat lub siostra, bo ona tak samo potrzebuje rodziny, jak my.

Jonas był gotów ofiarować jej wszystko, o czym marzyła. Miała to przed sobą na wyciągnięcie ręki. Lecz Liz wciąż bała się wykonać ten gest.

- Ona nie jest twoim dzieckiem - przypomniała mu stanowczo. - Potrafisz wychowywać córkę innego mężczyzny?

- Ona jest twoim dzieckiem. Sama mi to powiedziałaś. A teraz będzie też moja - oznajmił, całując dłonie Liz. - Tak jak ty.

- Jonas, czy ty wiesz, co robisz? Bierzesz sobie żonę, która musi zaczynać życie od nowa i dużą dziewczynkę jako córkę. Komplikujesz sobie życie.

- Tak i prawdopodobnie je ratuję.

Liz też się tak czuła, jakby odzyskała na nowo radość życia. Po raz pierwszy żadne chmury nie wisiały nad jej przyszłością. Zamknęła oczy i głęboko westchnęła.

- Prawdopodobnie. Proszę, bądź pewien. Bo jeśli się zgodzę i zaryzykuję, a ty się rozmyślisz, znienawidzę cię do końca życia.

- Jeszcze w tym tygodniu odwiedzimy moich rodziców w Lancaster i wypełnimy odpowiednie dokumenty. Papiery adopcyjne leżą gotowe w moim biurze. Już niedługo ty, Faith i ja będziemy nosić to samo nazwisko.

Liz otworzyła oczy i spojrzała na Jonasa. Wiedziała, że jest wspaniały, cierpliwy, silny i pełen pasji. Chciała powierzyć mu swój los. Jej kochanek wrócił, jej córka była przy niej i nic nie wydawało się już niemożliwe.

- Już w chwili, gdy cię ujrzałam, wiedziałam, że zawsze dostajesz to, czego pragniesz.

- Miałaś rację - zaśmiał się cicho i uniósł jej dłonie do ust. - Co powiemy Faith?

- Cóż, będziemy musieli przyznać, że w końcu mnie przekonałeś - szepnęła Liz.

Tytuł oryginału:
Risky Business

Pierwsze wydanie:
Silhouette Books, 1986

Opracowanie graficzne okładki:
Robert Dąbrowski

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordęga

Korekta:
Maria Wilber

© 1986 by Nora Roberts

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2003, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych lub umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9935-8

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.